

MICHAŁ ŚMIELAK

UCIĄCHŁY
PTAKI,
PRZYSZŁA
ŚMIERĆ

WCIĄGAJĄCY THRILLER

AUTORA BESTSELLEROWEGO „POMRUKU”!



MICHAŁ ŚMIELAK

UCICHŁY
PTAKI,
PRZYSZŁA
ŚMIERĆ



Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1. Dom](#)

[2. Góry](#)

[3. Szpital](#)

[4. Góry](#)

[5. Szpital](#)

[6. Góry](#)

[7. Szpital](#)

[8. Góry](#)

[9. Szpital](#)

[10. Góry](#)

[11. Szpital](#)

[12. Góry](#)

[13. Szpital](#)

[14. Góry](#)

[15. Szpital](#)

[16. Góry](#)

[17. Szpital](#)

[18. Góry](#)

[19. Szpital](#)

[20. Góry](#)

[21. Szpital](#)

[22. Góry](#)

[23. Szpital](#)

[24. Góry](#)

[25. Szpital](#)

[26. Góry](#)

[27. Szpital](#)

[28. Góry](#)

[29. Szpital](#)

[30. Góry](#)

[31. Szpital](#)

[32. Góry](#)

[33. Szpital](#)

[34. Góry](#)

[35. Szpital](#)

[36. Góry](#)

[37. Szpital](#)

[38. Góry](#)

[39. Szpital](#)

[40. Góry](#)

[41. Szpital](#)

[42. Szpital](#)

Redakcja
Małgorzata Starosta

Korekta
Janusz Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Michał Śmielak, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-09-3



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Prolog

Patrzę przez to pieprzone okno, ale śmierć nie przychodzi, chociaż powinna. W końcu obiecała.

Nie ma jej za zielonymi krzakami po lewej, nie wyłania się spośród drzew po prawej, jej kroki nie stukają po brukowanym chodniku. Wciąż mogę się cieszyć zielenią liści, wiatrem na policzku, śpiewem ptaków i z przerażeniem nasłuchiwać szeptów.

A ja czekam!

Z tymi szeptami to jest śmieszna sprawa, bo człowiek nie wie, czy je słyszy, czy też nie. Co innego krzyk zarzynanego człowieka – tego nie da się pomylić z niczym innym. Gdy ktoś w twoim towarzystwie wypruwa flaki przyjacielowi, to wiesz, co się dzieje, nie nadstawiasz ucha, żeby coś tam pochwycić, na granicy słyszalności, ledwo uchwytnego, sprawa jest jasna i wiadomo, co się święci. Otóż nic ciekawego, moi drodzy, gdyby ktoś chciał wiedzieć.

Ktoś powie, że to całkiem fajnie w takiej sytuacji jednak przeżyć i siedzieć sobie na słoneczku, co najważniejsze – nad ziemią, a nie kilka metrów pod jej powierzchnią – mając wszystkie członki w komplecie, ale ja jestem daleki od tego. Ostatnio w ogóle jestem daleki od wszelkich stwierdzeń dotyczących życia i tego, co jest na plus, a co ad minus.

Jestem w szpitalu, to wiem.

Jeszcze wczoraj, a może to było tydzień temu, nie pamiętam, byłem w lesie. No i od razu dodam, że nigdy więcej do lasu nie pójde, o nie. Te wszystkie liście, krzaki, drzewa, te trupy, zwłoki, krew – to nie dla mnie.

Jakoś na dniach miałem się żenić. W sobotę? Wszystko mi się w tym szpitalu miesza. To głupi szpital. A właściwie taki dla głupich.

Czy nadal mam przyjaciół? Nie wiem.

Czy mam swoją pracę w banku? Nie wiem.

Czy mam jeszcze narzeczoną? Nie wiem.

To były pewniki, rzeczy nadające sens mojemu życiu, a teraz jest tylko szpital. I wspomnienia. Nie lubię jednego i drugiego.

Zatem nie wypowiem się na tematy dotyczące życia, bo – jak sami widzicie – jestem w dość nieciekawej sytuacji, i gdzie mi tam o życiu prawić.

Chętniej wypowiedziałbym się za to o śmierci i to nie w aspekcie metafizycznym, ale bardziej z pozycji praktyka. O tak, w tej kwestii mam cholernie duże doświadczenie, kilka stron w CV by się uzbierało.

Śmierć?

Wiem, jak pachnie.

Wiem też, jak śmierdzi.

Nie do końca wiem, jak wygląda, ale wiem, że przyjdzie.

A jak już się pojawi, to będzie się działo...

1. Dom

Różne głupoty ludzie pieprzą, ale już najgorsze są te o życiu i pokrętnym losie. Sami znawcy, psia jego mać, w dupie byli, gównu wiedzieli, ale doradzą we wszystkim. Ja takich doradców zawsze omijałem szerokim łukiem; owszem, wysłuchałem, pokiwałem głową, a potem usuwałem ich paplaninę z dysku.

Dziś jednak wam doradzę, bo już mam do tego prawo. Możecie też kiwać głową z politowaniem, machać ręką, jakbyście odpędzali natrętną muchę, ale dajcie mi chwilę – tyle, ile potrzeba, abyśmy dotrwali do końca tej opowieści – i dopiero wtedy oceńcie, czy to była dobra rada, czy też taka nie za bardzo. Umowa?

Może jednak zmienimy zasady gry i radę dam wam dopiero na końcu? Najpewniej wtedy nawet nie trzeba będzie już nic mówić, bo wszystko sami zrozumiecie, jesteście mądrymi ludźmi, wszak inni nie sięgają po książki. Znacie to powiedzenie: mądrymu wystarczy jedno zdanie, głupiemu to i referatu mało.

Ciąg przyczynowo-skutkowy to jest coś, czym się ostatnio zajmuję, a to chyba dlatego, że on zajął się mną i obszedł się ze mną bardzo nieelegancko.

Wypadałoby zacząć od początku, czyż nie? Kiedy to się zaczęło? Chyba wówczas, gdy poznaliśmy się z Magdą, jednak w szczególności tego wydarzenia nie chciałbym się zagłębiać, bo jest to nieistotne dla całej opowieści. Poznanie jak każde inne, zauroczenie jak wszystkie, związek jakich miliony.

Jeśli znajomość dobrze się rozwija, to wchodzi w etap związkowy, potem kobieta wyczekuje tego momentu, gdy oblubieniec padnie przed nią na kolana z pierścionkiem. Tak, wiem – mówią, że tradycyjne oświadczenia są po to, aby mężczyzna, klęcząc, stawał na wysokości zadania, mówił do rzeczy i czuł, czym to pachnie, ale sami rozumiecie: tak się robi. Wiecie, że rano będzie kac, ale i tak pijecie, co nie?

Potem planujecie ślub i weselico, a z tym nieodzownie wiąże się wieczór kawalerski i właśnie znaleźliśmy się w „teraz i tutaj”, w miejscu oraz momencie, w których chciałbym was zaprosić do mojej opowieści.

Zatem wyliczamy.

Miejsce zbrodni: salon przestronnego mieszkania, urządzonego gustownie, bez przepychu, ale nie można powiedzieć, że skromnie.

Osoby dramatu: ja, moja narzeczona Magdalena oraz Artur, mój najlepszy przyjaciel, przyszły druhna.

Katalizator wydarzeń: czerwone wino, gruzińskie, półsłodkie.

Okoliczności: wieczór kawalerski.

Wygląda niewinnie? Otóż to, kochani, otóż to.

– Kumpela powiedziała mi o firmie, która organizuje niezwykle wyprawy – zachwala Artur, żywo gestykułując ręką, w której trzyma kieliszek. – To nie taki typowy wypad w góry. Wycieczka jest zorganizowana i nazywa się „Szlakiem Beskidzkich Duchów i Upiorów”, wiedzie przez zaginione wioski, cmentarze i, co najważniejsze, zbacza z utartych szlaków.

– Można tak? – pyta moja Magda, donosząc drugą butelkę wina.

– Tak, dostaniemy na to specjalny papier – ekscytuje się Artur. – Całkowita izolacja od ludzi, nieuczęszczane szlaki, nocleg pod namiotem. Dzicz, kochani, przyroda, natura, samotność.

– Podoba mi się – mówi Magda.

Pewnie, że się jej podoba, bo będziemy pod namiotami, a nie w jakimś ekskluzywnym hotelu, wystawieni na pokusy nocnych szaleństw. W dodatku pod ręką, kilka godzin jazdy od Lublina.

– No nie wiem – protestuję, bo średnio mi się to podoba.

– Michaś, będzie zajebiście, zobaczysz – mówi Artur, wymachując kieliszkiem. – Wiesz, co jest najlepsze? Nie wolno nam mieć ze sobą

telefonów, dostajemy tylko GPS z wytyczoną trasą. Trzy dni sami z naturą.

– Wiesz, że nie przepadam za górami. Z chłopaków też nie są jacyś taternicy. Cywilizacja, to jest nasz żywioł.

– Odmiana dobrze nam zrobi – naciska Artur.

– Fajnie to wymyśliłeś, jak dla mnie bomba – podsumowuje Magda, uważając niechybnie dyskusję za zakończoną, ale ja nie składam broni.

– Ja to jeszcze przeżyję – mówię z mocno zarysowaną wątpliwością w głosie. – Ale reszta chłopaków? Wszyscy spodziewają się jakiegoś dobrego hotelu i mocnej imprezy.

– Reszta? Czyli kto? – pyta Magda, a ja już dobrze wiem, o co chodzi, a właściwie o kogo. O jej brata, który jest takim modelowym przykładem dupka i idioty, że nawet nie biorę go pod uwagę jako gościa na kawalerskim.

– Piter i Damian – wyjaśnia Artur, ratując mnie z opresji. – Wyprawa przewiduje udział tylko czterech osób. Odgórnie narzucony limit. – Podnosi dłonie, jasno dając do zrozumienia, że co złego, to nie on.

– Czyli nie wciśnięcie Rafałka? – drąży Magda.

– W tym przypadku nie da rady. – Artur rozkłada ręce w geście całkowitej bezsilności.

Patrzę na niego, zadowolonego ze sprytnego planu, który właśnie udało mu się wdrożyć. Potem zerkam na Magdę, lekko zaniepokojoną, i wiem, o co gramy. Albo kawalerski z jej pierdzielniętym braciszkiem, który uznaje imprezę za udaną dopiero wtedy, gdy otrzymuje dożywotni zakaz wstępu do odwiedzonej knajpy, albo wyprawa w góry, których serdecznie nie znoszę.

– Będzie mu przykro – mówi Magda i w tym momencie wyprawa zaczyna mi się naprawdę podobać.

Dobrze, że jej braciszek, a mój przyszły szwagier, w naszej ekipie nazywany pieścztotliwie Zjebem, mieszka w Szczecinie, a my w Lublinie. Jest to idealna odległość, która pozwala spotykać się tylko w święta.

– Niech będą góry – decyduję, nalewając wina do swojego kieliszka.

Można zatem powiedzieć, że to była nasza wspólna decyzja. Czyż nie?

2. Góry

Poniedziałek, 22 sierpnia 2022 roku

Godzina 10.00

Parking na Przełęczy Małastowskiej

Góry łapią cię za kark jak małego kociaka i wrzucają do jednego z dwóch koszyków: „kocham” lub „nienawidzę”. Jeśli chociaż raz ktoś przeciągnął cię przez górski szlak, to nie pozostaniesz obojętny, od tego czasu będziesz czekał na kolejną wyprawę z utęsknieniem albo odpowiadał wszystkim, że nie masz pojęcia, co w tych górach ciekawego, co oni widzą, wszędzie albo daleko, albo zimno, albo gorąco, wieje, czasem pada, no i – uwaga, najgorsze – nikt nie uprzedzał: zawsze pod górę.

Należę do frakcji „wolę morze”, dorsz lepszy od oscypka, jak marznąć to nad Bałtykiem w tłumie podobnych idiotów, można za rozstawionym parawanem, czemu nie. Jestem zatem z koszyka „nienawidzę”, byłem także przed tą wyprawą, ogólnie nic się nie zmieniło. Mało tego, uroczyste oświadczam, że jeśli mnie jeszcze kiedyś zobaczycie w górach, to zjem własną rękę.

Zerkam z niepokojem na kartkę zadrukowaną listą rzeczy niezbędnych do przeżycia przez najbliższy weekend, z tą durną pewnością, że jednak czegoś zapomniałem. Nie jestem człowiekiem gór, nie przecieram szlaków, nie dla mnie łążęgi po kamienistych ścieżkach, łapanie oddechu na szczycie. Lubię tylko jeden rodzaj szczytowania, i dobrze wiecie, który mam na myśli, a jestem takim szczęściarzem, że moja narzeczona ma podobne spojrzenie na świat i las najlepiej odbiera w rozdzielczości 4K.

Magdalena, bo tak ma na imię moje największe szczęście, już za tydzień złączy swój los z moim, wypowiadając uroczyste „tak” przed

urzędnikiem stanu cywilnego, na co obydwójce przebieramy nogami z niecierpliwością. Będzie potężne weselicho, oczywiście o ile przeżyję ten trzydniowy wypad w dzicz, zafundowany naszej czwórce przez Artura, mojego družbę. Właśnie zyskuję pewność, że jeśli jednak nie przeżyję, to stanie się tak przez tę jedną rzecz, której zapomniałem zapakować.

– Na pewno masz wszystko? – Piotr zaciera ręce i uśmiecha się, jakby co najmniej czekał nas weekend w Las Vegas, a nie w Beskidzie Niskim.

– No raczej – odpowiadam. – Chociaż na liście nie było alkoholu.

– To tak, jakbym musiał na niej zapisać „oddychaj”. Człowieku, opanuj się – mówi, śmiejąc się głośno. – Zadbaliśmy z wujkiem Arturem o odpowiednie nawodnienie na szlaku, możesz być spokojny.

Piotr to człowiek bywający w górach raz do roku, ale mający się za kogoś, kto niemal został urodzony na czerwonym szlaku, wychowany w tatrzańskiej jaskini przez bezwzględnych górali, za jedyną zabawkę mając ciupagę, i był karmiony od pierwszych dni oscypkiem i okowitą oraz kąpany w zimnym potoku – obowiązkowo trzymany przez gaździnę za piętę. Matka rodząc, zapewne krzyczała: „dajcie mi coś na wstrzymanie, urodzę go tylko na Giewoncie, bo niżej to wstyd!”, tak można wnioskować z jego opowieści. To on przygotował listę rzeczy dla naszej czwórki, ponieważ jako jedyny członek wyprawy miał choć teoretyczny kontakt z górami. Otrzymany od organizatora spis zbył lekceważącym prychnięciem i wziął się do roboty.

– Na szczęście ma być ładna pogoda – mówi Damian, czwarty z ekipy.

Rozglądam się dookoła i chciałbym się zachwycić, ale jakoś nie mogę. Drzewa wspinają się niczym grupa zielonych wędrowców w drodze do samego nieba, cichych i podążających w ustalonym od wieków porządku, mgła snuje się pomiędzy pagórkami jak chmura,

która zerwała się ze smyczy i postanowiła podokazywać, zanim ją złapią i zagonią znów do pracy, słońce przebija się jeszcze nieśmiało, ale już nam pokazuje, że ten dzień będzie należał do niego. Ładnie, fotkę można cyknać, ale żeby od razu wzdychać z zachwytu, leżąc tam? Po cholere?

– Tak, pogoda w górach podobno jest ważna – stwierdzam fachowym tonem. To w końcu mój wieczór kawalerski, nie wypada grać defetysty.

– Podchodzę pozytywnie do tej wyprawy – mówi z uśmiechem Damian. – Jednak mogliśmy przesiedzieć te trzy dni w jakimś ekskluzywnym górskim domku, z jacuzzi, sauną i dobrze zaopatrzonym barkiem.

– Michał nie chciał takich atrakcji – odpowiada mu Piotr. – Sam mówił: żadnych gołych dup, chlania na umór i takich żenujących i poniżających wyczynów jak na każdym wieczorze kawalerskim. Dlatego Artur ogarnął ten wypad w góry.

Fakt, nie chciałem.

– Przy Magdzie tak mówił – odpiera Damian. – Wiadomo, grał grzecznego.

– Jest grzeczny.

– Luzujcie – wtrącam się. – Takie wypady do domku możemy sobie robić, kiedy chcemy. A to może być ciekawa przygoda.

– Co to za przygoda, gdy nikt nie zrobi loda?! – słyszymy od strony parkingu, na którym pojawia się Artur. – To będzie wyprawa życia, zobaczycie!

Jesteśmy już zatem w komplecie.

Artur to mój najlepszy przyjaciel; kontruje moje stonowanie rubasznością, zachowawczość szaleństwem, małomówność gadulstwem i tak dalej. Para idealnie się uzupełniająca, od ogólniaka przez studia, zawsze razem. Pierwszy papieros, alkohol, trawka i te wszystkie

cudowności wiążące się z eksploracją dorosłego świata wpisywaliśmy na listę wspólnie. Zawodowo zajmuje się organizowaniem koncertów, eventów i wszelkiego rodzaju imprez.

O Piotrze już wspomniałem, mówimy na niego Piter, zgodnie z odwieczną osiedlową tradycją, według której Mateusz zostaje Matim, Sebastian Seba, a Adam Adim. Nic szczególnego, a jednak z charakterem. Jest pracownikiem cywilnym w wojsku i odpowiada za jakieś procedury poufności. Robota nudna do wyrzygania. Dobrze zbudowany, przystojny, lep na laski, jednak szczęścia w miłości nie ma za grosz.

Damian jest drużynowym artystą malarzem, obecnie dobrze zarabiającym grafikiem w studiu produkującym gry komputerowe. Pierwsze szlify zdobywał, biegając z puszkami farby po mieście i tworząc wspaniałe graffiti. Przebył długą drogę od rysowania penisów na drzwiach szkoły do stanowiska jednego z głównych kreatorów wizerunków najbardziej rozpoznawalnych postaci popkultury. Zawsze myśłami gdzieś wysoko, nawet słowa wypowiada z pewną dozą kolorów, dbałością o szczegóły i wartość artystyczną, takie mam wrażenie.

No i ja, nudny pracownik komercyjnego banku, na co dzień przyjmujący wpłaty od klientów, zakładający konta i wciskający kredyty, jednak zakochany, szczęśliwy, mimo niezbyt ciekawie zapowiadającego się wypadu. Każdy z nas zarabia na tyle dużo, że moglibyśmy pozwolić sobie na wieczór kawalerski nawet i w Bangkoku czy innym Porto Alegre, gdzie pilibyśmy Caipirinhe i moczylibyśmy nogi w ciepłym oceanie, ale Artur uparł się na tę właśnie wyprawę.

Przypomniałem sobie, jak kilka miesięcy temu siedzieliśmy we troje – ja, on i moja narzeczona – sączyliśmy czerwone wino i planowaliśmy wieczór kawalerski. Lekko rozluźniony półsłodkim trunkiem ze słonecznych rejonów Gruzji, nie przeczuwałem, że ta

forma rozrywki jednak nie przypadnie mi do gustu, no a potem jakoś głupio było odmówić.

Więc tak, jesteśmy tu i teraz, w przepiękny sierpniowy dzień na parkingu na Przełęczy Małastowskiej, góry otaczają nas zwartym szykiem niczym policyjny kordon i już nie ma mowy o odwrocie.

Artur zbija z nami piątki, jest uśmiechnięty jak miś na widok miodu i wyciąga rękę w stronę czarnego Mercedesa Vito. Wysiada z niego urocza blondynka i odmachuje nam wesoło. Dziewczyna ma wszystko na swoim miejscu i mogłaby spokojnie zawrócić w głowie niejednemu mężczyźnie, ale oczywiście nie dla mnie takie rozrywki, spuszczam więc skromnie wzrok, by nie oślepiły mnie te blond splendory.

– Panowie. – Artur rusza w stronę samochodu. – Zapraszam na największą przygodę życia.

– Z tą blondi? – pyta Damian. – Przez chwilę wydawało mi się, że męski wypad bez ślinienia się do kobiet jest możliwy, ale jak widać, płonne to były nadzieje.

– Nie smuć! – zbywa go Artur.

– Pierwszy! – rzuca Damian, kompletnie ignorując przytyk.

– Przedskoczek! – dodaje Piter.

– Morda, frędzle! – ucisza ich Artur. – Pani jest od organizatora wypadu. Grzecznie mi tutaj!

I w tym miejscu muszę na chwilę się zatrzymać, żeby wyjaśnić jedną rzecz, czyli status cywilny członków wyprawy. Ja miałem pięć dni do ślubu i zamierzałem dotrwać do tego dnia, Artur właśnie przymierzał się do drugiego rozwodu, a Piter zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, w każdej oczywiście zakochując się na zabój. No i Damian, który pozostawał jakby zagadką. Na studiach stwierdziliśmy, że jest gejem, nikt go nigdy nie widział z żadną dziewczyną, ale z drugiej strony z chłopakiem też nie. Na ślubach kolegów pojawiał się sam i gdy

na weselu popił sobie troszkę, to nie zwierzał się nikomu ze swojego życia uczuciowego.

Dziewczyna otwiera klapę bagażnika, odsłaniając komfortowo wyposażone wnętrze busa, obite czerwoną skórą i oświetlone listwami LED. W środku stoi mały stoliczek, na nim sejf i plastikowa skrzynia.

– Cześć, Maja jestem – przedstawia się nam i uśmiecha uroczo, a jej włosy, upięte w dwa kucyki, radośnie podskakują. – Za chwilę wyruszyście na wyprawę organizowaną przez naszą firmę. Jestem waszą opiekunką.

– Idziesz z nami? – pyta zaskoczony Piter.

– To męska wyprawa – odpowiada Maja. – I limitowana do czterech osób, wybaczcie.

– Ja nie wybaczam – przekomarza się Piter.

– Przepraszamy za kolegę. Gdy widzi piękną kobietę, staje się nadpobudliwy seksualnie – mówi Artur. – Jednak jest całkowicie nieszkodliwy. Sto procent impotencji w brzydkim opakowaniu. Gdyby ci to jednak w nim nie przeszkadzało, to pije za dużo piwa, kiepsko trawi laktozę, głosował na Kukiza, słucha Zenka Martyniuka i lubi filmy z Karolakiem. Cud, że żyje z takim zestawem wad genetycznych. Żywy argument za słusznością aborcji w każdym stadium życia, od poczęcia do osiemnastego roku życia.

– A taki przystojniak, szkoda... – Maja uśmiecha się figlarnie. – Już miałam zaproponować spotkanie po waszym powrocie. Tak, no cóż, pozostaje mi wyjaśnić wam obowiązujące zasady i pożegnać machaniem ręki z tarasu widokowego. Słuchajcie, bo to nie są żarty.

– Zamieniamy się w słuch – oznajmiam mocnym głosem, żeby zagłuszyć śmieszkujących przyjaciół i wprowadzić trochę dyscypliny. Lubię Pitera, ale jego natarczywe podrywanie każdej napotkanej przedstawicielki płci pięknej niejednokrotnie mnie zenowało.

– Po pierwsze, musicie podpisać oświadczenie, że zrzekacie się jakichkolwiek roszczeń w stosunku do organizatora na wypadek odniesienia obrażeń lub śmierci – informuje nas z poważną miną Maja, po czym wyjmuje z tyłu samochodu tablet i podaje go nam wraz ze specjalnym rysikiem.

– Zabrzmiało, jakbyś zabierała nas do dżungli amazońskiej – komentuje Damian.

Rzucam okiem na dokument; jako bankowiec wiem najlepiej, że kto nie czyta każdego paragrafu przed podpisaniem, może potem mieć pretensje tylko do samego siebie. Treść jest krótka i ogranicza się właściwie tylko do tego, co powiedziała dziewczyna.

Podpisujemy grzecznie, jeden po drugim. Maja uśmiecha się, stuka palcem w ekran i ponownie podaje nam tablet.

– Kolejny dokument to NDA, czyli klauzula poufności – oznajmia. – Nie wolno wam po zakończeniu wyprawy zdradzić jakichkolwiek szczegółów z jej przebiegu.

Zaczyna ode mnie, widząc, że jako jedyny przeczytałem poprzedni dokument przed podpisaniem. Znowu krótki zapis jasno mówiący, że jeśli któryś z nas cokolwiek chlapnie, to zabuli dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych.

– Nie za ostra ta kara? – pytam.

– To zabawa dla dużych chłopców, a tacy ponoszą odpowiedzialność za swoje czyny – odpowiada blondynka. – Kto nie podpisze, ten nie idzie.

– I oto powód, dlaczego nic nie można było znaleźć o tej wyprawie – stwierdza Damian.

– To ekskluzywna rozrywka – rzuca dziewczyna, zabierając tablet. – Co dzieje się w górach, zostaje w górach.

– Zaczyna mi się to podobać – komentuje Piter, całkowicie niezrażony wcześniejszymi docinkami Artura.

– Trzecia sprawa. – Maja zamyka tablet w plastikowym pudle. – Zdajecie swoje telefony i deponujecie w sejfie. Po włożeniu do środka zamykacie, ustalacie szyfr, wciskając cztery cyfry, dwa razy gwiazdkę, ponawiacie szyfr. Będą na was czekać po powrocie.

Zostaliśmy o tym uprzedzeni, więc nikt nie protestuje. Żadnych smartfonów i innych narzędzi do komunikacji ze światem, tylko my i natura. Maja odwraca się na chwilę plecami do sejfu, po czym wykonujemy jej polecenia. Gdy sejf podwójnym piknięciem oznajmia, że wszystko poszło gładko, dziewczyna wyjmuje ze skrzyni mały zasobnik w barwach moro.

– W środku jest urządzenie GPS do śledzenia trasy. Bateria wytrzyma siedem dni, ale macie dwie zapasowe. Jest też telefon z opcją wezwania pomocy. Ma zaprogramowane trzy numery: mój, GOPR i 112. Użycie któregokolwiek z nich przerywa zabawę i zostajecie w trybie natychmiastowym ewakuowani, więc radzę używać z rozsądkiem. Pozostałe połączenia są zablokowane. Jest tam też aparat cyfrowy, żebyście zrobili sobie kilka zdjęć po drodze. Po wyprawie zdecyduję, które możecie zabrać ze sobą, aby nie naruszały klauzuli poufności. Jakies pytania?

– Żadnych! – zapewnia, jako pierwszy, Artur.

– Świetnie! – Maja uśmiecha się z zadowoleniem. – Spakowaliście się według listy?

– Tak jest – odpowiada Piter. – Trochę ją podrasowałem.

– Możecie zabrać więcej, byle nie mniej – mówi dziewczyna, po czym wyciąga ze skrzyni cztery kolejne zasobniki wielkości kosmetyczki. – Tutaj macie po awaryjnym pakiecie żywnościowym dla każdego, batony proteinowe, żywność liofilizowana. Na mapie GPS zostały zaznaczone punkty, w których czekają na was skrytki. W każdej z nich znajdziecie pięć litrów wody i mały zapas żywności. Kod do skrytki macie w pakietach. Jeśli zabraliście butelki z filtrem

węglowym, to możecie do nich czerpać wodę z potoków. Jednak potraktujcie to jako ostateczność. Wasze miejskie żołądki mogą nie znieść tego dobrze.

– Tak jest – odpowiadam, salutując.

– Pokażcie mi swoje apteczki – nakazuje dziewczyna.

– Zrobione zgodnie z listą – zapewnia Piter.

– Proszę – nalega Maja i wyciąga do niego rękę.

Piotrek otwiera jedną z bocznych kieszeni w plecaku i podaje jej czerwony pakunek z niebieskim krzyżem. Dziewczyna sprawdza zawartość, po czym kiwa głową z zadowoleniem.

– Wszystko gra – ocenia.

– No to buzi na drogę i ruszamy. – Piter nie zrezygnował z umizgów.

– Na drogę to kop w dupę na szczęście – odpowiada Maja.

Zamyka klapę od samochodu, macha nam i wskazuje za kierownicę, po czym rusza na główną drogę. I tyle ją widzieliśmy.

– Panowie – odzywa się Piter. – Właśnie się zakochałem, więc powinniśmy to uczcić. Na tę okazję mam przygotowaną wiśniówkę.

Wyjmuje z plecaka butelkę wódki wiśniowej, metalowy kieliszek turystyczny i rozpoczyna kolejkę.

– Za nas – rzucam, po czym wypijam swoją porcję.

– Za Miśka i Madzię – dodaje Damian.

– Sztoby diengi były i chuj stają! – wznosi toast Artur.

– Za góry! – Piter unosi swój kieliszek. – Jest pięknie, zielono i słonecznie, czego więcej nam trzeba?

Nikt nie wznosił toastu za szczęśliwy powrót. A, kurwa mać, ktoś powinien.

3. Szpital

W ogrodzie jest zielono i słonecznie. To jest dobra pogoda, lubię taką, chyba wszyscy lubią. Dzień nastraja do spacerów, pikników, może nawet jakiegoś grilla, wypadu w góry.

Nie, wypadu w góry to nie.

Z górami definitywny koniec, już nigdy więcej, tak samo z lasami. Dobra pogoda nie wygoni mnie w góry i nie nastraja mnie do wędrówek. Do innych rzeczy, ale nie do wędrówek.

Do mordowania? Czy nastraja do mordowania?

Nie wiem, cholera, zdecydowanie nie wiem i wpadam w lekką panikę, bo wiedzieć powinienem, w końcu to ja będę mordowany, więc dlaczego nie wiem? Powinienem się pilnować, strzec własnej dupy, przewidywać zdarzenia.

Antycypować.

Jest takie mądre słowo, które właśnie wpadło mi do głowy. Spokojnie, zaraz wypadnie i nie trzeba będzie się tym przejmować. Mieć za dużo mądrych słów w głowie, to też nie za dobrze.

Ważniejsza kwestia to, czy morderca też wstaje rano, wychodzi przed dom i mówi sobie, że bardzo ładna pogoda. Trzeba by troszkę sobie pomordować, bo aż szkoda dnia, szkoda marnować takiej pogody.

Ktoś łapie mnie za ramię, a ja odruchowo uderzam z łokcia w tył. Zrobiłem się bardzo nerwowy ostatnio, wszystkiego się lękam, reaguję nieco przesadnie. Odwracam się i widzę, że na soczyście zielonej, równo przystrzyżonej trawie leży pielęgniarka. Chyba ma na imię Ewelina.

– Przepraszam – rzucam szybko i wstaję. – Przestraszyłem się, przepraszam.

Trzyma się za nos, po chwili wstaje i spogląda na dłoń.

Krew.

Cholera, krew.

No tak, zareagowałem nieco przesadnie, całkowita utrata kontroli, odruchy warunkowe stały się niebezpieczne dla otoczenia. No za nerwowy się stałem.

Podchodzi pielęgniarz, spory chłop, barczysty, kiedyś o takich mówiono, że grubej kości. Chłop na schwał. Złapie mnie? Będzie szarpał? Antycypuj, Michał, antycypuj.

– Nic się nie stało – mówi w jego kierunku pielęgniarzka, chyba Ewelina. – To ja przepraszam.

Odchodzi z dłonią przy nosie, a spomiędzy jej palców sączy się krew, czerwona i świeżutka.

Pielęgniarz patrzy na mnie spode łba i grozi powoli palcem. Nie spuszcza wzroku, wytrzymuje go, przygląda się, pewnie ocenia, a może lituje? Może gardzi?

– Wszystko w porządku, panie Michale? – pyta.

Otóż nic nie jest w porządku i on dobrze o tym wie. Kiedyś może było, dawno temu, przedwczoraj czy tydzień wstecz, ale dziś już nie jest.

Co mam mu odpowiedzieć? Chciałbym coś takiego, żeby wiedział, że jestem spokojny i niegroźny.

Nie wiem, wszystkie mądre słowa wyleciały mi z głowy.

4. Góry

Poniedziałek, 22 sierpnia 2022 roku

Godzina 12.00

Banica koło Gładyszowa

Na razie idziemy za niebieskim szlakiem, delikatnie pod górę, powoli oddalając się od drogi i parkingu, a zbliżając do serca Beskidu. Nie czuję tej wyprawy i chyba nie tylko ja, ale Artur mocno wkręca nas w górski klimat, co chwilę wskazując jakieś piękne miejsca. Słońce grzeje coraz mocniej i Piter poucza nas, żebyśmy założyli jakieś czapki i posmarowali się kremem z filtrem, bo w górach słońce atakuje zniecierpliwiona i bardzo mocno.

– Prawdziwy słoneczny *blitzkrieg* – tłumaczy, posapując przy delikatnym podejściu. – Zobaczycie, wieczorem będziecie mieli spalone ryje.

– Dobra, posmarujemy się na postoju, nie cwaniakuj – odpowiadam, też łapiąc oddech.

Cholera, plecak jest ciężki i przez pierwszą godzinę męczyłem się z paskami, aby je jakoś dopasować. W końcu, gdy złapałem, wydawałoby się idealne, ustawienie, to zaczęły mi się pocić plecy. Facet w sklepie zapewniał, że z tym plecakiem mogę z marszu podchodzić pod K2, a Beskid Niski wciągnę nosem. Chyba odwiedzę dziada po powrocie.

– Arturku, powiedz mi, co to za przekręt z tą wycieczką – zagaduje Piter. – Nigdzie w sieci nie ma śladu po tej firmie, nie mają Facebooka, na stronie poza nazwą i numerem telefonu, nie ma oznaczeń

lokalizacji, a w Google kompletnie nic. Tylko same oceny i to wszystkie na pięć gwiazdek.

– To już chyba o czymś świadczy, co nie? – odpowiada z uśmiechem Artur. – Widzisz, reszta to tajne przez poufne.

– Na poufności to ja się akurat nieco znam.

– Słyszałeś, co dziewczyna mówiła, to ekskluzywna rozrywka. Dowiedziałem się o nich pocztą pantoflową i uwierz mi, terminy mają zajęte na pół roku do przodu.

– Na takie zwykłe łożenie po górach? – pytam zaczepnie.

– No nie takie zwykłe, sami zobaczycie.

– Ja chyba wiem, co Artur wykombinował – oświadcza Damian. – Zaraz będzie czekał na nas helikopter, który przewiezie nas na Słowację do pięciogwiazdkowego hotelu, a tam to wiadomo: alkohole, kasyno i balety. Szampan i kawior, a przynajmniej zapiekanki i oranżada. Tak to ogarnął, żeby twoja Madzia się o niczym nie dowiedziała. Niby takie popierdalanie po szlaku, życie w zgodzie z naturą, męski wypad, a tak naprawdę tajemna imprezka.

– To rozumiem – stwierdza Piter. – Dlatego zabrali nam telefony, żeby nikt po pijaku nie zadzwonił do swojej kobity, żeby nie było zdjęć i dowodów naszego zerwania się ze smyczy. Mam rację?

– Pamiętam, jak napisałeś do swojej dziewczyny esemesa, że nie możesz z nią rozmawiać, bo zgubiłeś telefon – przypominam, ocierając pot z czoła.

– Złe języki, ludzkie pomówienia – odpiera Piter. – Ale pewnie mam rację z tym kamuflażem, co nie, Arturo?

– Rozgryźliście mnie – odpowiada Artur. – Czułem, że przed tak potężnymi umysłami nie uchroni się żadna tajemnica. Dalibyście pewnie radę nawet krzyżówce panoramicznej.

– Tak będzie? – docieka z nutą nadziei w głosie Piter.

– Będzie jeszcze lepiej.

– O tej firmie nie ma nic. – Damian postanawia wrócić do tematu. – Jednak znalazłem ciekawe strony dotyczące beskidzkich tajemnic.

– Zakopane skarby? Złoty pociąg? – domyślam się.

– To na Dolnym Śląsku – poprawia mnie. – Tutaj raczej wszystko jest związane z opuszczonymi wsiami, zaginięciami ludzi i upiorami na cmentarzach.

– Opuszczone wioski? – podchwytuje Piter. – Coś tam straszło i ludzie uciekli w popłochu?

– Dokładnie – potwierdza Artur. – Straszła ukochana władza ludowa podczas akcji „Wisła” w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Mieszkających tu Łemków wysiedlono, wyludniając te tereny niemal całkowicie. Trzydzieści cztery wioski zniknęły z dnia na dzień i właśnie doszliśmy do jednej z nich, Banicy.

– Gdzie? – Damian rozgląda się, bo faktycznie nie widać żadnych domostw czy innych znaków zwiastujących, że dotarliśmy do jakiegokolwiek osady.

– Tutaj. – Artur zatacza ręką dookoła. – Tyle zostało z beskidzkich wiosek. Ślady po zagrodach, drogach, polach, zdziczałe sady, a to była bardzo ciekawa wioska. Nazwa według legendy pochodzi od banitów, którzy grasowali na okolicznych szlakach. Banica wzmiankowana była już w tysiąc sześćset dwudziestym dziewiątym roku, a w trakcie drugiej wojny światowej spadł tutaj aliancki bombowiec marki Halifax, który dostarczał zaopatrzenie dla uczestników Powstania Warszawskiego.

– Artur, jak ty mnie zaimponowałeś w tej chwili – komentuje wywód przyjaciela Piter. – Skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Jako organizator i przewodnik poczułem się w obowiązku – odpowiada z wyraźną dumą w głosie. – Miałem zlecić po fragmencie każdemu z was, ale wiem, że dla ciebie, Piter, problemem jest nawet zapamiętanie kolejności posiłków w ciągu dnia, więc wziąłem to

wszystko na siebie. I od razu powiem, że nasza wycieczka obejmuje wejście do kilku domów, które pozostały po wysiedleńcach. Sprawa poza zasięgiem zwykłego turysty.

– Nieźle! – rzuca Damian. – Powiem szczerze, że zaczyna mi się to podobać. Myślałem, że to będzie takie zwykłe dreptanie po chaszczach, a tu: proszę.

– I to nie koniec atrakcji – dodaje zadowolony Artur. – Ale teraz robimy odpoczynek.

– O, jak cudnie – stwierdzam z radością.

Artur zrzuca plecak i przeciąga się. My robimy to samo, rozsądnie szukając najbliższego cienia. Moje plecy, gdyby tylko potrafiły mówić, pewnie właśnie by mi dziękowały i prosiły, żebyśmy skończyli się wygłupiać i wrócili do domu. No cóż, Artur powiedział, że jutro już nie będę nawet czuł, że mam plecak na sobie. Oby nie łął.

Rozglądam się po okolicy. Zieleń wciska się w oczy z każdego zakątka i wreszcie chyba zaczynam czuć, że ten weekend może być wyjątkowy. Szczególnie wyjątkowy wydaje nam się w momencie, gdy wszyscy sięgamy odruchowo do kieszeni po smartfony i żaden z nas nie znajduje tam swojego ulubionego gadżetu. Wybuchamy wspólnym śmiechem.

– Trzeba to oblać – zarządza Piter, wyjmując z plecaka napoczętą wcześniej butelkę wiśniówki.

– Zdecydowanie – popieram. – Wiecie, jesteśmy teraz jakby zagubieni w innym wymiarze. Przecież na co dzień każdą minutę życia wyznacza kalendarz spotkań, wiadomości mailowe, „fejs”, „insta”, to jest nasz cały świat. Teraz wszystko znikło.

– Podróż w czasie – podłapuje Damian. – Kiedy weszły smartfony, ktoś pamięta?

– Cholera wie, ale już koło dwutysięcznego chyba miałem komórkę – przypomina sobie Piter.

– Czyli cofnęliśmy się w czasie do poprzedniego wieku – podsumowuje Artur. – Spójrzcie na to. – Wskazuje jakąś zardzewiałą blachę leżącą w trawie. – Jaka symbolika, ostatni ślad po opuszczonej wiosce, to właśnie pozostałość po czasowni.

– Po czym? – pytam.

– Taki kościół bez ołtarza – wyjaśnia. – Wierni spotykali się tutaj o określonych godzinach na modlitwy. W ruskim „czasy” to godzina, stąd nazwa. Ustalano na przykład, że w południe wszyscy przyjdą się modlić.

– W południe? – Piter zerka na swój zegarek. – To idealnie. Zatem módlmy się.

Odkręca butelkę, my sięgamy po swoje kieliszki, które znajdowały się na sporządzonej przez niego liście.

– Pod bezpieczny weekend – rzuca Artur, król toastów, wymyślający zawsze najgłupsze.

Zaimponował mi przygotowaniem do wyprawy, nie powiem; na studiach zagonienie go do nauki było nie lada wyczynem, a teraz wszystko wykuł na blachę. Dobrze wybrałem drużbę, bez dwóch zdań.

– Pusto tu jakoś – stwierdzam, bo od początku mnie to dziwiło.

– Poniedziałek – mówi Artur. – Specjalnie wybrałem taki dzień na wyprawę, ciężko będzie spotkać turystę na szlaku, zresztą to nie Bieszczady albo to zaszrane Zakopane, gdzie większość przyjeżdża tylko po to, żeby łązić po Krupówkach, które wyglądają jak jedna, wielka, tandetna galeria handlowa. Pieprzeni górale i ich żądza dutków. Beskidy to piękne i jeszcze w miarę mało skomercjalizowane góry. No, a zaraz schodzimy ze szlaku, to już w ogólnie nikogo nie spotkamy.

– Można się przyłączyć? – Od strony ścieżki dobiega nas wesóły głos, niewątpliwie należący do przedstawicielki płci pięknej. Ma lekki wschodni zaśpiew.

– Czym chata bogata. – Piter rozkłada ręce, skłania się nisko i wskazuje nasze prowizoryczne obozowisko. – Zapraszamy, właśnie mieliśmy zasiąść do posiłku.

– Niech pani szanowna uważa na szanownego kolegę, bo... – zaczyna Artur, ale Piter nie pozwala mu dokończyć.

– Ty lepiej uważaj, bo pchasz się w gips, kolego – rzuca w jego kierunku.

Niespodziewanym gościem jest dziewczyna w wieku góra dwudziestu pięciu lat. Ma kruczoczarne włosy, które lśnią zupełnie jak świeża smoła. Brązowe oczy, szeroki uśmiech, głębokie dołeczki w policzkach – można się zakochać i pewnie Piter już zdążył to zrobić. Ubrana w zieloną koszulkę, szorty do kolan i skórzane buty, mocno schodzone i raczej w stylu starych traperów bez wymyślnej podeszwy i emblematów znanych firm. Gdy wizytowałem z Piterem sklep z odzieżą górską, aby skompletować wyprawkę na nasz wspólny wypad, mogłem wybierać wśród setek modeli obuwia, w tym skórzanych, ale takich tam na pewno nie było. Podobnie jak jej plecaka, który jest dość nieduży i wykonany z szarego brezentu. Cóż, dziewczyna ewidentnie lubi modę vintage. Od razu nazwałem ją w głowie Harcerką.

– Jestem Leokadia – oznajmia, zrzucając plecak i podając każdemu dłoń. – Ale możecie mi mówić Oczka. Rozumiecie. Leokadia, okadia, oka, oczka.

Przedstawiamy się kolejno.

– Dokąd lećcie? – pytała dziewczyna. – Na Wołowiec? Do Nieznajowej?

– Tak mniej więcej – odpowiada Artur.

– Świetny kierunek. Ja, co prawda, w przeciwnym, ale te tereny bardzo lubię. Idę do Bartnego, a potem kto wie. Taka włość.

– Szanowna pani reflektuje? – proponuje Piter, pokazując jej butelkę z wiśniówką.

Oczka przymrużyła oko, przygryzła dolną wargę, jakby intensywnie się zastanawiała, czy wypada jej z nami pić.

– Nie bój się – odzywam się w końcu. – Nie jesteśmy groźni i nie namawiamy, ale proponujemy.

– Nie boję się – zapewnia. – Ja w tych górach żyję od zawsze, znam tu każdy krzak. W pięć sekund bym wam znikła z oczu. Chodzi o to, że nie przepadam za alkoholem. Ojciec krzywo na to patrzy.

Zaczął mnie zastanawiać jej wschodni akcent, delikatny, ale widoczny. Bardzo uroczy. Była Polką, postawiłbym na to wszystkie pieniądze, ale może z Kresów?

– Taty z nami nie ma. – Piter rozgląda się teatralnie.

– Daj spokój – karczę go. – Nie chce dziewczyna, to nie.

– Jednewo – kapituluje w końcu Oczka, śmiesznie zmiękczając wyraz. Bierze pełny kieliszek od Piotra, a on rzuca w moją stronę bardzo wymowne spojrzenie.

Wypija, uśmiecha się, strzepuje resztkę na trawę, po czym oddaje kieliszek, dygając przy tym jak wytworna pannica z dobrego domu.

– To trzeba zakąsić – zarządza Artur i wyjmuje z plecaka plastikowy pojemnik z jedzeniem. – Najpierw ulżymy moim zapasom.

Na jednym z plecaków urządzamy prowizoryczny stolik, na który trafiają kabanosy i chleb oraz pokrojona w paski papryka. Dziewczyna siada z nami, ale chyba nie jest głodna, bo pomimo zaproszenia odmawia przyjęcia posiłku.

– Nasz przewodnik – mówi Piter, wskazując głową Artura – opowiada nam, że jest tutaj mnóstwo opuszczonych wiosek i cmentarzy. No i że tu straszy, podobno zdarza się zaginać ludziom.

– Wszystko prawda – potwierdza Oczka. – Było tu niegdyś mnóstwo życia. Łemkowie i Polacy żyli w zgodzie, wspólnie klepali biedę i razem się bawili, jak była okazja. Teraz pozostał już tylko ślad na mapach, nie słychać śmiechów, ale podobno w nocy da się usłyszeć krzyki. Tak to

jest już na tym świecie, że po radości jakoś ślad nie pozostaje, a po smutku trwa latami. Stąd duchy.

– Jakie mądre słowa – konstatuje Damian.

Mógłbym się założyć, że zanotował je w głowie, aby użyć w którejś ze swoich gier.

– Moja babuszka tak mówiła – wyjaśnia dziewczyna. – Ze szczęścia biorą się dzieci, z krzywdy upiory.

– Babcia była stąd? – pytam z zainteresowaniem.

– Tak, cała rodzina tutejsza.

– Ja tam w duchy nie wierzę – rzuca hardo Piter.

– To, że ktoś nie wierzy w noc, nie znaczy, że nie zajdzie słońce – stwierdza Damian.

– A ty wierzysz?

– Wierzę.

– Może jeszcze powiesz, że widziałeś jakiegoś? – prycha Piter. – Zjawy snujące się po cmentarzach?

– Na cmentarzach nie ma duchów – odpiera Damian. – To poświęcona ziemia i tam zmarli spoczywają w spokoju. Tutaj natomiast nikt nie święcił mogił i od dawna się nie modlił.

– Oczka, jak jest, powiedz nam? – zwracam się do dziewczyny. – Twoja babcia wskazywała jakieś miejsca, gdzie straszy?

– Babuszka mówili, że po nocy trzeba w domu siedzieć, a nie po lasach się włóczyć. Dlatego jak idziecie do Nieznajowej, to śpijcie w chatce, jest tam taka. Tam będzie bezpiecznie.

– Artur, a kiedy ty się doktoryzowałeś z Beskidu, to było coś o duchach? – pyta Piter.

– Ludzie nie lubią gór w nocy – odpowiada mu Artur. – W dzień łatwo w nich zablądzić, a co dopiero po ciemku. Najdziwniejsze są opowieści ludzi, którzy dobrze znają góry, są przygotowani, a mimo to nagle zablądzieli i musieli wzywać pomocy. Na Magurze chcieli

świętować sylwestra w dwutysięcznym roku trzech turyści, którzy Beskid schodzili wszerz i wzdłuż. Błądzili całą noc, twierdząc, że drogę myliły im szepty.

– Co? – dziwi się Piter.

– Szepty – powtarza Artur. – Gdy już wracali na szlak, las zaczynał do nich szeptać. Jeden z nich mówił, że za każdym takim szeptem skóra mu cierpła, strach zaciskał mu przełyk i zaczynał się dusić. Drugi zaczął golić głowę, bo osiwił podczas wyprawy. Ten nie chciał nic mówić, ale podobno w góry już nie wrócił.

– Pieprzenie – rzuca Piter. – Las im po nocy szumiał. Łaziłem po górach o każdej porze roku, raz nocowaliśmy na Tarnicy, żeby złapać ładne zdjęcia o świcie. Nic nie szepcze.

– Tarnica to Bieszczady – zauważa Damian.

– Góry to góry – ripostuje Piter. – Nie ma znaczenia. Po prostu w nocy jest tu tak cicho, że ucho szuka jakiegokolwiek dźwięku. Jako mieszkańcy nie znamy pojęcia ciszy, nawet w środku nocy słyszymy samochody na ulicy, pracującą lodówkę, wodę w rurach. W sytuacji ciszy nasz mózg wariuje, chce wrócić do normalności, szumi nam w uszach i stąd te szepty. Zwykle pieprzenie jak wszystkie te opowiadki.

– Ja po nocach nie chodzę po górach – wtrąca dziewczyna. – I wam też radzę nocować w Nieznajowej. Nawet jeśli to umysł płata figle, to lepiej nie karmić go strachem bez potrzeby.

Wstaje, poprawia koszulkę i szorty, łapie plecak za skórzaną szelkę i zarzuca go sobie na ramię.

– A co do zaginięć – dodaje – to babuszka nie lubiła o tym mówić. Mawiali: jak kto zaginie w lesie, to pół biedy. Gorzej, jak wróci.

– Wróci? – dziwię się.

– Ano tak. Powodzenia na szlaku – odpowiada i macha do nas ręką.

– Hej, Oczka, zrobimy sobie zdjęcie na pamiątkę? – Artur podrywa się na równe nogi i sięga do plecaka po zasobnik, w którym spoczywa aparat cyfrowy.

– Pewnie – zgadza się dziewczyna.

Artur przygotowuje prowizoryczny statyw z dwóch położonych na sobie plecaków. Ustawia aparat, sprawdza kadr i uruchamia samowyzwalacz. Stoimy wyprostowani, z uśmiechami przyklejonymi do ust, dziewczynę Artur ustawił obok siebie, chociaż Piter robił co mógł, aby mu w tym przeszkodzić. Aparat daje znak piknięciem, że zdjęcie zostało zrobione, a Leokadia, posługująca się śmiesznym zdrobnieniem, jeszcze raz nam macha i rusza w stronę ścieżki.

– Oczka, a dlaczego to tragedia, jak zaginiony wróci – woła jeszcze w jej kierunku Piter.

Dziewczyna odwraca się z uśmiechem i cały czas idąc, rysuje palcem kółka na czole.

– Bo trzeba żelazo szykować – odkrzykuje, żebyśmy dobrze usłyszeli, macha po raz ostatni i znika za kępą zielonych krzewów.

– Żelazo? – Piter robi minę, jakby właśnie dostał od Huberta Urbańskiego pytanie za milion.

– Na wampiry – wyjaśnia mu ze znanstwem Damian. – Otóż ludzie dawniej wierzyli, że jak ktoś wraca po śmierci, to jest wampirem, więc trzeba było go ponownie pochować, przebijając głowę żelaznym zębem od brony. Czytałem o tym na potrzeby jednej z gier.

– Pochówki antywampiryczne w tych rejonach były dosyć powszechne – komentuje Artur. – Ludzie strasznie się ich bali, a wśród Łemków to wierzenie było szczególnie mocne. Jeśli ktoś zginął w lesie, a potem nagle wrócił, dajmy na to po kilku dniach, było to podejrzane. Rozumiecie – dodaje, ścisząc głos. – Nie wiadomo, co się z nim działo przez ten czas...

– Wampiry? – Piotr wybucha śmiechem. – I co jeszcze? Czarownice? Misiek, kurwa, ogarnij to zabobonne towarzystwo. Całe życie się znamy, a okazuje się, że tu co drugi nawiedzony.

– Nie mam nic do powiedzenia. – Wzruszam ramionami. – Na czarownicach się nie znam, nie jestem jeszcze po ślubie. Może Artur wie coś więcej, w końcu już dwie teściowe przerobił. Podobno jedna lepsza od drugiej.

– Ha, ha, ha, pan dowcipny – komentuje przyszyły drużba. – Ale to fakt, wszystkie baby są takie same. „Kobiety nie zmienisz. Możesz zmienić kobietę, ale to niczego nie zmienia”, jak mawia Poniedziałki.

– Tak jest, zawsze powtarzam, że kto myśli, iż zasługuje na drugą żonę, ten nie zasługuje na pierwszy rozwód – mówi Damian.

– Kolejny ekspert od związków się znalazł – odcina mu się Artur. – Zbieramy się.

– Najpierw wystrugam osikowy kołek – perzy się Piter.

– Tyś osikę widział – szydzi Damian. – Chyba jak drzewo obszczałeś.

– Wiem, że jest najlepsza na wampiry.

– Według podań i mitów, owszem – potwierdza Damian. – Osika to inaczej topola, z racji jej drgania uważano ją za żywe drzewo, stąd też była idealną bronią przeciw nieumarłym.

– Kurwa, mamy takich ekspertów, że już niczego się nie boję – stwierdza Piter. – Albo to po wódce tak w was fantazja rośnie. Nie ma picia do wieczora.

– Wódko, daj żyyyć. – Damian wyciąga kieliszek w jego stronę.

Piter z uśmiechem polewa wszystkim po kolejce, wypijamy i ruszamy dalej.

Dziś uważam, że jednak mógł przygotować ten kołek.

5. Szpital

Podchodzi pielęgniarka, tym razem od frontu. Mądra kobieta, szybko się uczy. Ale wiadomo, na własnych błędach człowiek uczy się najszybciej i najskuteczniej. Ja, na przykład, nigdy więcej nie pójde w góry.

– Pana lekarstwa – mówi pielęgniarka, chyba ma na imię Ewelina.

Podaje mi kubeczek z jakimiś dwoma pigułkami. Czy to pierwszy raz? Czy drugi? Czy któryś tam kolejny? Nie wiem. W każdym razie pilnuje z zatroskaną miną, aż je połknę, po czym podaje mi kolejny malutki kubeczek, tym razem z wodą, którą szybko wypijam. Nie chciałbym umrzeć spragniony. Mówią, że rodzaj śmierci nie jest ważny, ale tylko tak pieprzą. Akurat to ma kolosalne znaczenie, sami się przekonacie.

Ostatnio miałem w głowie mądre słowo i bardzo bym chciał sobie je przypomnieć.

– Coś panu podać? – pyta pielęgniarka, chyba Ewelina.

– Nie – odpowiadam.

– Może wody?

– Tak.

Nalewa do kubka wody, podaje mi ją i szykuje się do odejścia.

– Ma pani siostrę? – pytam, starając się, żeby mój ton był spokojny, neutralny, niezobowiązujący. Jakbyśmy siedzieli na zielonej trawie, wśród gór, i pili wiśniówkę.

– Nie mam – odpowiada.

– Zabili ją? – pytam z uprzejmości, a może po prostu dla podtrzymania rozmowy.

– Nie, skąd.

– To co jej się stało?

– Nic, po prostu nie mam siostry, nigdy się nie urodziła.

– Może to dobrze, przynajmniej nikt jej nie zabije. Widziałem kiedyś podobną do pani dziewczynę. Jak ona miała na imię?

– Może się pan prześpi?

– Antycypować? Nie, przecież to nie imię. To mądre słowo.

– Zaprowadzę pana do pokoju.

Wypijam pół kubka wody, powoli, delektując się tym, że mogę, bo żyję.

Spoglądam na pielęgniarkę, chyba Ewelinę, wygląda na bardzo uroczą osobę. Muszę ją ostrzec.

– W każdym razie, jak będziesz miała siostrę, na przykład z imieniem, nawet takim, którego nie mogę sobie przypomnieć, to ona zdechnie, wiesz? – mówię.

Pielęgniarka odchodzi. Jej chód jest nieco zbyt szybki, jakby nerwowy. To pewnie przez tę siostrę, która nie żyje.

Taka tragedia.

Taka tragedia...

6. Góry

Poniedziałek, 22 sierpnia 2022 roku

Godzina 14.30

Gdzieś na szlaku

Zaraz za nieistniejącą wsią schodzimy ze szlaku, zgodnie z zarządzaniem Artura, naszego przewodnika. GPS to nowoczesne urządzenie w formie opancerzonego smartfona z kolorowym wyświetlaczem, które wydaje się całkiem aktywnie o nas dbać. Gdy musimy zejść ze szlaku, informuje nas głośnym „Uwaga, punkt na trasie, zmiana kierunku”, a o 14:30 cała nasza grupa słyszy dobiegającą z kabury dopiętej do plecaka Artura informację, że dotarliśmy do punktu docelowego „B”.

Zrzucamy plecaki i Piotrek od razu sięga po resztkę wiśniówki. Artur mocno nas pilnuje, a właściwie narzuconego przez organizatora harmonogramu, i nie pozwala na żaden dodatkowy popasik po drodze. Słońce dogrzewa coraz mocniej i błogosławię te momenty, gdy idziemy w cieniu drzew.

– Obiad! – słyszymy od naszego przewodnika. – To mój ostatni pojemnik, kolejne posiłki będą w waszych.

– Piękne miejsce – zachwyca się Damian, spoglądając na okolicę.

– Byle do cienia – rzucam i z głośnym westchnieniem przeciągam się i rozmasowuję ramiona.

Jesteśmy na niewielkim trawiastym wypłaszczeniu, z jednej strony gęsty las, z drugiej przecinka pozwalająca nam nacieszyć oczy panoramą Beskidu. Niestety, żaden z nas nie wie, którego pasma

dokładnie i jak nazywają się poszczególne wzniesienia, towarzyszące nam podczas obiadu.

– I weszły mi góry z butami do życia, wygoniły resztę świata, zyskałem w nich kochankę, przyjaciela i brata – deklamuje Damian.

– A cóż to za piękna poezja? – pyta z lekką kpina w głosie Piter.

– Moja własna.

– Przygotuj więc jakiś wiersz na spotkanie z duchami i wampirami.

– Daj mu spokój – wtrąca się Artur. – Gdybyś więcej słuchał, a mniej ruchał, to też byś może docenił piękno tego świata.

– Ależ ja słucham, patrzę, obserwuję – odpowiada Piotr, strzelając oczami na boki. – Boję się na przykład odejść na kilka metrów, bo jak wrócę, to mi wbijecie gwóźdź w czoło.

– Nie było gwoździ na liście – zauważam. – Ani żadnego innego sprzętu do walki z wampirami, upiorami i demonami. Przydałaby się srebrna kula, czosnek, święcona woda, krzyż i w co tam jeszcze ludzie wierzyli.

– Czyli po powrocie jestem bezpieczny? – cieszy się Piter.

– O ile wrócisz – zaznacza Damian. – Zaginięcia w górach są dość powszechną sprawą. W Polsce mamy stosunkowo mało gór, jednak już w Stanach jest to dość częste, nawet szeroko komentowane. Czytałem o tym sporo, jest nawet taki projekt pod nazwą *Missing 411*, który skupia się na zaginięciach w parkach narodowych. Często ktoś znika całej grupie z oczu na jedną chwilę i ślad po nim ginie. Nic nie dają poszukiwania z psami tropiącymi czy radarami. Sprawami zajmuje się były policjant, David Paulides, nagłaśnia je, snuje teorie.

– Umówmy się, że nie zawyżymy mu statystyk, co? – przerywam im i wskazuję utworzony w tym czasie przez Artura prowizoryczny biwak z czterema pojemnikami wypełnionymi kaszą z kurczakiem, oczywiście na zimno.

– Oj, Misiek, wiesz, że my tak po przyjacielsku sobie docinamy – uspokaja mnie Piter. – A ty jesteś spięty jak baranie jajca. Wyluzuj w końcu, przecież to twój wieczór kawalerski, ostatnia chwila wolności, tak jak chciałeś, z dala od cywilizacji. No chyba że nie chciałeś...

– Ja im nic nie mówiłem! – wyrywa się Artur.

– No pięknie – burczę. – To nie Magda podjęła decyzję.

– Wiem, to była wasza wspólna... – mówi Piotr, ale Artur mu przerywa.

– Była moja! – zapewnia. – Wcześniej sprzedałem pomysł Magdzie, miała mi pomóc go namówić, bo wiedziałem, że będzie marudził. Dajcie mu spokój.

– Zdrajca! – wykrzykuje Piter, wskazując na niego palcem. – Jak można robić takie rzeczy za plecami najlepszego przyjaciela?!

– O tak, powiało chujem! – dodaje Damian.

– Zobaczycie, w środę wieczorem będziecie mi dziękować, że was tutaj zabrałem – broni się Artur.

– O ile nie zaginiemy – wypala Damian.

– Albo nie wrócimy jako wampiry – dodaje Piter. – Idę się wylać. Jak nie wrócę za pięć minut, to wiecie, co robić. Młotek, gwóźdź, osikowy kołek.

Wstaje i znika w krzakach.

Artur także się podnosi i wchodzi do lasu kilkanaście metrów dalej.

– Mam nadzieję, że ich nie goni po śniadaniu – mruczę, podejrzliwie wachając kaszę.

– Taaa, chyba jeszcze do nikogo z nas nie dotarło, że rano nie będzie ukochanego kibelka, kawki i przeglądu niusów ze świata – komentuje Damian. – Możemy zacząć zdradzać pierwsze oznaki szaleństwa, znajdą nas w środę, błakających się po lesie, zaślinionych, z błędnym wzorkiem, mamroczących coś niezrozumiale. Jak zombiaki w filmach, tylko nie będziemy szukać mózgów.

– A czego? – pytam.

Damian wstaje z trawy, wyciąga ręce przed siebie i zaczyna powłóczyć nogami dookoła naszego obozu.

– Instaaaaagraaaaam! – zawodzi. – Faceboooook!

– Pewnie dlatego musieliśmy podpisać te papiery, że zrzekamy się wszelkich roszczeń w stosunku do organizatora. Oszalejemy albo dopadną nas duchy.

– Jedyńm duchem tutaj jest organizator – stwierdza, ponownie siadając. – Prawdziwe widmo.

– Serio nic o nim nie znalazłeś? Ty? – dociekam, bo Damian, z racji pracy w potężnym studiu programistycznym, ma dostęp do kilku specjalistów, którzy byliby w stanie dokopać się do najgłębszych zakamarków internetu. Swego czasu pomagał mi nawet wydostać wyniki moich testów do policji z serwerów MSW i częściowo mu się udało. A tak, nie chwaliłem się, ale jak każdy młody chłopak chciałem zostać policjantem i łapać złodziei, ale niestety nie udało się, oblałem testy psychologiczne. Widocznie nie nadaję się do uczciwej pracy, dlatego tak dobrze wychodzi mi wciskanie kredytów w banku.

– Serio – potwierdza. – Muszę przyznać, że już dawno nic mnie tak nie zirytowało. Nie lubię nie wiedzieć.

– Nie ty jeden.

– U mnie to przybiera wręcz chorobliwą formę – wyjaśnia, odkładając pusty pojemnik po obiedzie. – W pewnym momencie już miałem zatrudnić jakiegoś detektywa. Jedyne, co udało mi się ustalić, to faktycznych właścicieli tej firmy.

– To chyba proste, są w KRS-ie.

– Powierzchnie tak, ale najważniejsze są powiązania między firmami. Wyobraź sobie, że chcesz podpisać lukratywną umowę z firmą Abece. Sprawdzasz ją i wszystko jest w porządku, firma nieduża,

istnieje dziesięć lat, nie ma jej w rejestrze dłużników. Myślisz sobie: jest git.

– Może i tak, pracuję w banku, ale na kliencie indywidualnym, o firmach wiem niewiele.

– To słuchaj dalej. Firma sprawdzona, podpisujesz kontrakt, wpłacasz im jakąś zaliczkę albo robisz usługę, a firma nagle znika. Okazuje się, że tak naprawdę stało za nią kilku przekrętasów, dobrze znanych, ale trudnych do wyśledzenia.

– Ale firma była czysta.

– Była – zgadza się Damian. – Ci ludzie dużego zysku i mętnego interesu wypatrzyli przykładowo zakład fryzjerski istniejący od dziesięciu lat, kupili go, zmienili mu profil działalności i nazwę, wszystko przez podstawionych słupów, sami są z tyłu sceny. Firma istnieje od lat i przykładowo sprzedaje respiratory, ale tak naprawdę cała jej czysta historia pochodzi z tego właśnie zakładu fryzjerskiego. Da się to wyśledzić, ale potrzebna jest odpowiednia wiedza. I pieniądze, oczywiście.

– Niezły przekręt.

– Często stosowany przy imprezach masowych i w eventach. Ktoś organizuje potężny koncert, zatrudnia artystów, ochronę, obsługę, sprzedaje bilety. W dniu imprezy znika z kasą, a wszyscy są na lodzie, zarówno wykonawcy, jak i widzowie. Zapytaj Artura, pewnie poda ci kilka przykładów. *Ad rem* – mityguje sam siebie. – Znalazłem człowieka, który mi to sprawdził, i okazało się, że nasza firma nie nazywała się od początku tak jak teraz, ale też nie była to żadna dziwna sprawa.

– Czym się zajmowali?

Zanim zdąży mi powiedzieć, coś nam przerywa.

– Wilk! – słyszymy ryk autentycznie podszyty strachem.

Z lasu wybiega Piter próbujący dopiąć spodnie, zatacza się i spoziera w stronę drzew, po czym znowu w naszą. Udaje mu się w końcu uporać z paskiem i podbiega do nas.

– Co jest? – pytam, wstając.

– Kurwa, wilk. Jak Boga kocham, jebany wilk! – krzyczy.

– Uspokój się! – Damian łapie go za ramiona.

– Wilk, kurwa – powtarza.

– Na pewno już uciekł. Dzikie zwierzęta raczej boją się krzyku. No i same z siebie nie atakują ludzi, wilki w szczególności.

– Skoczył na ciebie? – dopytuję z troską, widząc, że nie żartuje.

– Kurwa, nie! Nie skoczył. Poszedłem się złamać kulturalnie na dwójkę, znalazłem takie drzewko, którego można się przytrzymać, i luz. Aż tu nagle usłyszałem za sobą warczenie. No powiem wam, że z pozycji Małysza wykonałem taki skok, że zawstydziłbym nawet samego mistrza.

– Może to był pies? – sugeruję. – Jak wyglądał?

– Nie wiem, nie widziałem, słyszałem tylko to warczenie.

Z lasu wybiega Artur.

– Co tu się odjaniepawła? – woła.

– Pitera napadł wilk – informuję.

– Wilk?

– Tak, kurwa, wilk! – potwierdza po raz kolejny Piter, znowu nerwowo spoglądając w stronę lasu.

– Może od razu niedźwiedź? – kpi Artur. – Przecież ty byś wilka od yorka nie odróżnił. Jedyny, jakiego widziałeś, to w bajkach o Czerwonym Kapturku.

– A ty go nie widziałeś? – upewnia się Damian. – Też byłeś w lesie.

– No nie, wylałem się i już, a potem wybiegłem, bo usłyszałem, że się drzesz.

– Nie słyszałeś warczenia? – Piotr ewidentnie jest zdenerwowany. Jeszcze na początku myślałem, że może robi sobie jaja, ale nie, jego faktycznie coś przestraszyło.

– Nie – odpowiada Artur i nagle przestaje się uśmiechać. – Ty nie żartujesz, co?

– Tym razem nie.

– W sumie wilk w lesie to normalna rzecz – stwierdza Damian. – Chyba.

– Pokaż, gdzie to było – zarządza Artur. – Tylko poczekaj, wyjmę z plecaka gaz pieprzowy. Działa na psy, to na wilka też poradzi.

Ruszamy, uzbrojeni, Piter wskazuje miejsce, z którego wybiegł, wygnieciona trawa zresztą jasno wskazywała jego trasę ucieczki. Artur odbezpieczył puszkę z gazem i wszedł pierwszy.

Już po kilku krokach otacza nas ciemność. I cisza. Czuję, jakbyśmy zapadli się w chłodną, czarną pościel w hotelu, oddzieleni od świata zewnętrznego. Tylko nasze oddechy przebijają się przez wyprane z dźwięków otuliny listowia. Każdy krok wydaje mi się głośny, jakbyśmy stąpali po tłuczonym szkłe. Krok, chrzęst, krok, chrzęst, mimo miękkiej ściółki pod stopami.

Piter pokazuje palcem drzewo, pod którym próbował się załatwić. Odruchowo zatrzymujemy się i nasłuchujemy.

Żadnego warczenia.

Cisza złamana szumem drzew, gdzieś wysoko pod niebem, to wszystko, co możemy usłyszeć.

Rozglądam się, ale nie widać śladów wilka. Co prawda, zaden ze mnie tropiciel, nie myślcie sobie, ale jeśli zwierzę uciekało, to mogło zostawić jakieś ślady: odciski w ziemi, złamane gałązki, zagniecenia w trawie. Cokolwiek potwierdzającego wersję naszego przyjaciela.

Ktoś powinien rzucić żartem, przełamać tę ciszę, rozładować atmosferę, być tym pierwszym grzmotem w skwarny dzień, który

zapowiada ulgę w upale, ale nikt nie wypowiada nawet słowa.

Artur przykłada palec do ust, nakazując ciszę i zaczyna się wycofywać. Dziwne, ale nikt z nas nie odwrócił się plecami w stronę drzewa wskazanego przez Pitera. Idziemy niemal tyłem, bacznie obserwując okolicę.

Gdy wychodzimy z lasu, czujemy się jak w innym świecie. Jakby zeszło z nas ciśnienie, jak po opuszczeniu dusznej sali egzaminacyjnej. Stajemy wokół naszych plecaków, rzucamy na siebie krótkie spojrzenia, miny mamy niezbyt pewne. Piter oczywiście ma najmniej tęgą, jakby obawiał się wyśmiania.

– Zaczniemy od tego, że ci wierzę – odzywa się wreszcie Artur. – Ludzie z firmy ostrzegali, że możemy napotkać wilka albo inne dzikie zwierzę, bo poruszamy się poza szlakami. Uważałem, że dramatyzują, no ale może coś w tym jest.

– Spoko, ale przecież nie będziemy teraz chodzili srać w parach – zauważa Damian.

– Jaka jest szansa, że spotkamy jeszcze raz wilka? – zastanawia się Artur.

– Mizerna – odpowiadam.

– Otóż to. Kto na dwójeczkę, ten bierze ode mnie gaz i w krzaki. Umowa?

– Zgoda – rzucamy niemal chóralnie.

– No, to po szklanie i na rusztowanie – komenderuje z westchnieniem ulgi Piter, który ewidentnie się uspokaja z każdą chwilą. – Kończymy butelkę i idziemy dalej. Mnie ochota na wypróżnianie się całkiem odeszła.

– A mówią, że najłatwiej zesrać się właśnie ze strachu – przypomina Damian.

– Ha, ha, ha – kwituje docinek Piter. – Najzabawniejszy dowcipniś w całym Lublinie, patrzcie go.

Wszyscy pochodzimy z Lublina, ale nasza paczka zawiązała się dopiero na studiach, a te wypadły nam w Warszawie. Do rodzinnego miasta wróciliśmy niemal w komplecie, tylko Damian postanowił zostać w stolicy. Już w trakcie studiów znalazł pracę w studiu gamingowym i nie widział sensu w opuszczaniu Warszawy, wpadał jednak do nas przynajmniej raz w miesiącu, a czasem my wybieraliśmy się do stolicy, żeby wspominać studenckie czasy.

– Jak tam z waszym Rozpruwaczem, co? – zagaduje Damian, bawiąc się kieliszkiem. – Nadal grasuje?

– Ta – odpowiadam krótko. – Jeszcze go nie złapali.

– I nie złapią – stwierdza Piter. – Za ciency są, seryjni mordercy w większości przypadków wpadają przez swoją głupotę, więc jeśli mamy liczyć na spektakularny przełom, to gość po prostu musi dać dupy.

– Ile ofiar ma już na koncie? – pyta Damian.

– Dwanaście – informuję cicho. – Sześć kobiet i sześciu mężczyzn.

– Nieźle jesteś zorientowany – zauważa.

– Człowieku, cały Lublin o niczym innym nie mówi – odpowiadam.

– A moja Magda żyje tą sprawą, śledzi każdą wzmiankę o tym psycholu. Wiesz, chce być profilerem, robi jakąś tam specjalizację i tak dalej. Ogląda na okrągło filmy o tych maniakach, czyta książki. Że się tak wyrażę: ekscytuje się tematem. Więc pewnie wiem o Rozpruwaczu z Lublina więcej niż on sam o sobie. A co, stolica zazdrości prowincji porządnego mordercy?

– Warszawa wszystkim zazdrości – obwieszcza Damian. – Musimy mieć najwyższe zarobki, ale też najwyższą cenę za metr kwadratowy mieszkania. To tutaj koncentruje się życie kraju, więc i najsłynniejszy seryjny morderca powinien działać w warszawskich dzielnicach, na Woli, Mokotowie albo Pradze, a nie lubelskich Czubach, Felinie czy Węglinie. W innym wypadku dochodzi do marginalizacji jego poczynań,

bo kto w Polsce wie, gdzie leżą i co to są, kurwa, Czuby? No i komu on ma zagrażać w tym Lublinie? Ani tam polityków, ani aktorów czy chociażby celebrytów.

– Morduje prostytutki i ich klientów – wyjaśniam. – Zawsze w parach.

– Politycy pod prostytutki chyba się podciągają, co nie? – Artur rechocze. – Chociaż nie wiem, czy nie obraziłem w tym przypadku przedstawicielek tego niewdzięcznego zawodu.

– No to w Warszawie miałyby używanie – zauważa Damian. – Dodając jeszcze, że wszyscy artyści to prostytutki, to ofiar miałyby na lata. Może się kiedyś przeniesie.

– Podejrzewam, że z chęcią byśmy wam go oddali. W mieście zaczyna się lekka panika. Niby wiadomo, poluje na prostytutki, ale może mu coś odbije i zabije zwykłą studentkę? Kobietę wracającą po zmroku z pracy?

– To prawda, że je rozcina? Rozpruwa? Patroszy? – docieka Piter.

– Magda mówi, że tak. Przerabiali to na jednych zajęciach podczas specjalizacji, był ktoś z komendy i robili na ocenę profil. W jakiś sposób dostaje się do mieszkania, gdzie mają schadzki, zabija obydwój, podcinając im gardła, a potem... Rozpruwa je, dziewczynom wycina macice. Facetów kastruje.

– Psychol – komentuje Piter.

– Brzmi jak krwawa rzeźnia – dodaje Artur. – Ależ tam musi być krwi, matko jedyna.

– No, widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni, Magda mi pokazywała. Naprawdę, zobaczyłem jedno i mi się odechciało kolejnych. Morze krwi.

– A coś wyszło z tego profilowania? – pyta zaintrygowany Damian.

– Szczerze, to nie pamiętam. Trzeba by z Magdą pogadać. Sama powiedziała, że taka klasyka, normalny gość, którego nikt nie

podejrzewa. Pamiętam tylko, że to morderca uporządkowany. Są podobno takie dwie kategorie.

– Dokładnie, dwa typy – potwierdza Damian. – Uporządkowany, który planuje i pilnuje, nie zostawia zazwyczaj śladów, i chaotyczny, który działa pod presją chwili. Ten pierwszy ma wszystko zaplanowane: miejsce zbrodni i najczęściej ofiarę. Drugi raczej idzie w miasto na swój teren łowiecki i czeka, aż nadarzy się okazja.

– Dlatego po raz kolejny twierdzę, że góry to jednak dobry pomysł – oświadcza Artur. – Gdybyśmy zostali w mieście, pewnie coś głupiego przysłoby nam do głowy i nieszczęście gotowe: pojawiłby się Rozpruwacz z nożem, a tak to grozi nam tylko wilk.

Zaczynamy pakować rzeczy po obiedzie, a ja się zastanawiam, czy gdzieś tam w lesie faktycznie obserwuje nas wilk. Albo może ktoś inny? Obserwował.

7. Szpital

Ogród jest otoczony drzewami. Szumią spokojnie na wietrze – w końcu taka rola drzewa, szumieć. Zupełnie jak las szumią. Zupełnie jak las.

Nie mogę zamknąć oczu, bo widzę nasz las, a tam nie dzieje się nic dobrego, tyle wam powiem.

Tam coś szepcze, czasem warknie, nic przyjemnego, łązi też coś.

Żeby nie zamykać oczu, to nie mrugam. Oczywiście długo tak nie można, a szkoda. Człowiek jest niewolnikiem mrugania i spod tego buta ciemieży wy dostać się nie sposób.

Gdy zamknę oczy, widzę las.

Gdy je otworzę, widzę drzewa.

Niby jedno i to samo.

Czy to granica ułudy?

Dwa światy?

Jeden, w którym siedzę w ogrodzie i spokojnie czekam na koniec, w drugim natomiast jestem w lesie i strasznie nie chcę, aby koniec nastąpił.

Otwarte oczy. Spokój.

Zamknięte oczy. Panika.

Podnoszę rękę, bo przechodzi obok pielęgniarka. Ma na imię Ewelina, chyba.

– Czy mogę dostać coś na sen? – pytam.

– Teraz? – dziwi się. – Muszę zapytać lekarza.

– Po prostu nie chcę mrugać.

Patrzy na mnie, jakbym pytał o drogę w jakimś obcym języku, był turystą zagubionym we wrogim kraju. Czyż tak nie jest właściwie?

Ja jestem chory, w miejscu dla chorych, otoczony chorymi, lecz porozmawiać idzie jedynie ze zdrowymi, a z nimi znowuż gadać nie sposób, bo nie mówimy w tym samym języku.

– Sen pomaga na mruganie – tłumaczę.

– Rozumiem – odpowiada w końcu pielęgniarka, chyba Ewelina, ale odpowiada dopiero po chwili, jakby musiała otrzymać zgodę na przetłumaczenie moich słów, a potem jeszcze na odpowiedź.

– To bym chciał. Bardzo. Nie chcę mrugać. To kłopotliwe.

– Zapytam.

– Bardzo dziękuję. – Jestem miły, bo to miła osoba.

– Proszę.

Uśmiecha się i rusza w kierunku budynku szpitala.

No i powiem wam, że jak tylko odchodzi, to zaczyna się ten sam cyrk z drzewami i już mam go trochę dosyć.

Zamykam oczy. Las.

Otwieram oczy. Ogród.

Zamykam.

8. Góry

Poniedziałek, 22 sierpnia 2022 roku

Godzina 17.00

Gdzieś na szlaku

W życiu ignorujemy setki, jeśli nie tysiące znaków ostrzegających nas przed zagrożeniem. Na drodze olewamy te ustawione na poboczach, bo przecież wiemy, jak jeździć szybko i bezpiecznie. Przy umowie kredytowej nie będziemy czytać setek stron zapisanych drobnym maczkiem, no bo przecież wszyscy się zapożyczają, więc co może pójść nie tak. Jeśli nasza dziewczyna jest najmilszą osobą na świecie, ale jej matka zgoła wredną, apodyktyczną i zbyt dużo wymagającą od wszystkich zołą, to machamy na to ręką, bo przecież nasze kochanie takie nie będzie.

Chcecie wiedzieć, jakie jest moje zdanie na ten temat? I tak wam powiem. Dociera do nas zbyt dużo informacji i nie jesteśmy w stanie ich wszystkich zapamiętać, a co dopiero posegregować. Według badaczy otrzymujemy dziennie dwadzieścia tysięcy komunikatów reklamowych! Dwadzieścia pieprzonych tysięcy! To jest pięć i pół godziny, gdy widzimy tylko reklamy. Jak w tym zalewie gówna wyłowić komunikat ostrzegawczy?

No, kurwa, nie da się.

Co innego, gdy jesteś w lesie Beskidu Niskiego, spokojnie sikasz na zielony mech, oczekujesz na warknięcie wilka, a dostrzeżasz gdzieś tam na skraju widzialności, w ostatnim rzędzie drzew, postać.

Osikana nogawka to jasny sygnał, że to było ostrzeżenie o zagrożeniu.

Zapinam szybko rozporek i podchodzę dwa kroki, żeby zweryfikować dostrzeżony obraz.

Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, serce wali jak szalone, zasilane kolejnymi dawkami adrenaliny, co ma wyostrzyć zmysły i przygotować na zagrożenie. Pierwotny instynkt zadziałał, znowu jest tam, gdzie jego miejsce, w lesie, a nie w betonowej dżungli. Gdyby miał uruchamiać się na każdym skrzyżowaniu w mieście, to serce złożyłoby wypowiedzenie po dwóch dniach.

Dwa kroki nic nie dają, las pozostaje szary. Dziwne, zieleń bije po oczach, ale gdy chcę dopatrzeć się szczegółów, zalewają mnie szarość i brąz. Słońce rozbiło swą główną moc o zwięzłą koronę buków i nie chce mi pomóc w zweryfikowaniu, co ja tak naprawdę widziałem.

Mózg dyskutuje z instynktem, dopasowując rozmazany kształt do wszystkich znanych mi obrazów: mężczyzna, kobieta, dziecko? No gdzie dziecko w lesie, co ty? To był zając, może jakaś sarna. Ewentualnie ten pieprzony wilk, borsuk, jenot, cholera wie, co tam żyje w tych lasach, ale nie dziecko. Dzieci same nie chodzą do lasów, szczególnie tak oddalonych od ludzkich siedzib. Tu w ogóle nie powinno nikogo być, chyba że jakiś leśnik, ale ten nie kryłby się na granicy postrzegania. Dzik, to musiał być dzik.

Podchodzę jeszcze dwa kroki i niepewnie odwracam się, sprawdzając, czy nadal widzę prześwitujące światło słońca wskazujące drogę powrotu. Widzę. Ale nie pójdę dalej w las, o nie. Za dużo horrorów widziałem w życiu, zbyt wiele razy krzychałem na głównych bohaterów „Nie idź tam, debilu!”, żeby teraz ruszył w pogoń za ułudą.

Dobra, uznajcie mnie za wariata, ale ja naprawdę widziałem tam postać człowieka lub czegoś człekopodobnego. To nie był dzik, sam z siebie głupka robić nie zamierzam. Teraz tylko muszę to potwierdzić, naocznie. Zobaczyć ponownie.

Lustruję jeszcze raz głębię lasu, ale nadal niczego nie widzę.

Wracam.

Chodź...

Usłyszałem szept?

Tak.

A może nie?

Rozglądam się bacznie, ale nikogo nie ma. Żadnych dzieci, wilków, saren czy jenotów.

To pewnie drzewa szumią, wszak rolą drzewa jest szumieć, szczególnie w lesie, co nie?

Wracam powoli, stawiając krok za krokiem, staram się wygłuszyć nawet własny oddech, żeby usłyszeć kolejny szept.

I słyszę.

Chodź. No chodź...

Zamieram.

Odwracam się.

Postać stoi w lesie i patrzy na mnie. Ubrana na czarno rozmywa się jak fatamorgana, przez chwilę jest krzakiem, sekundę później człowiekiem, by w okamgnieniu znowu zamienić się w pień drzewa.

Jest daleko, za daleko, żeby ocenić chociażby dokładnie płeć, wiek, cokolwiek. Nie widzę twarzy, jest opuszczona i zakrywa ją kaptur, albo też wcale jej nie ma. Sam nie wiem, co gorsze. Wysilam wzrok, aż bołą mnie oczy. To uczucie – jakbym starał się dosięgnąć rzuconych pod łóżko kluczy, brakuje tego jednego cholernego centymetra, ale już wiesz, że głębiej nie sięgniesz.

Skąd przeświadczenie, że to dziecko? Skąd pewność, że to człowiek? Może to złudzenie, nadinterpretacja, jak zobaczenie wieszaka z ubraniami w ciemnym pokoju z przekonaniem, że ktoś czai się w mroku?

To człowiek.

To dziecko.

Wiem to, gdzieś tam z tyłu głowy nadciąga informacja, że nie ma mowy o pomyłce.

Podnosi delikatnie prawą rękę, a mnie zaczyna dławić strach. To ręka czy jednak taniec cieni albo ruch gałęzi? Nie, nie ma tak silnego wiatru, to nie to.

Chodź.

Fala strachu wzbiera we mnie niczym rzeka po wielu dniach intensywnych deszczy, wdziera się w każdy centymetr ciała, rozlewając po nim tę brudną, mulistą, pełną syfu wodę, i już wiem, co to znaczy skamienieć ze strachu.

Postać odwraca się i znika, wystarczyły jej dwa kroki, żeby zatopić się w listowie. Moje kolejne dwa kroki nie pozwalają jej dostrzec.

Hi hi hi...

Ten dziecięcy śmiech testuje moc moich zwieraczy; łapię się najbliższego drzewa i dopiero to sprowadza mnie z powrotem do rzeczywistości. Chłodna i chropowata kora daje mi znak, że jestem prawdziwy, ten las także, że to nie sen, że świat toczy się po staremu, a ludzkość nadal dąży do samozagłady.

Odwracam się w stronę naszego małego obozowiska, założonego na krótki postój, i ruszam. Klepię się dwa razy po policzkach, sięgam drżącą ręką do kieszeni po paczkę mokrych chusteczek, przecieram nimi czoło. Oddycham głęboko, moje serce wraca do normalnego trybu pracy.

Zatrzymuję się, odwracam raptownie, jakbym grał w dziecięcą grę „Raz Dwa Trzy Baba Jaga Patrzy” i mój wzrok mógł sparaliżować wszystkich lub wszystko, co zmierza w moim kierunku, ale nikogo nie widzę. Na szczęście.

Nie mogę pokazać się chłopakom w takim stanie, o nie. Bo to nie było prawdziwe, ot co. Wilk mógł przyłapać Pitera na sraniu, a i

owszem, ale dziecko w lesie?

Z każdym kolejnym oddechem jest lepiej, każda sekunda utwierdza mnie w przekonaniu, że to był jednak dzik, a najpewniej miraż.

Wychodzę na polanę, widzę plecaki rzucone na trawę, na jednym z nich kolejna butelka wiśniówki, rozbawieni przyjaciele, Artur chyba opowiedział jakiś dobry dowcip, bo reszta śmieje się całkiem szczerze, Piter nawet ociera łzę.

– Strzemiennego i w drogę – zarządza Artur, nalewając wódkę do kieliszków.

– Opowiedz to Miśkowi – prosi Piter, ale nadaremnie. Mój przyjaciel nigdy nie opowiada dwa razy tego samego dowcipu.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Damian.

– Tak – kłamię krótko i bez wyjaśnień. Podstawa kłamstwa: krótko i treściwie, bez zbędnej legendy.

– Żadnych wilków? – dodaje Artur.

– Absolutnie żadnych wilków – odpowiadam.

– Nie wzięłeś ze sobą gazu – zauważa Artur. – Żeby mi to było ostatni raz.

Zarzucając plecaki na siebie, koszulka przylega mi ponownie do mokrych pleców. W tym lesie spoczęłem się ze strachu bardziej niż przez całą dotychczasową trasę.

Ruszamy dalej, według Artura, jako drużynowego operatora GPS, już bezpośrednio do ostatniego punktu, gdzie czeka nas nocleg pod namiotami. Idzie zresztą jako pierwszy, a boczną kieszeń bojówek wypycha mu gaz pieprzowy. Zaraz za nim Piter, o czymś gadają, ale nie skupiam się na tym, lekko zwalniam. Damian, idący jako ostatni, zrównuje się ze mną.

– Mistrzu, sporo czytałeś o tych wszystkich dziwnych wydarzeniach w górach, co nie? – pytam go.

– Tak, jak wiesz, jestem specjalistą od wiedzy zbędnej. Przydaje mi się to w pracy. – Damian lekko się uśmiecha, jego duża głowa porusza się zgodnie z rytmem kroków, jakby nucił w głowie jakąś piosenkę.

– Mówiłeś o zaginięciach, ale też o szeptach i innych takich.

– Tak.

– Te szepty to było coś konkretnego?

– Różnie mówią, ale najczęściej, że to coś takiego na granicy słyszalności, ale jednocześnie każdy z relacjonujących zarzekał się, że nie da się ich pomylić z szumem wiatru ani z czymkolwiek innym.

– A coś oprócz tych szeptów?

– Jest kilka wspólnych wydarzeń dla tych relacji. Po pierwsze osoby, które zagięły w górach, często mówią nie tylko o szeptach, ale innych dźwiękach: o gwizdaniu, o odgłosach jakby gry na flecie. Nie są w stanie sprecyzować tego dźwięku.

– Nieźle. A to tylko dźwięki, czy zdarza im się też coś zobaczyć?

– Oczywiście, mówią o tajemniczych światłach. Przybliżają się, oddalają, szybko znikają, odlatują, dlatego też relacje te padły na podatny grunt maniaków od UFO. Utkali teorię, że to obcy zasadzają się na ludzi, bo przecież w górach łatwo kogoś porwać i pozostać niezauważonym. Wielu widziało dziwne postacie, jakby Wielka Stopa, stąd też wiele opowieści o niezidentyfikowanych stworach żyjących w niedostępnych górach. Często widzą też w oddali jakieś osoby, jakby wędrowców czy błakające się kobiety.

– Dzieci?

– Dzieci też. Chcą im pomóc, gonią je, a potem nagle nie wiedzą, gdzie są, i koniec.

Damian zatrzymuje się, a ja razem z nim. Patrzy mi w oczy. Jest wyższy o głowę i mogę śmiało powiedzieć, że jego spojrzenie mnie przytłacza.

– Michał, widziałeś coś, prawda?

– Widziałem – odpowiadam natychmiast, żeby przypadkiem nie zacząć myśleć nad sensem tego działania.

– Co?

– Postać. Może to było dziecko. Może dzik, ale widziałem to, teraz, na postoju, gdy poszedłem do lasu się wysikać.

Damian kiwa głową. Jest poważny i ta jego powaga zaczyna mnie przerażać.

– To był człowiek – dodaję po chwili, pewnym głosem.

– Wierzę ci.

– Jak myślisz, dlaczego to się dzieje? – pytam szybko, żeby pozbyć go tej powagi, która mrozi mnie niemal tak, jak to, co wydarzyło się przed chwilą w lesie.

– Teorie są różne – odpowiada i ruszamy dalej, aby nie stracić dwójki przyjaciół z oczu. – Jedna to przemęczenie. Złe warunki pogodowe, jak choćby upał tak jak teraz, niedożywienie, odwodnienie. I omamy gotowe.

– Rozumiem.

– Druga to zmiana warunków. Jeśli mieszkasz całe życie w gwarnej mieście i nagle rzuca cię do lasu, to mózg niestety głupieje, topi się w nowym otoczeniu, nie potrafi odpowiednio ocenić zastanej rzeczywistości. Wszystkie dźwięki są dla niego nowe, tak samo obrazy, nawet zapachy. Natychmiast przechodzi w tryb bojowy i wyczekuje zagrożenia, nawet najmniejsze podkręca do granic możliwości. Dam ci dwa przykłady, chcesz?

– Dawaj.

– Pierwszy. Naukowcy udowodnili, że jeśli śpimy w nowym miejscu, to przez całą noc jedna połowa mózgu nieustannie pracuje, żeby utrzymać gotowość na zagrożenie, a my nie jesteśmy tego świadomi. W domu śpimy na całego, bo nasz mózg zna to otoczenie. Dlatego często w hotelu się nie wysypiamy, mimo komfortowych warunków.

– Serio?

– Tak. A drugi to moment wypadku. Ludzie mówią, że w trakcie stłuczki samochodowej całe życie przelatuje im przed oczami. W chwili ekstremalnego zagrożenia życia czas nie zwalnia, ale nasz mózg wspina się na wyżyny swoich możliwości, analizuje wszystkie prawdopodobne zdarzenia, ich potencjalne konsekwencje i jednocześnie drogi ratunku. Podobnie dzieje się właśnie w górach, nocą, gdy mózg stara się nas uratować przed potencjalną śmiercią. Każdy szmer wyłapujemy ze zwiększoną ostrością, mignięcie światła, które w normalnych warunkach całkowicie byśmy zignorowali, tutaj widzimy i obserwujemy. W byle zającu, ruchu drzewa widzimy człowieka. Nadinterpretujemy wszystko, co się dookoła nas dzieje.

– Dlatego widziałem jakąś postać?

– Bardzo możliwe. To też wyjaśnia fenomen nawiedzonych domów. Ludzie idą do nich i są jak jeden wielki czujnik; szумы i stuknięcia, które w normalnych warunkach zignorowaliby, tutaj przybierają formę manifestacji sił nadprzyrodzonych, mimo iż przeczy to rozsądkowi.

– No tak, rozum. Rozsądek. Może warto ich posłuchać, co?

– Powiedz mi, jako człowiek racjonalny, bankowiec, jakie jest prawdopodobieństwo, że widziałeś prawdziwe dziecko w środku Beskidu Niskiego, kilkanaście kilometrów od najbliższych zabudowań?

– Niewielkie. Nawet zerowe.

– Sam widzisz.

– Słyszałem też szepty.

– Jesteś pewien? – Damian znowu się zatrzymuje i świdruje mnie tym swoim poważnym wzrokiem.

– Tak. Jak wspomniałeś, na granicy słyszalności, ale chyba wiem, co mówiły. Chodź.

– Według mnie to ten sam mechanizm, Michałku. Usłyszeć szept w delikatnym szumie wiatru? Jak najbardziej możliwe.

- To nie był wiatr.
- Kiedy ostatni raz byłeś w lesie? – pyta.
- Cholera, nie pamiętam. Będzie kilka lat.
- A sam? Kiedy ostatni raz po prostu wszedłeś w głęboki las bez żadnego towarzystwa?

Myszę i wertuję szuflady pamięci, przerzucając kartki z zapisanymi wspomnieniami, ale za cholere nie mogę znaleźć kategorii „las”. Odpowiedź zatem jest nieco wstydliva.

- Chyba nigdy.
- Oto wyjaśnienie zagadki. – Damian rusza przed siebie. – Za duzo opowieści o duchach, według mnie. Do tego zmęczenie, upał, wódka i stres związany ze ślubem. Niebezpieczny koktajl, Michałku.

- Nie stresuję się.
- Jasne, nic a nic.
- Może trochę.
- Moja rada: jak to się powtórzy, te szeptu i dziwne postacie, to od razu odwróć się i wracaj do nas. A najlepiej to może faktycznie nie chodźmy nigdzie w pojedynkę. Zaczynamy się nakręcać. Nasłuchaliśmy się opowieści o tym, co się dzieje w górach, i teraz w każdym ruchu gałęzi albo szumie drzew będziemy słyszeć szeptu, a w pierdnięciu warkot wilka.

- Może masz rację.
- Zaraz dotrzemy na miejsce, posiedzimy przy ognisku, będziemy snuć opowieści, wspominać nasze wszystkie durne wyczyny ze studiów, byłe dziewczyny, spożywać alkohol w nieracjonalnych ilościach i dobrze się bawić. Nic nam się nie stanie.

Kiwam głową, przyznając mu rację.

Ale jej nie miał.

9. Szpital

Szepty.

Szeptuchy.

Szeptanki.

Dlaczego tak mocno przeraża nas szept? Co jest w nim magicznego? Mistycznego?

Kochankowie szepczą sobie miłe słówka do uszka. Matki, usypiając swoje dzieci, wyszeptują im nad główkami słowa miłości. „Ach śpij, kochanie” – mówią ściszym głosem.

Szeptem przekazujemy sobie tajemnice, szeptuchy w ten sposób przeganiają choroby.

Do mnie szeptał las i miałem od pierwszej chwili pewność, że nie jest mi kochankiem, czułem ojcem czy znachorką, o nie. Nie miałem złudzeń i nie mam ich dziś. Las szeptał, bo chciał mnie zabić. A po co o tym głośno krzyczeć, oznajmiać wszystkim? Niepoważne! Dlatego las szeptał o śmierci. Do mnie.

Chodź, mówił.

Jakie to piękne słowo: „szept”. Zaczyna się miękko, delikatnie, a kończy tak twardo i nieubłaganie. Dokładnie jak nasza wyprawa.

Zły las pełen szeptów.

10. Góry

Poniedziałek, 22 sierpnia 2022 roku

Godzina 16.00

Gdzieś na szlaku

Artur stoi wpatrzony w las, jakby zawieszony w powietrzu dzięki tajemniczej magnetycznej sile, i cholernie mnie to przeraża.

Co może przestraszyć człowieka, sprawić, że zadrży, na jego plecach pojawi się zimny pot, włosy staną dęba i cały świat po prostu skumuluje się do źródła przerażenia?

Anomalia.

Coś, co się wydarza, choć nie powinno. Coś, co widzieliśmy do tej pory jedynie w horrorach, a przydarza nam się w szary poniedziałek.

Dokładnie w tej chwili przypomina mi się dziwna rozmowa z matką, miałem wtedy może z osiemnaście lat. Spojrzała na mnie, roześmianego z powodu jakiegoś marnego dowcipu usłyszanego w telewizji, złapała za dłoń i powiedziała, patrząc mi w oczy, zupełnie nie jak do syna, ale do obcego człowieka, któremu zwierza się ze strasznej tajemnicy, szybko, bo za chwilę o niej zapomni.

– Wiesz, co mnie w życiu najbardziej przeraziło? – zapytała.

– Stan wojenny? Oświadczyły ojca? Moja twarz po porodzie? – dopytywałem, śmiejąc się dalej.

– Ty – odparła krótko.

– Ja? – zapytałem co najmniej głupio, jeszcze z cieniem radości w głosie.

– Szliśmy kiedyś przez park, ten w Ogrodzie Saskim. Siadłam na ławce, zaczęłam rozwiązywać krzyżówki, a ty biegałeś i liczyłeś

wiewiórki. Miałeś sześć lat i liczyłeś wtedy wszystko, co było dość kłopotliwe. Wydłużało nam strasznie spacer. Nie wiem, po jakim czasie zorientowałam się, że jest za cicho, że nie słyszę twojego śmiechu, gadania i tupotu nówek. Zerwałam się z ławki w ciągu sekundy, przerażona, w myślach już widziałam cię porwanego, sprzedanego na czarnym rynku albo uprowadzonego przez pedofila.

– Takie rzeczy chyba zdarzają się rodzicom, co nie? Te chwile przerażenia.

– Tak, ale najgorsze nastąpiło chwilę potem.

– Ale żyję, więc chyba nie było tak źle?

– Słuchaj mnie! – podniosła głos. – Nigdzie nie uciekłeś, nikt cię nie porwał, gdy tylko poderwałam się z ławki, to zobaczyłam cię niemal od razu, stałeś obok dużego krzewu, nie wiem, to była chyba magnolia. Krzyknęłam twoje imię, ale nie zareagowałeś.

Zobaczyłem w myślach moją matkę i usłyszałem niemal ten krzyk, mocno naładowany ulgą, ale jeszcze z brzęcącym gdzieś tam ładunkiem strachu.

– I to cię przeraziło?

– Stałeś bez ruchu – odparła z powagą. – Podbiegłam, ale dla ciebie świat nie istniał, po prostu stałeś wpatrzony w przestrzeń, nie żeby tam coś było, nic z tych rzeczy. Ot, zwykłe miejsce między krzakiem i drzewem, z kutym ogrodzeniem w tle. Właśnie dlatego to było przerażające, bo tam nie było niczego, a ty stałeś. Nieruchomy, z napiętymi mięśniami, skupiony na jednym punkcie, jakby ktoś zatrzymał odtwarzanie filmu. Zawołałam ponownie i jeszcze raz, ale bez efektu, a bałam się ciebie dotknąć. Miałam dziwne przeczucie, że jeśli złapię cię za ramię, to odwrócisz się nagle z wyszczerzonymi zębami i rzucisz się na mnie.

– Fantazjujesz – prychnąłem, ale ona mówiła dalej.

– Nie jestem przesądna, nie wierzę w duchy czy wróżby, ale w tym momencie uwierzyłam we wszystkie straszne opowieści, jakie usłyszałam w życiu. Przez tych kilka długich chwil wierzyłam w nawiedzone domy, wampiry grasujące po zmroku, czarną wołgę polującą na dzieci i w żywe trupy. W dziecięce demony, w te wszystkie strzygi, beboki, mamuny i podciepy, które rzucają się rodzicom do gardeł, w nawiedzenia i egzorcyzmy. We wszystko.

– Dlatego, że zapatrzyłem się na krzak?

– Dlatego, że byłeś niezwykle energicznym chłopcem, o takich mówi się „żywe srebro”. Wszędzie było cię pełno, nawet siedząc na krześle, wymachiwałeś nogami i wierciłeś się niespokojnie, jakbyś już od urodzenia wiedział, że życie na tym świecie jest limitowane i było ci szkoda każdej straconej chwili. Nie zwykłeś zatrzymywać się w miejscu, a już na pewno nie zdarzało ci się stać i wpatrywać się w krzaki jak sroka w gnat. Potem podniosłeś rączkę, jakbyś chciał kogoś dotknąć, powoli, jak gdybyś nie stał w parku w słoneczny dzień, a pływał w basenie. Twoja rączka wędrowała do góry, na wysokość twarzy, po czym zatrzymała się, jakbyś czegoś dotknął, miłego i ciepłego. Podeszłam bliżej i spojrzałam ci w twarz, szukając tego uśmiechu, który znam, ale go nie było. Poważna twarzączka, wpatrzone w dal oczy. Patrzyłeś przeze mnie, jakbym była ze szkła. Zaśmiałeś się i nagle pobiegłeś dalej, licząc wiewiórki. Ot tak, po prostu.

– Może chciałem ci zrobić psikusa?

– Nie, to nie ten wiek, Michałku. Kiedy chciałeś mi zrobić psikusa, to udawałeś, że śpisz i nie można cię obudzić, albo chowałeś się pod kołdrą, twierdząc, że poszedłeś na grzyby. Tamto było naturalne, nie udawałeś.

– Nie spytałaś mnie, dlaczego tak się zachowałem?

– Nie. Nigdy. Śniło mi się to jeszcze wiele razy i nie dawało spokoju, ale nigdy się już nie powtórzyło. To była anomalia, jak pięciosekundowa burza w słoneczny dzień.

Dokładnie tak, właśnie w ten sposób najłatwiej nas przestraszyć, pokazać coś, co wymyka się z katalogu normalności. Twórcy horrorów doskonale sobie zdają z tego sprawę. Pojawiające się znikąd lub znikające postacie. Dziewczynki z długimi czarnymi włosami zakrywającymi twarz, chodzące w pokraczny sposób lub pełzające po suficie. Zakonnice szczerzące kły. Katalog zagrywek jest obszerny.

A teraz dołączył do niego Artur.

Stoi jakieś dwa metry od ściany lasu i wpatruje się w nią bez najmniejszego ruchu. Wcześniej został trochę z tyłu i gdy się odwróciłem, to po prostu stał, jakby ktoś go tam wbił lub wkopał i miało tak już zostać.

Zatrzymuję się, podchodzę bliżej, ale powoli, mając nawet w planach szarpnąć go za ramię i krzyknąć „bu!”. Jednak gdy zbliżam się do niego, nawiedza mnie wspomnienie mojej matki, która w parku zobaczyła swojego malutkiego synka, wpatzonego w coś, co na pierwszy rzut oka nie miało prawa przyciągać wzroku.

Ogarnia mnie takie samo przerażenie jak to, o którym ona mówiła, a moja bujna wyobraźnia dopowiada kolejne możliwe scenariusze, a żaden z nich nie ma racjonalnego podłoża.

– Artur? – pytam, rozglądając się, ale żadnego z dwójki pozostałych przyjaciół nie ma w zasięgu mojego wzroku, zniknęli już za zakrętem ścieżki.

Cisza. Nie odpowiada mi, nie porusza się, stoi w tej samej pozycji. Podchodzę dwa kroki bliżej, właściwie mogę już szarpnąć go za ramię, ale tego nie robię. Ze strachu. Nakręcony opowieścią mojej matki wyobrażam sobie, że mój przyjaciel się odwraca, a jego usta są najeżone setką ostrych kłów, które zaraz rozszarpia mi gardło.

– Arturo? – wołam ponownie, nieco się kuląc, jakbym oczekiwał na atak.

– Słyszysz? – szepcze bardzo cicho, jakby wzdychał.

– Co?

– Las mówi.

Słyszysz to! Do diabła, nie jestem sam, on też to słyszy, nie oszalałem, nie postradałem zmysłów, nie zostałem z tymi zasranymi szeptami sam na sam.

Ulga. Przewrzenie szybko przeradza się w ulgę, co obezwładnia mnie chyba jeszcze bardziej. Mam ochotę go uściskać.

– Słyszysz szepty? –pytam.

– Szepty? – Jego głos brzmi obco.

– Tak. Szepty. Ja słyszałem właśnie szepty.

– Nie, nie szepty – odpowiada, ale nie porusza się, nawet nie drgnie, jakby głos dobywał się z pomnika.

– To co słyszysz?

– Nie, nic – rzuca szybko i odwraca się do mnie. – Nic takiego.

– Mówiłeś, że coś słyszysz, że las do ciebie mówi.

– Bzdura.

– Artur?

– To chyba jakiś pogłos, bo słyszałem piosenkę.

– Co?

– No wiesz, jak w radiu, chyba to był Dżem, o tej cegle albo o whiskey. Najpewniej gdzieś tam ktoś obozuje, puszcza sobie piosenki z radia, a może nawet gra na gitarze i dźwięk się niesie. Ludzie przecież non stop jak chodzą po górach, to grają na gitarach, taka turystyczna tradycja, co nie? Smęty na gitarze, tak zawsze mówiła moja była żona. Nienawidziła Starego Dobrego Małżeństwa, a oni wiecznie to grają na kempingach.

– Artur, powiedziałeś, że las do ciebie mówi.

– Misiek, chodźmy już, chłopaki nas wyprzedzili, no i harmonogram napięty jak twarz Edyty Górniak po botoksie.

Chwytam go za rękę, żeby spojrzeć mu w oczy, ale unika mojego wzroku.

– Jeśli jeszcze raz coś takiego usłyszysz, to mi powiesz?

Uspokaja wzrok, przetyka ślinę i w końcu spogląda mi w oczy.

– Tak.

Krótko, rzeczowa i szczerza odpowiedź. Czuję to, wiem.

Wymija mnie i rusza dalej.

11. Szpital

Jest noc i ktoś szepcze. Najgorsze jest to, że nie wiem, czy na pewno. Niby słowa, a nie słowa. No jak to z szeptami, Michałku, tak już jest; nie do końca wiadomo, czy to szept, czy też może w rurach tak szumi albo za oknem wieje, a może jakieś dziecko w lesie wiedzie na manowce?

Ciężko się połapać, mówię wam, a oni nie pomagają. Niby dają mi pigułki, ma być lepiej, a jest po prostu inaczej. Czy lepiej? Wmawiają, że lepiej, ale przecież gdyby tak było, toby mnie wypuścili.

Tymczasem tkwię tu sobie, leżę w moim pokoju, wpatrzony w nic, bo jest ciemno i wszędzie jedno wielkie nic, i coś mi szepcze do ucha złe rzeczy, straszne rzeczy.

Nie poznaję słów, a boję się.

No bo kto zazwyczaj szepcze?

Ktoś, kto przekazuje tajemnicę. Kochankowie sobie do uszka szeptają. To ja sobie tak wymyśliłem, że to wszyscy z wyprawy tak szeptają, same tajemnice, jedną po drugiej, jak kochankowie.

No i w tej ciemności to sobie jednak wszystko ładnie ułożyłem w słowa, których nie chciałbym usłyszeć. Takie o śmierci. Nie mojej. Moja to, wiecie, nic szczególnego.

Szepty.

Śmierć.

Szepty śmierci.

Śmiercioszepty.

Umrę.

12. Góry

Poniedziałek, 22 sierpnia 2022 roku

Godzina 19.00

Stara bacówka

Okolo godziny dziewiętnastej docieramy do miejsca docelowego. Kiepski byłem w szkole z geografii, ale według mnie owo miejsce idealnie wpisuje się w definicję dolinki. To całkiem spora łąka wielkości boiska typu orlik, z trzech stron otoczona lasem, W jednym rogu znajduje się licha szopa zbita z desek, którą Artur dumnie nazwał „bacówką”. W razie potężnej nawałnicy może i udałoby nam się w niej schronić we czterech. Do bacówki jest przyklejony drewniany wychodek.

Przy samej bacówce znajduje się otoczone kamieniami miejsce na ognisko. Jak na dziki szlak poza utartymi turystycznymi ścieżkami, stanowi całkiem przyjemny punkt na trasie.

„Dotarłeś do celu podróży” – informuje nas GPS.

– Zacnie – ocenia bez zbędnej euforii Piotr. – Nie wiem, gdzie tu wcisnęli saunę i jacuzzi, ale szanuję.

– O tu. – Artur pokazuje mu środkowy palec, po czym zrzuca plecak koło miejsca na ognisko i wchodzi do bacówki. Wyłania się ze środka dosłownie po kilku sekundach, z szerokim uśmiechem.

– Wszystko jest – oznajmia. – Chodźcie, pomożecie.

Zrzucamy plecaki i ruszamy mu pomóc. Artur wyjmuję ze środka składane meble ogrodowe: stolik, ławki, krzeselka. Rozkładamy wszystko i ustawiamy wokół ogniska. Znajdujemy też kilka wojskowych koców, zestaw grillowy, noże, sztućce.

– Prezenty? – pytam na widok dużego niebieskiego pojemnika w rękach Artura.

On uśmiecha się szeroko, unosi zdobycz nad głowę, niczym wojenne trofeum, i oznajmia:

– Panowie, zerknijcie do zasobników otrzymanych na starcie. Znajduje się w nich osobisty kod.

– Szyfr do lasu? – żartuje Piotr.

– Nie – odpowiada Artur. – Do tego. Każdy ma własną skrzynię i tylko jego specjalny kod jest w stanie ją otworzyć.

Odstawia swoje pudło i wyciąga po kolei trzy pojemniki. Są wykonane z bardzo twardego tworzywa sztucznego i mają małe ekrany z wyświetlonym cyferblatem. Wpisujemy swoje kody na kolejnych pojemnikach, aż w końcu każdy staje otworem.

– Jogi Babu – woła Piter. – Brawo, Misiu! – Wyjmuje ze swojego pojemnika kolejno cztery jednolitrowe butelki Jacka Danielsa. – Jest też coca-cola. Czyli katalizator zabawy mamy! A to co za cudenko?

Ostrożnie wyjmuje kartonowe pudełko, a z niego szklanekę do whiskey, podnosi ją w stronę zachodzącego słońca, napełniając rżnięte szkło czerwienią. Na szklance wygrawerowano napis „Czterech przyjaciół na szlaku duchów. Wyprawa Kawalerska Michała”.

– Panie kochany, pełen profesjonalizm. – Piter kiwa głową z uznaniem. – Dzisiaj pijemy z klasą.

– U mnie są przekąski – informuje Damian. – Jak na małe wesele. Kielbasa, boczek, sery i jakieś dziwne cosie. Chyba nawet oscypki.

– Jest coś wege dla ciebie? – zagaduje Piotr.

– Nie jestem wege.

– Wege czy homo, myślałem, że to jedno i to samo.

– Spokój! – mityguję ich.

Ja w swoim pojemniku znajduję cztery koszulki i czapeczki z takim samym napisem, jaki widnieje na szklankach, dodatkowo cztery

drewniane pojemniczki z wypalonym napisem „Plantwear”. Każdy zawiera skórzaną bransoletę na nadgarstek z czterema drewnianymi koralikami, na których wygrawerowano znaczki butelki, gór, ducha i serca.

Wstaję, podchodzę do Artura i po prostu go przytulam. Widzę, że w oku błyszczy mu łza.

– Sprawileś się – chwalę go, po czym rozdaję wszystkim po koszulce i bransoletce.

– Myśleliście, że będę was tak ciągał po lesie jak jakichś pieprzonych harcerzy? – pyta z radością, chociaż w jego głosie pobrzmiwa wzruszenie.

– Nie no, szacunek ludzi lasu – stwierdza Piter. – Człowieku, serio myślałem, że najciekawsze, co nas tu spotka, to kleszcze podczas srania, ale jak ty mi zaimponowałeś w tej chwili.

– Arturo! – Damian zbija z przyjacielem mocnego zółwia. – Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

– Uwiodło mnie wasze słodkie pierdolenie – parska Artur. – Ale czas ogarnąć się na imprezkę.

– A co jest w twoim pudle? – pytam.

– Zestaw symfoniczny na dzisiejszy wieczór. – Wyjmuje ze środka nieduży głośnik. – Został zablokowany przez organizatora, jeśli chodzi o głośność, w końcu jesteśmy w lesie, ale i tak będzie nieźle. Do tego mam zestaw na porannego kaca. Energetyki, ibuprofen, cola w puszkach i piwo, zarówno cytrusowe, jak i normalne.

– Zbawca! – Damian klęka i oddaje mu głęboki pokłon.

Ze śmiechem podążamy z Piterem za jego przykładem. Dlaczego? Już wam mówię.

Artur zwyczajowo leczy kaca energetykami, ja colą w puszcze i ibuprofenem, Damian piwem cytrusowym, a Piter klasycznym. Po prostu mój przyjaciel zadbał o wszystko.

W radosnym nastroju dokończamy butelkę wiśniówki i zabieramy się do rozbijania namiotów. Lekkie konstrukcje pozwalają nam na szybkie postawienie dwóch zielonych kopuł, w których mamy spędzić noc. Ta zapowiada się ciepła, w końcu w ciągu dnia słońce dawało na całego a i nazajutrz ma być podobnie.

Powoli zapada zmrok, a to podobno dobra pora na demony. Słyszę krzątanie za nami wokół grilla, znajome odgłosy, bezpieczne, niewzbudzające strachu. Zresztą, szepty też są w porządku, co tu się szeptów bać, ale nie chcielibyście ich usłyszeć w ciemnym lesie, zaręczam.

Artur stoi blisko baczki i wpatruje się znowu w jakiś punkt. Jest odwrócony do mnie tyłem i, tak samo jak poprzednio, zastygły w bezruchu. Niemal widzę, jak jego postać szarzeje w mroku, jakby słońce się go wypierało, nie chciało mieć z nim więcej do czynienia.

Tym razem podchodzę pewniej, zdecydowanie, ale i tak zatrzymuję się o krok od przyjaciela. Odwracam się w stronę polany, gdzie Damian i Piter krzątają się wokół paleniska. Jeden z nich się śmieje, drugi kręci głową z niedowierzaniem. Spoglądam ponownie na Artura.

– Znowu słyszysz muzykę? – pytam.

– Tam coś jest – odpowiada spokojnie, bez żadnych emocji.

– Co?

– Nie wiem, ale umie mówić.

Najbardziej przeraża mnie ton jego głosu. Normalny, neutralny, jakby nie opowiadał właśnie o zagrożeniu czyhającym w lesie, ale o tym, co widzi na sklepowej wystawie.

– Artur, co słyszysz? Szepty?

– Co ty z tymi szeptami? – Odwraca się w moją stronę i znów widzę starego, dobrego Artura, zgrywusa, zawadiakę, kobieciarza, niebieskiego ptaka niewyobrażającego sobie pracy na etat.

– Ja słyszałem szepty – oznajmiam, patrząc mu w oczy. Znowu ucieka wzrokiem.

– Przemęczenie, stres, te rzeczy – stwierdza. – Ewentualnie demencja lub schizofrenia, wybieraj, co cię dopadło, Michałku.

– Dziwnie się zachowujesz, nie poznaję cię – stwierdzam w końcu, bo już zaczął mnie denerwować. – Dlaczego nie chcesz się przyznać, że coś słyszysz? Wstydzisz się?

– Nie wiem, co słyszę – wyjaśnia. – Gdybym wiedział, tobym ci wszystko opowiedział, serio. Nie są to szepty. Chyba nawet nie słowa. To tak jakbym stroił radio i dosłownie na ułamek sekundy łapał jakąś stację, słyszał jedno słowo, ale chwilę potem ono ginie, jeden nieostrożny ruch gałką do zmiany częstotliwości i znowu nic nie słychać.

– Co to za słowo?

Spogląda mi w oczy, górna warga mu drży, ociera czoło w nerwowym geście.

– Nic, co byś chciał usłyszeć – odpowiada, po czym mija mnie i rusza w stronę ogniska.

Idę za nim z usilnym postanowieniem, że od teraz ignoruję wszystkie szepty tego świata, duchy, potwory, wampiry i całe to plugastwo, które poluje na śmiertelników. Dziś się bawimy!

Wszechświat sprzyja mojemu postanowieniu, bo Piter właśnie ustawia na stoliku szklaneczki i przygotowuje drinki z whiskey i coli. Cała ekipa ochoczo przystępuje do wzniesienia toastu i czuję ulotność chwili, może nawet wzruszenie. Podskórnie wiem, że ten nastrój udziela się pozostałym. Toast, który zaraz zostanie wzniesiony, to będzie pieczęć pod historią naszej dotychczasowej znajomości, a zarazem pierwszy akapit nowej opowieści.

– Za przyjaźń – Artur podnosi szklaneczkę, wszyscy kolejno stukamy się szkłem. Potem przychodzi czas na wspólne zdjęcie,

w końcu w takim miejscu, składzie i okolicznościach przyrody już raczej nie planowaliśmy się spotkać.

Piter, jako człowiek gór, ale i jedyny mający jakikolwiek kontakt z wojskiem, zabiera się za rozpalanie ogniska. Damian i ja stawiamy na stole kolejne produkty przeznaczone na wieczorną biesiadkę.

Kiełbasa do pieczenia nad ogniem, boczek, karkówka, oscypki, chleb. W bacówce oprócz kijów na kiełbaski znalazł się także sprytny żelazny stelaż, który, ustawiony nad ogniem w kręgu z kamieni, zmieniał całość w grill. Do tego mieliśmy kiszone ogórki, korniszony, marynowane grzybki, musztardę, keczup, ostry sos barbecue, pieprz, sól i inne dodatki. Wieczór zapowiada się rewelacyjnie.

Artur uruchamia głośnik i przez obozowisko płynie mocny dźwięk gitar – to Angus z AC/DC wprowadza słuchaczy na Autostradę do Pieła.

Ogień płonie, rozsiadamy się i pieczemy kiełbaski.

– Żonkoś, a jak ty się ogólnie czujesz w tej sytuacji? – pyta Piter.

– Lekko zestresowany – odpowiadam. – Ale mieszkamy ze sobą już w sumie dwa lata, więc nie przewiduję sensacyjnych zwrotów akcji.

– Z małżeństwem to jest trochę tak jak ze szkołą – wtrąca się Artur.

– Chodzi ci o stawianie pały, nudę czy „byle do przerwy”? – dworuje Piter.

– Chodzi mi o to, że w podstawówce wydaje nam się, że każda klasówka to koniec świata. Potem w liceum, że ocena na koniec może zadecydować o naszej przyszłości, a matura to już w ogóle definiuje nas na całe życie. Nagle na studiach okazuje się, że każdy egzamin obejmuje tyle materiału co matura, a mamy tydzień do przygotowań. Na końcu i tak życie weryfikuje, że to wszystko było chuja warte.

– Tak było, nie zmyślam. – Piter unosi szklanekę. – Wypisz, wymaluj: moja szkoła.

– Bo tak jest – kontynuuje Artur. – Podobnie w związku. Najpierw zauroczenie i świadomość, że jeśli druga strona nas rzuci, to koniec świata, trzeba się zżegnać z życiem. Wielu idiotów nawet to robi. Jeśli jednak przeżyjesz i zdobędziesz serce partnerki, to kolejna wielka rzecz, oświadczyń. Kombinowanie, jak tu zaskoczyć kobietę, żeby zapamiętała to do końca życia. Pierścioneł, odpowiednia oprawa, wielkie święto. A jeśli odrzuci oświadczyń?

– Gorzej, jeśli przyjmie – wtrąca Piotr.

– Potem ślub i wesele – ignoruje go Artur. – To najpiękniejszy dzień w życiu, tak mówią nowożeńcy, trzeba się do niego przygotować w najdrobniejszych szczegółach. A nawet najpiękniej zorganizowane wesele nie przygotowuje nas na prozę życia. To nad tą prozą musimy popracować, to smutny i pełen zwrotów akcji utwór i tylko jego wykonanie na poziomie mistrzowskim, zwinne powiązanie wątków może sprawić, że nie dojdzie do rozwodu.

– No ty to wiesz najlepiej, dwie żony na koncie – docina mu Piter.

– Artur Dwa Rozwody, tak pewnie brzmiałoby twoje indiańskie imię – dodaje Damian.

– Śmieście się, ale nie poznasz człowieka, dopóki się z nim nie rozwiedziesz – filozofuje Artur.

– I to cię wprowadza w taki defetystyczny nastrój? – zastanawiam się.

– Raczej fakt, że organizuję oprawy wesel – odpowiada Artur. – I mogę wam powiedzieć, że nie ma gorszego klienta niż weselnicy. Robią jedną imprezę w życiu i myślą, że świat kręci się wokół nich. Padnijcie na kolana, bo jaśniepaństwo organizują imprezę na sto osób. Siłą się na oryginalność, powielając to, co robią inni. A najgorzej, jak do organizacji dorwie się szanowna mamusia, najczęściej pani młodej. Zazwyczaj od razu rezygnuję.

– Dlaczego? – dziwię się. Przyznam szczerze, że rozpatrywałem nawet zatrudnienie Artura do organizacji wesela, ale chciałem, żeby się bawił u nas, a nie pracował.

– „Płacę, więc żądam” – wyjaśnia. – Rozumiecie, nie: wymagam; ja żądam! Szanowna mamusia była na stu weselach, wszystko widziała i każdy najdrobniejszy szczegół jest w jej władzy. Nie przyjmuje żadnej krytyki. „Gorący posiłek co półtorej godziny to przesada”, mówię. A ta odpowiada, że jak była na weselu u Nowaków, to był co dwie, a oni są zaproszeni, więc wiadomo, nie może być gorzej. I tak ze wszystkim. Młodzi chcieli sto osób, sami najbliżsi, ale nie w tym przypadku. Łącznie ze wszystkimi, przed którymi trzeba się pokazać, wychodzi trzystu ludzi, a młodzi nie znają nawet połowy. No i niestety wychodzą jakieś peerelowskie uzasadnienia.

– Jakie? – podchwytyję.

Opowieść ciekawiła mnie coraz bardziej, bo sami ledwo się wybroniliśmy przed tym, żeby moja przyszła teściowa zarządzała organizacją. Poszło jednak o ślub kościelny, na który się nie zgodziłem, wskutek czego mamusia Magdy śmiertelnie się na mnie obraziła. Sama w kościele bywa tylko na pogrzebach, jedyne przykazanie, jakiego przestrzega, to „nie zabijaj”, chociaż i tego nie jestem pewien, ale nie wyobraża sobie, żeby nie było ślubu kościelnego. Co ludzie powiedzą? „Chuj mnie to obchodzi”, powiedziałem jej w końcu w nerwach i na tym dyskusja się zakończyła.

– Młodzi wymarzyli sobie występ grupy tancerzy ognia do ich ulubionych kawałków – opowiada dalej Artur. – Mam taką ekipę, skontaktowałem ich ze sobą, młodzi wybrali kawałki, tancerze przygotowali podkłady, choreografię. No i wtedy wkroczyła do akcji Mamusia. Dzwoni do mnie szef tych tancerzy, a pracuję z nimi dziesięć lat, i mówi, że raczej kończymy współpracę. Od słowa do słowa, wyszło, że Mamusia zadzwoniła do niego i powiedziała, że występują tylko

piętnaście minut, a biorą tyle co barman za całą noc serwowania drinków. On jej odpowiedział, że może poprosić barmana o pokaz ogni, albo mogą ewentualnie zostać na weselu do rana, tylko niech przygotuje im stolik. To odpowiedziała mu, że jest bezczelny i naciąga ludzi. No i trochę się tam poszarpali słownie. Ale mamusia postawiła na swoim; co prawda, młodzi nadal chcieli występu, jednak tancerze powiedzieli, że nie chcą mieć z nimi nic do czynienia. A to tylko jedna z setek historii.

– Nieźle – stwierdza Damian. – A u ciebie, Misiek, jakie będą atrakcje?

– Jak dożyjesz, to zobaczysz – odpowiadam. – Tajemnica. A wiecie, jak nazywa się dziura po bombie?

– Lej – odpowiada Artur.

– Skoro nalegasz. – Wstaję i uzupełniam wszystkim szklanki.

Wypijamy pod kielbaskę. Nie przepadam za alkoholem, nie odziedziczyłem w genach zamiłowania do gorzkiej wódki czy bimbru. Wolę piwo, a jak już chodzi o ciężkie trunki, to w grę wchodzi wyłącznie Jack Daniels w proporcji pół na pół z colą. Uwielbiam te słodkie nuty klonu przedzierające się przez usta w kierunku gardła, wyganiające z rozkoszną bezwzględnością pozostałe smaki z języka, atakujące szturmem przelyk, by go lekko zacisnąć, zapalić, zostawiając mnie z uczuciem spotkania z mocnym, a jednak szlachetnym trunkiem. Wiem, że dla wielu ten rodzaj whiskey to tanie popłuczyny, ale ja jestem w nim zakochany.

– Z tym małżeństwem i narzeczeństwem to dobrze mówisz – kwituje Piter.

– Ekspert się odezwał – parskam.

– Gdybym chciał, dawno byłbym po ślubie – odpiera. – Jednak bronię się przed tym rękami i nogami. Taka jedna powiedziała mi kiedyś, żebym pakował swoje rzeczy i wypierdalał, jeśli nie myślę

poważnie o życiu. Potem się darła, życząc mi, żeby moje życie było pasmem udręk i porażek. To się jej zapytałem, czego w końcu chce: „mam wypierdalać czy zostać, bo już sam nie wiem”.

– I dobrze ci, jak jest? – pyta Artur.

– Dobrze.

Opróżniam szklankę na trzy razy i czuję przyjemne zawirowanie. Zapadł zmierzch, polanę rozświetla już tylko ognisko, nad którym Artur właśnie rozstawia stelaż grillowy i zabiera się do układania na nim boczku i karkówki.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem w namiocie – oznajmiam. – Chyba gdy byłem w liceum.

– Tak, kiedyś to była wersja budżetowa – stwierdza Artur. – Dziś to moda, „akcja kemping” i tak dalej.

– Tanio, w miarę wygodnie, mobilnie – dodaje Piter. – Ale fakt, sam nie pamiętam, kiedy z własnej, nieprzymuszonej woli nocowałem pod namiotem.

– Ja nie lubię. – Damian się krzywi. – Nie czuję się bezpiecznie.

– Dupa ci się przyzwyczaiła do luksusów po prostu – mówi ze śmiechem Artur. – Jeździsz po tych swoich branżowych konferencjach, a tam żaden hotel nie schodzi poniżej czterech gwiazdek, co?

– Dokładnie – popiera go Piter. – A tutaj komary, zimna woda, pająki w drewnianym kiblu, same paskudztwa.

– To nie tak – zaprzecza Damian, delikatnie kręcąc głową. – Pod namiotem nie czuję się bezpiecznie, ot taka cienka pałatka. Wiecie, ile osób ginie pod namiotami?

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – ripostuję.

– Daj spokój, nie strasz ludzi – mityguje go Artur.

– Nie, nie, niech mówi – broni przyjaciela Piotr. – Noc, las, ognisko, czas na straszne opowieści. No to mów, Damianku, co nas czeka dzisiejszej nocy.

– Słyszeliście o dramacie na przełęczy Diatłowa? – zaczyna Damian. – Dziewięcioro młodych ludzi nocujących pod namiotem wybiegło z niego w panice w środku nocy, na mróz. Wszyscy zostali zamordowani. Znalaziono ich ciała jedynie w skarpetach i bieliźnie, a obrażenia były bardzo dziwne. Do dziś nie rozwiązano zagadki ich śmierci. – Robi przerwę, jakby chciał dodać jeszcze więcej grozy do tej opowieści. – W USA w Montanie niedźwiedź w środku nocy wyciągnął kobietę z namiotu i ją zabił. Do podobnego zdarzenia doszło niedawno w Norwegii, gdzie niedźwiedź rozszarpał w nocy śpiącego pod namiotem menedżera obiektu turystycznego. W Finlandii nad jeziorem Bodom ktoś napadł czwórkę dzieciaków podczas noclegu pod namiotem i zamordował troje z nich. Przeżył tylko ciężko pobity chłopak. Opowieści można mnożyć i żadna z nich nie sprawia, że chciałbym zostać fanem wycieczki pod namiotami.

– Ja pierdołę, czym jeszcze mnie nastraszyicie? – pytam podniesionym głosem. – Wesele będzie klapą, małżeństwo tragedią, a w namiotach zeżrą nas niedźwiedzie. Idę się wylać, a wy macie za zadanie wymyślić jakiś przyjemny temat.

Wstaję od ogniska i ruszam w stronę drzew. Chyba wciąż siedzi mi w głowie ta sytuacja z postacią z lasu, a może dziwne zachowanie Artura, dlatego zareagowałem tak impulsywnie.

– Gaz! – woła Artur i rzuca w moją stronę puszkę.

Łapię całkiem sprawnie, znaczy, że jeszcze nie wypiliśmy za dużo.

Zatrzymuję się na chwilę przed ścianą lasu, z wahaniem. A jeśli znowu usłyszę szepty? Jeśli w smolistej ciemności zaświecą się czerwone oczy albo, co gorsza, trupioblade, i rzuci się na mnie otoczony mrokiem prześladowca?

Obracam się na chwilę w stronę ogniska, gdzie moi przyjaciele żywo o czymś rozprawiają. Ich twarze oświetla blask rozchybotanych płomieni, potężny księżyc, cienki i ostry jak sierp, wisi dziwnie nisko

nad ich głowami. Wygląda, jakby miał za chwilę spaść i walnąć wprost w krąg ognia.

Nie, jeśli teraz stchórzę, to już nigdy nie wejdę do lasu, będę się trząsał ze strachu z każdym zapadnięciem zmroku i nawet głupi park, ba, krzaki przed domem staną się przysłowiowym potworem z szafy. To tylko las. Drzewa. Ciemność. Jesteśmy głośno, gra muzyka, pali się ognisko, więc wszystkie niedźwiedzie i wilki trzymają się od nas z daleka.

Wchodzę do lasu, a nerwy mam napięte do granic możliwości. To zadziwiające, jak potrafi być ciemno z dala od cywilizacji, przykładowo w takim lesie, jakby coś przechwytywało każdy promień światła, nie pozwalając mu wędrować zgodnie z prawami fizyki. Robię kilka kroków, nie za dużo, aby ciemność była kilka metrów przede mną, a światło kempingu migotało na najbliższych drzewach.

Zatrzymuję się, nadstawiłem uszu, przełykam ślinę.

Nic się nie dzieje.

Na wszelki wypadek nie zagłębiam się za bardzo w ciemność, najdalej za trzeci rząd drzew.

Kamień spada mi z serca, gdy z prawej strony dociera do mnie odgłos kroków któregoś z kumpli, sądząc po gabarytach, Damiana. Kilka kroków, dźwięk rozpinanego rozporka i westchnienie ulgi. Spoglądam w tamtą stronę, blask ogniska ledwo wyławia ludzką postać z ciemności, ale bez wątplenia to Damian, najwyższy i największy z nas.

Zapinam spodnie i ruszam z uśmiechem w stronę ogniska. Trochę przez uczucie ulgi, że przeżyłem ten mały wypad, wygrałem ze strachem, czuję się bardzo szczęśliwy.

– Uważaj na dzieci i wilki – rzucam przez ramię do Damiana, zadowolony, bo nagle wszystkie tajemnicze stwory z lasu i warczące bestie zniknęły z mojego życia.

– O czym pogadamy? – pytam, zajmując swoje miejsce przy ognisku.

– Wybraliśmy temat, omówimy wszystkie twoje byłe, będzie wesoło, chwilami żenująco, momentami strasznie. Pasuje?

Po raz drugi dzisiejszego dnia zamieniam się w kamień ze strachu. Nie, nie chodzi o wspominki moich byłych, żadnej się nie wstydzę, choć jest z czego się pośmiać, ale te słowa wypowiedział Damian. Ten sam, który przed chwilą sikał razem ze mną w lesie.

Moi przyjaciele, wszyscy trzej, bo siedzimy przy ognisku w komplecie, spoglądają na mnie podejrzliwie. Nie dziwię się, muszę wyglądać, jakbym dostał zawału.

– Okej, nie poruszymy tematu Anki – rzuca spokojnie Damian. – Wiem, że to drażliwa sprawa, pierwsza miłość i tak dalej, a tak srogo cię wychowała.

– Misiek, co się stało? – pyta całkiem poważnie Artur.

– Czy któryś z was był przed chwilą się wylać? – Sam się dziwię, że w ogóle jestem w stanie wypowiedzieć jakieś słowa.

– Żodyn – zaprzecza Piter.

– Właśnie spotkałem kogoś w lesie – oznajmiam w miarę spokojnie.

– Kogo? – Damian przygląda mi się z uwagą.

– Nie wiem – bąkam. – Serio, myślałem, że to Damian, ale przecież... – Tu wskazuję ręką na siedzącego spokojnie na swoim miejscu przyjaciela. – Ktoś tam wszedł i stanął obok mnie, byłem pewien, że to któryś z was.

Artur wstaje i chwyta latarkę stojącą na turystycznym stoliku. Włącza ją i kieruje w stronę ściany lasu, skąd przed chwilą przyszedłem. Biała plama opiera się o gęsty mur z drzew, który nie pozwala wdrzeć się jej dalej.

– Opowiedz dokładnie, co widziałeś – poleca Piter, wstając z krzeselka i wyjmując latarkę czołówkę z kieszeni spodni. Mieliśmy je

na liście rzeczy na wyprawę i każdy z nas taką dysponował.

– Nic szczególnego – odpowiadam markotnie, chyba podświadomie bagatelizując zdarzenie, żeby nie wyjść przed kumplami na wariata. – Lałem sobie spokojnie, aż tu z boku, kilka metrów ode mnie, usłyszałem, że też ktoś przyszedł sobie ulżyć.

– Może to dzik albo coś? – podrzuca Damian, jakby dzik stał się odpowiedzią na wszystkie nasze pytania.

– To był człowiek – odpieram, a mój ton pozbawia wszystkich wątpliwości, że zmyślam.

– Idziemy sprawdzić, dawaj gaz. – Artur wyłącza muzykę i wyciąga w moją stronę rękę, do której posłusznie wkładam puszkę. I tak chyba nie wiedziałbym, jak jej użyć.

Piter zabiera ze stolika nóż, którym jeszcze niedawno nacinaliśmy kiełbasę. Damian wyciąga latarkę, rozgląda się za bronią i podnosi z ziemi kawałek drewna przygotowanego do ogniska. Ja też wyjmuję swoją latarkę, ustawiam najmocniejsze światło i ruszam za przyjaciółmi. W kupie siła, jak to mówią, a na pewno w grupie różniej.

– Jeśli jesteś żartownisiem, to wyjdź, nic ci nie zrobimy! – woła głośno Artur. – Jeszcze poczęstujemy drinkiem i ugościmy.

Kimkolwiek jest obcy, nie odpowiada.

– Mamy wszelkie zgody i pozwolenia, aby tutaj obozować – kontynuuje Artur. – Przebywamy tutaj zupełnie legalnie i nie chcemy kłopotów.

Cisza.

Wchodzimy do mrocznego lasu, promienie latarek niczym świetlne bicze co chwilę rozrywają ciemność, wyłaniając z niej jednak jedynie drzewa i krzaki. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że widzę jakieś oczy, ale małe, na pewno nie ludzkie. Szum krzaków upewnia mnie w przekonaniu, że to musiał być lis albo jakaś zasrana wiewiórka.

Kręcimy się jeszcze chwilę między drzewami, nie tracąc się nawzajem z oczu, ale bez efektu.

– Wracamy – rozkazuje w końcu Artur.

Nikt się nie sprzeciwia.

Podaję, że żaden z nas nie czuje się komfortowo, co chwilę wpadając na drzewo czy krzaki. Las jest dla nas obcym środowiskiem, a teraz wydaje się także wrogi.

Z wielką ulgą wychodzę na znajomą polanę i raczej nie jestem odosobniony w swoich odczuciach. Ognisko nadal wesoło płonie, stół stoi bez zmian, tak jak i nasze krzesła, a kilka metrów dalej namioty, muzyka gra wesoło, dźwięki kolejnego rockowego hitu płyną w naszą stronę.

– Cholera, muszę się napić – rzucam.

– Wyłączyłem muzykę – mruży Artur.

– Co? – pytam nieco nieprzytomnie.

– Zanim poszliśmy do lasu, to wyłączyłem głośnik – informuje Artur.

– Jesteś pewien? – Piter spogląda na nasz stół, jakby feralny głośnik miał za chwilę zmienić się w piekielną bestię i rzucić nam do gardeł.

Artur spogląda po nas, potem na stół i na las, długo, jakby porozumiewał się z nim spojrzeniami.

– Niczego już nie jestem pewien – mówi po chwili.

Siadamy, szybko nalewam whiskey i coli do szklanek.

– Michał, jesteś pewny, że kogoś widziałeś? – pyta Artur. – Wiesz, noc, ciemność, las, alkohol.

– Jestem.

– Okej.

– Dobra, bez nerwów, może faktycznie ktoś chciał sprawdzić, co tu się dzieje – mówi Piter. – Leśniczy albo ktoś inny, może jakiś turysta?

Zobaczył, że jest nas czterech, to odpuścił, wiadomo: dorośli faceci, alkohol, mogą być niebezpieczni, lepiej nie zaczepiać.

– To chyba jedyne rozsądne wytłumaczenie – popiera go Damian.

– Nie masz w zanadrzu jakiejś opowieści na taką okazję? Albo wiersza? – mówi z lekką kpina w głosie Piter.

– Nic na twoim poziomie, niestety – ripostuje Damian.

– No to nic, pozostaje jednak pogadać o tych byłych dziewczynach Michasia – kwituje Artur. – Zresztą, karkówka właśnie doszła.

– Panowie, usiądźmy tak, żeby każdy z nas obserwował jedną ze stron tego obozowiska, co? – proponuje Damian i wszyscy zgodnie pokiwaliśmy głowami. Oprócz Artura, bo ten tylko westchnął z rezygnacją.

– Zjedzmy, wypijmy, cieszymy się życiem – mówię, otwierając kolejną butelkę Jacka, a plastikowa zakrętka wypada mi z drżących palców.

– Mądrego to aż miło posłuchać. – Piter ochoczo nadstawia szklankę.

Uzupełniam wszystkie, po czym wstaję, czując, że skoro to ja wprowadziłem ten element niepokoju, to i ja powinienem go rozładować. Podnoszę szklankę uroczyście.

– Chyba powinienem przygotować na tę okoliczność jakieś porywające przemówienie, ale, cholera, nigdy nie byłem dobrym mówcą – zaczynam. – Dlatego w trakcie wesela ten zaszczyt spadnie na moją drużbę, Artura. Ja tylko chciałbym wam podziękować za to, że jesteście, że byliście i że jeszcze będziecie. Zdrowie przyjaciół.

– Zdrowie – odpowiadają unisono i wypijamy po solidnym łyku.

Artur stawia na stoliku talerz pełen parującej karkówki. Ależ on potrafi ją przyrządzić! Mocno przypieczona na bokach, może nawet nieco spalona, ale w tym charakterystycznym zapachu zwęglonego mięsa jest coś pierwotnego, ktoś poniósł śmierć, aby żyć mógł ktoś.

Chwalił się, że przepis ma od samej Gesslerowej, a zdobył go, robiąc dla niej jakiś event. Karkówka była zamarynowana w zalewie z octu jabłkowego, z czosnkiem, tymiankiem i grubo mielonym pieprzem. Jest mięciutka, nieco różowa, obłędnie soczysta i z delikatnym jabłkowym posmakiem. Po pierwszym kęsie człowiek stwierdza, że tak naprawdę to może do końca życia jeść właściwie tylko to jedno danie i wiódłby żywot szczęśliwy.

O tak, Artur zna się na grillowaniu.

W beskidzką noc wbija się mocny głos wokalisty i charakterystyczne gitarowe riffy.

– O, Judas Priest, *The Ripper* – rozpoznaje z ożywieniem Damian.

– Lubię ich – oznajmiam, z ulgą stwierdzając, że głos nieco mi się uspokoił.

– Są genialni. – Damian rytmicznie kiwa głową. – Wiecie, że ten utwór opowiada o Kubie Rozpruwaczu? Ciekawostka, tekst tej piosenki na jednym z miejsc zbrodni pozostawił Richard Ramirez, jeden z najsłynniejszych seryjnych morderców, mający na koncie czternaście ofiar. Wypisał go na ścianie. Śmieszne w sumie.

Śmieszne? O nie, nic z tych rzeczy.

Prorocze.

13. Szpital

Nie ufam temu człowiekowi za grosz, co zresztą jako Polak mam we krwi. Przecież to lekarz, a do nich chodzą tylko ludzie chorzy, co nie? Jesteś zdrowy, jedna wizyta i pach! Masz za swoje, jesteś chory.

Teraz siedzi sobie naprzeciwko, trzyma notes oprawiony w brązową skórę i struga mądrego, a gównu wie o życiu. Utknął kiedykolwiek w ciemnym lesie ze świadomością, że zaraz zobaczy swoje jelita na czerwonym szlaku? Nie sądzę!

– Panie Michale, mówiliśmy o szeptach, ale wspominał pan też o tajemniczych postaciach. Możemy o tym porozmawiać?

– A rozmawiajcie – odpowiadam z uśmiechem. – Jest was dwóch, co nie? – Wskazuję za siebie kciukiem na stojącego pod ścianą pielęgniarza.

– Jednak to z panem chciałbym porozmawiać.

– Ech – wzdycham z rezygnacją.

– Co pan widział?

– Rzeki przepłynąłem, góry pokonałem, wielkim lasem szedłem, nocy nie przespałem, żeby ciebie spotkać w małym kącie świata, żeby z tobą zostać na calutkie lata – nuce zgodnie z weselną nutą.

Tak już mam, że często z daną sytuacją kojarzy mi się piosenka i jak wpadnie do głowy, to pozamiatane, cały dzień franca jedna będzie za mną łązić.

Lekarz spuszcza smutno oczy i notuje coś w tym swoim skórzanym kajecie.

– Co widziałem? – pytam w końcu dość wesolo, żeby nie zdławił mnie strach przed tymi wspomnieniami. – Tam ktoś był, od samego początku.

– W nocy, podczas pierwszego obozu? – Lekarz nieco się ożywia.

– Podczas pierwszego, drugiego, i gdy ruszaliśmy, i na pierwszym popasie. Szedł za nami, obok nas, przy nas. Byliśmy głupi i nie widzieliśmy niczego. Patrzą, a nie widzą, jak powiedział ten tam, co wisi za panem. – Wskazuję głową na drewniany krzyż zawieszony nad drzwiami.

– Kto to był?

– No Jezus Chrystus.

– Chodzi mi o tego w lesie.

– No to to nie był Jezus Chrystus. Zdecydowanie.

– Więc kto?

– Sam pan powiedział: tajemnicza postać. Czy miał ręce? Pewnie miał, bo przecież potem nimi mordował. Czy miał nogi? No miał, bo przecież za nami szedł, doganiał nas jednego po drugim. A może to były łapy? Kto wie. Może nawet i cztery. Czy miał twarz? Jakąś musiał mieć.

– Czyli nie widział go pan?

– Widziałem. Pierwszej nocy. Miałem go na wyciągnięcie ręki. Ale nie spojrzałem. Patrzyłem, a nie widziałem. Ale spokojnie, on wróci, a wtedy dokładnie mu się przyjrzymy.

14. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godziny między 1.00 a 4.00

Stara bacówka

– „Zjedliśmy wszystko, co zjeść się dało, nic nie zostało” – śpiewa nieudolnie Artur, naśladując Kazika Staszewskiego. To kiepski wybór repertuaru, bo cytata pochodzi z utworu *Nie mam nogi* o grupie ludzi, którzy utknęli w górach i musieli zacząć zjadać siebie nawzajem, aby przeżyć.

– I wypiliśmy – dodaję bełkotliwie.

– No bez przesady, jedna została na śniadanie – stwierdza Piter. – Ale trzy litrówki na czterech stetryczalnych gości, będących już dawno poza obiegiem imprezowym, to niezły wynik.

– No. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tyle wypilem – zgadza się z nim Damian. – Zresztą, może wykończymy ostatnią?

– Nie – protestuje Artur. – Spać! Przeceniłem nasze siły, kupując cztery butelki. Pamiętajcie, że jutro mamy długą trasę do zrobienia, z wielkim finałem.

– Racja – przytakuję, zagaszając ognisko. – Grzecznie do namiocików, pakować się w śpiworki i palulu.

Dzielię namiot z Arturem, a Damian śpi w drugim z Piterem. Wszystkich nas zmęczyła wyprawa i najpewniej alkohol, nie czarujmy się, więc w tempie ekspresowym zameldowaliśmy się w namiotach. Artur stwierdził, że nie musimy się myć, w końcu to męska wyprawa, ale powinniśmy koniecznie schować jedzenie, żeby jakaś dzika zwierzyna nie grasowała nam po nocy.

Stoję przed namiotem i wciągam powietrze głęboko do płuc. Czyste, aż mi zawirowało przed oczami. Ciepłe, ale nie takie jak w mieście, gdzie nagrzane asfalty i wybetonowane place wręcz pocą się kurzem, o nie. Lekkie, z odrobinką chłodu, posmakiem dalekiej burzy, która szaleje gdzieś tam, za horyzontem, rzucając co jakiś czas urywane błyski.

– Nie zaskoczy nas w nocy? – pytam Artura, wskazując palcem na przecinane co jakiś czas błyskawicami czarne niebo.

– Nie – odpowiada z niezachwianą pewnością.

Nie dociekam, skąd to wie. W jego głosie brzmi przekonanie, z którym nie wypada dyskutować.

Wchodzę na czworakach do namiotu. Pamiętam, że chciałem jeszcze coś opowiedzieć przyjacielowi przed snem, ale odpływam. Pewnie z tego pijackiego zwidu niewiele bym pamiętał w normalnych okolicznościach, gdyby nie to, co wydarzyło się kilka godzin później.

Jest czwarta nad ranem, a właściwie w nocy, bo wciąż otacza nas mrok gęsty jak smoła. Mam wrażenie, że śmierdzi strachem i niebezpieczeństwem.

Wiem, możecie mi teraz nie wierzyć, ale tuż po przebudzeniu od razu wiedziałem, że coś się wydarzyło.

Rzucam okiem na zegarek, tarcza podświetla się samoistnie, dlatego też doskonale zapamiętuję, o której budzi mnie Damian, szarpiący się z suwakiem zamykającym wejście do naszego namiotu.

– Co jest? – pytam jeszcze w półprzytomny, widząc głowę przyjaciela zaglądającą do namiotu.

Światło latarki zaczepionej na jego czole oślepia mnie, więc zasłaniam się odruchowo ręką.

– Ktoś łaził koło naszego namiotu – dyszy Damian. – Bierście latarki i ten gaz i wstawajcie.

Zrywam się na równe nogi i zaraz zostaję sprowadzony do parteru, po tym jak wyrznięłem głową o materiałowy strop. No tak, namiot. Chwytam leżącą po prawej stronie latarkę, którą tam zostawiłem na wypadek, gdybym musiał wstać w nocy na siku. Nigdy więcej do lasu bez latarki, nawet w dzień.

Artur też się gramoli, rzucając jedno przekleństwo za drugim. Coś marudzi o gazie, latarce i zasranych panikarzach. W końcu jednak udaje nam się wydostać na zewnątrz, założyć buty, włączyć latarki.

– Ciii. – Damian kładzie palec na ustach.

– Co tam się znowu odpierdala? – mamrocze Artur, ziewając i drapiąc się po dupie. – Ale mi się chce pić.

– Ktoś łąził koło namiotu – informuje nas Damian.

– Pewnie zwierzyna. – Artur zdaje się nie przejmować. – Jesteśmy w jebanym lesie, wyluzuj.

– Ta zwierzyna miała dwie nogi – odpowiada mu Piter, wyłaniając się ze zgaszoną latarką zza swojego namiotu. – Dwie pieprzone nogi.

– To może struś? – kpi Artur.

– Zamknij się! – ucisza go Piter.

– Akurat się obudziłem, bo mnie suszyło – relacjonuje Damian. – Złapałem bidon z wodą i usłyszałem, że coś chodzi dookoła obozowiska. Obudziłem Pitera, a on po cichu rozsunął wejście do namiotu i zaświecił nagle latarką.

– No i? – pytam. Nerwy mam napięte do granic.

– Zobaczyłem tylko plecy znikające w lesie, o tam. – Piter wskazuje miejsce, w którym wcześniej miałem nieprzyjemność spotkać tajemniczą postać.

– Na pewno? – dopytuje Artur.

– Jestem pewien – potwierdza Piter. – Duży mężczyzna. Nie żaden jelen, niedźwiedź czy dzik albo struś.

– Nie dziecko? – wyrywa mi się.

– Mężczyzna – powtarza Piter. – Dlaczego wpadło ci do głowy dziecko?

– Coś widziałem w lesie, na wieczornym postoju – odpowiadam. – Tajemniczą postać, może dziecko.

– Czemu nic nie mówiłeś? – ruga mnie Artur.

– Dziecko? – Piter nie dowierza. – Co ty pierdolisz, skąd dziecko w lesie?

– Widziałem je tak jak ty tego faceta. Tylko zarys, postać.

Nagle w lesie trzaska łamana gałąź. Wszyscy wzdrygamy się jak na armatni wystrzał i obracamy głowy w stronę lasu, patrząc tam, gdzie Piter widział uciekającego mężczyznę.

– Ja pierdolę, chyba wypisuję się z tej wycieczki – cedzi Damian. – Dzwon, kurwa, pod ten numer alarmowy.

– Spokojnie, panowie – mityguje nas Artur. – Bez paniki. Jest noc, a w nocy wszystkie koty są czarne. Wezwę pomoc i co im powiem, że trzasnęła gałąź? Jesteśmy najebani, nie myślimy jasno, chyba nie chcemy skończyć jak ci studenci, o których opowiadał Damian, ci z przełęczy Diatłowa. Pewnie też ich coś w nocy wystraszyło, zaczęli się nakręcać, potem wybiegli z namiotów na mróz, i pozamiatane.

– Tak, opanujmy się – dodaje Piter.

– Pewnie dzik łąził dookoła ogniska, szukał resztek. To ciężkie zwierzę, może brzmieć jak człowiek, uwierzcie mi – kontynuuje Artur.

– Co ty ciągle z tym dzikiem? – denerwuje się Piotrek.

– Cisza! – zarządza Damian i wszyscy natychmiast się zamknęliśmy.

Słysząc tylko nasze oddechy i chyba moje łomoczące serce. Z głębi lasu nie dochodzi żaden dźwięk, nic nie buszuje po krzakach, nie łamie gałęzi. Nad horyzontem nadal pojawiają się błyski burzy, gdzieś w dali słychać grom. Tylko dlatego, że stoimy w kompletnej ciszy, możemy go usłyszeć.

– Myślę, że winny jest alkohol – mówi ściszym głosem Artur. – Wracajmy do namiotów.

– Może wystawimy warty? – proponuje Damian.

– Jeszcze, kurwa, wilcze doły wykopmy i zastawmy pułapki w stylu Rambo – rzuca zdenerwowany Artur. – Spać, kurwa!

Emocje powoli opadają, jeszcze przez chwilę rozglądamy się nerwowo, ale podniecenie ucieka z nas szybko i wstydliwie.

– To był człowiek – stwierdza dobitnie Piter.

– To mógł nawet być człowiek, pewnie, że tak – oznajmia już spokojnym głosem Artur. – Może jacyś kłusownicy, w sumie pełno ich po lasach. Może to ich schowek albo po prostu chcieli nas okraść. Może myśleli, że to jakaś pułapka na nich, ale teraz już wiedzą, że to tylko czterech najebanych gości.

– Mam nadzieję, że cię słyszeli – dodaje Piotr. – Wracamy.

Wchodzimy z powrotem do namiotów.

Zastanawiam się, czy zdjąć buty, żeby na wypadek kolejnego alarmu móc szybciej zareagować, ale Artur szybko się rozbiera i wślizguje do śpiwora, co mnie uspokaja. Jeszcze przez chwilę słyszę, jak w sąsiednim namiocie przyjaciele ze sobą rozmawiają, a potem wszystko cichnie.

Układam się na wznak, na wszelki wypadek nie wchodząc do śpiwora. Noc jest ciepła.

Czuję w ustach posmak wypitego alkoholu, a za każdym razem, gdy zamykam oczy, świat zaczyna wirować. Niedobrze.

Na dodatek ta przekłeta cisza. Oszałamia, wręcz dudni w uszach. Jak ja tęsknię za miastem, gdzie przez całą noc coś skrobie, stuka, hałasuje.

Chodź.

Zatyka mnie. Zerkam w stronę przyjaciela, ten mości się w swoim pośłaniu; pewnie usłyszałem szelest śpiwora albo głośny oddech.

Czuję narastający ucisk w pęcherzu i żałuję, że nie wysikałem się, gdy byliśmy wszyscy na zewnątrz. Zaczynam poważnie zastanawiać się nad poświęceniem swojego bidonu do filtrowania wody, aby nie musieć znowu wychodzić z namiotu.

Chodź.

No nie, tym razem mój współlokator leży spokojnie na boku, nic nie szeleści, nie może być mowy o pomyłce.

To był ten przeklęty szept, taki sam jak w lesie, identyczny.

– Artur – szepczę przyjacielowi nad uchem i szarpnię go delikatnie za ramię.

– Co?

– Śpisz?

– Kurwa, nie.

– Słyszałeś?

– Co znowu?

– Szept.

– Misiek, idź, kurwa, spać. Mam cię utulić?

– Posłuchaj, zrób to dla mnie – proszę i kładę się bez ruchu na wznak.

– Niech ci będzie.

– Milcz i nasłuchuj.

Leżymy obok siebie na plecach, jak dwa wampiry w swych trumnach. Cisza. Ciemność. Mija chyba druga minuta, tak sędzę, bo boję się spojrzeć na zegarek.

– Nic nie słyszę – rzuca w końcu zdenerwowany Artur. – Błagam, chodźmy spać, łeb mnie zaczyna boleć.

Chodź.

– Słyszałeś?

– Nie – odpowiada z westchnieniem, zrezygnowany.

– Serio? – Zaczynam się denerwować.

Wstaję i ruszam do wyjścia z namiotu.

– Gdzie leziesz?

– Muszę to sprawdzić.

– Ja pierdolę. – Słyszę, jak wygrzebuje się ze śpiwora. – Jak z dziećmi.

Wychodzę na zewnątrz, słyszę poruszenie w sąsiednim namiocie, a po chwili obydwaj przyjaciele pojawiają się obok nas.

– Słyszałem – komunikuje Damian.

– Ja też – dodaje Piter.

– Ja pierdolę, dzięki bogom – odpowiadam z westchnieniem. – Myślałem, że to mnie odwala.

– Szept – stwierdza Damian. – Jedno słowo. „Chodź”. Tak?

– Tak – potwierdzam niemal z radością.

Co za debil cieszy się, że w nocy wszyscy słyszą tajemnicze szepty?

– Nie odjechało ci, ja też to słyszałem – mówi Piter. – Jeśli wariujemy, to grupowo.

– Tak, ale beze mnie – oznajmia Artur. – Do mnie nie doleciało.

– Wsłuchaj się – proszę.

– Już nasłuchiwałem, w namiocie, tak jak prosiłeś.

– Cicho bądź – warczę.

Wszyscy milkniemy, stapiając się z otaczającą nas ciemnością. Spoglądam w górę. Błyski burzy delikatnie rozświetlają skraj nieba, a gwiazdy świecą z mocą niedostrzegalną w mieście; księżyc niemal razi w oczy, zalewa naszą polanę jasnym światłem, które kojarzy mi się z trupią bladością. Dlaczego? Jak? Nigdy w życiu nie widziałem żadnego trupa. Za dużo filmów...

Cisza.

Żadnych szeptów.

– Nic nie słyszać – stwierdza w końcu Artur. – Jesteście pewni, że coś słyszeliście?

– Artur, kurwa, trzech facetów słyszy to samo – denerwuje się Piter.
– Mało ci?

– Dobra, oficjalnie informuję, że jeszcze, kurwa, jeden taki numer, a zabieram ci ten pilot do wezwania pomocy i pierdolę tę wyprawę – oświadcza Damian.

– Zgoda – mówi Artur. – Do namiotów i spać.

Posłusznie postępujemy zgodnie z jego nieco nerwowym poleceniem, ale tym razem nie zdejmuję butów i stwierdzam, że wytrzymam, nasłuchując szeptów do samego rana.

Wysłuchany w ciszę i wyczulony na najdrobniejszy dźwięk, jednak zasypiam. Śnią mi się wilki i potwory, szponiaste łapy chcące zabrać życie moje i moich przyjaciół, wampiry wylazące z grobów i śmierć, która zwawo sobie poczyną wśród beskidzkiej ciemności.

Rano cieszę się, że to był tylko sen. Tylko sen.

Nie jawa.

Sen może przestraszyć, ale nie zabić.

15. Szpital

Mam niejasne przeczucie, że mnie tu czymś szprycują. Przykładowo – leci mucha, ot zwykła rzecz, widzieliście to już nieraz. Ale ona leci dostojnie, składa się w zakrętach, zwrot na plecy i siada mi na kolanie. Wiecie, że nie jest łatwo zabić muchę, to strasznie sprytne bydlęta, jednak próbują. Cała sztuka zabijania much tkwi w tym, żeby powoli zbliżyć do nich dłoń, bardzo powoli, a gdy już zostaje kilka centymetrów, wtedy: ciach! I kiedy już jestem blisko, mucha spogląda na moją dłoń, ten zwiastun śmierci, po czym łapie się za głowę i teatralnie krzyczy: „O nie, wszyscy zginiemy!”, po czym rozpędza się po kolanie i odlatuje.

Czy tak samo krzyknął wtedy Piter?

– Panie Michale – przerywa mi rozważania lekarz.

No niedobrze, nie lubię, jak mnie ktoś wyciąga z tego świata.

– Szprycujecie mnie czymś, co nie? – pytam, wskazując palcem odlatującą muchę.

– Podajemy pewne środki, aby mógł pan w miarę normalnie funkcjonować. Trafił pan do nas w takim stanie, że baliśmy się o pana życie.

– Gdyby się pan faktycznie o mnie martwił, zamknąłby pan okno. – Wskazuję uchyloną szybę po mojej prawej stronie.

– Przeszkadza to panu?

– Tak. Przecież od tego można umrzeć.

– Od przeciągu?

– Umrzeć od – mówię i kręcę głową z dezaprobatą.

Facet jest zielony, kompletnie nic nie wie. Ale w sumie ja też jeszcze niedawno byłem taki sam. Nie widziałem, jak śmierć hasa po lesie, a przecież tylko ja jej zostałem do zamknięcia listy.

Lekarz macha ręką i zza moich pleców wychodzi pielęgniarz, po czym zamyka okno z cichym szczęknięciem zamka.

– Lepiej?

– Niezgorzej.

– Chciałbym dziś porozmawiać o tych wszystkich głosach, które słyszał pan w lesie.

– Głosach? – pytam z przerysowanym zdumieniem. – Nie wiem, o czym pan mówi, nie róbcie ze mnie wariata.

– Przecież już to przerabialiśmy; słyszał pan szepty, coś konkretnego mówiły?

– Wie pan, jak to jest z szeptami – mówię i ziewam. – Coś tam szuszu, czasem sza-sza, człowiek tak naprawdę nie wie, czy to las, liście, sucha ściółka, czy morderca wypruwający flaki przyjaciołom. Ciężka sprawa.

– Co to było według pana to?

– Jeśli chciałby pan znać moje zdanie, prywatne, to ja panu powiem.

– Słucham.

– To duchy. Tam zginęło wiele osób, tak myślę, że bardzo dużo. I one łążą teraz, pałętają się, pokutują za swoją głupotę, że dały się tak łatwo zabić i chcą przestrzec innych.

– Stąd, według pana, te szepty?

– Tak. Nasz język jest bardzo szeleszczący, więc wszystko co zaczyna się na „s” łatwo wziąć za szept. I taki duch mówi: sssssspierdalaj, a my słyszymy szszszsz. Takie jest moje zdane.

– Poważnie?

– Sssssspierdalaj – wyszeptałem. – Sssssssssspierdalaj. Szpierdalaj. Szszszszszpierdalaj. Szszszszszsz.

– Panie Michale.

– Szpierdalaj! Szszszszszpierdalaj!!!

16. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 9.00

Stara bacówka

Budzę się, jeszcze rozpamiętując nocne koszmary tak mocno zapisane pod powiekami, że nie od razu chcą uciec na wieść, że już jest dzień, a to przecież nie ich pora, nie ma tu dla nich miejsca. Ucisk na pęcherz jest tak mocny, że zaczynam, wręcz w panice, wyplątywać się ze śpiwora. W nocy zrobiło się na tyle chłodno, że przez sen wpelzłem do środka. Poślanie obok jest puste, Artur pewnie już pełni gospodarskie obowiązki.

Nisko wiszące słońce wali mnie po oczach, rześkie powietrze otrzeźwia momentalnie; zapowiada się piękny dzień. Dobiegam do ściany lasu z uczuciem ulgi, że jednak zdążyłem. Po chwili dopiero dociera do mnie, że z głośnika leci muzyczka, jakiś delikatny rock, że w lesie jak oszalałe śpiewają ptaki, a dookoła ogniska krzątają się moi przyjaciele.

– Kocham góry – rzuca w moim kierunku Piter. – Zero kaca, ludzie, musimy tu zostać na dłużej.

– Kawy! – wołam w ich stronę. – Komu trzeba zrobić loda za kubek kawy?

– Jest i kawusia dla pana szanownego. – Artur skłania się nisko i wskazuje stelaż grillowy. Faktycznie, stoją na nim metalowy czajnik i kawiarka.

– Taką dzicz to ja rozumiem – oznajmiam, siadając na krzeselku. – Nawet zaczynam lubić ten kontakt z naturą. Jest cukier?

– Jest. – Artur macha papierową saszetką.

– Chwała Odynowi. – Ujmuję z nabożną czcią podany mi kubek z gorącą kawą. – Jak się czuje szanowne towarzystwo?

– Jest całkiem w porządku – stwierdza Piter. – Nie bolą was ramiona od plecaków?

– Trochę. – Łapię się za ramię i poruszam rękami. – Ale w sumie nie ma tragedii, spodziewałem się, że dziś ledwo będę żył po całym dniu zapierdalania w roli wielbłąda. Jak tam po nocy, są jakieś straty?

– Żadnych – melduje Piter. – Sprawdziłem dokładnie teren wokół naszego obozowiska i nie znalazłem śladów ludzi. Faktycznie, mogliśmy delikatnie świrować.

– Delikatnie... – prycha Artur, kręcąc głową z dezaprobatą. – I patrzcie, jaki tropiciel nam się znalazł. Jak wyglądają ślady ludzi?

– Złamany nos na przykład – rzuca Piter. – Zaraz mogę ci taki zafundować, jak ci się znudziło oddychanie prostym.

– Mojej twarzy już nic nie pomoże – wzdycha Artur. – Powiedz lepiej, mój ty dzielny tropicielu, cóż wyczytałeś swym traperskim zmysłem.

– Znalazłem w okolicy kilka świeżych śladów zwierząt – relacjonuje Piter. – Za bacówką jest na przykład zryty kawałek ziemi. Ani chybi odwiedził nas w nocy dzik.

– I już, tajemnicza zagadka wyjaśniona – podsumowuje Damian. – Jeszcze ogarnijmy przyczynę tych szeptów i jesteśmy w domu.

– Łaziło dziczysko, ocierało się może o bacówkę i tyle. – Artur wzrusza ramionami. – Kolejna tajemnica wszechświata wyjaśniona. Pijemy kawusię, jemy śniadanko, pakujemy mandzur i w drogę.

– To nie było ocieranie – protestuję. – Ktoś lub, co gorsza, coś, szeptało. Przecież też to słyszeliście.

– Nadinterpretacja – zbywa mnie Damian. – Ty nasłuchiwałeś szeptu, bo niby wcześniej w lesie słyszałeś te głosy. Ja też o nim

wiedziałem od ciebie i gdy usłyszeliśmy coś w nocy, choćby tego dzika, to od razu umysł nam zrobił projekcję.

– Otóż to – potwierdza z ulgą Artur. – Ja absolutnie niczego nie słyszałem, a kazałeś mi przecież leżeć w bezruchu i nasłuchiwać.

– Dodajmy do tego alkohol – ciągnie Piter. – Panowie, piliśmy delikatnie na szlaku, a tutaj zrobiliśmy trzy litry na czterech. To wynik godzien kwalifikacji olimpijskiej.

Macham ręką, wyraźnie czując, że nie przegadam reszty towarzystwa. Słyszałem szepty, jestem tego pewien.

– Jemy śniadanko i w drogę – rzuca po chwili ciszy Artur.

– Jest przewidziana drzemka na trasie? – pytam, ziewając. – To była ciężka i niewdzięczna noc.

– Według wskazań naszego GPS dzisiejsza trasa jest krótsza – informuje nasz przewodnik. – Mamy dłuższy postój przy starej zagrodzie, jednej z niewielu, które tutaj pozostały. Na poprawę humorów zdradzę, że dziś mamy zaplanowany bardziej cywilizowany nocleg i nie musimy targać ze sobą namiotów. Zostawiamy je tutaj, ekipa po nas posprząta.

– Hotel? Agroturystyka? – zgaduje z nadzieją w głosie Damian.

– Spokojnie, nie mogę zdradzić nic więcej – oznajmia Artur.

Zabieramy się do śniadania, mocna kawa dodaje energii, konserwa turystyczna z chlebem smakuje wyśmienicie, tak jak tylko potrafi na świeżym powietrzu. Gen wspomnieniowy przywołał obrazy z przeszłości – nasze wspólne studenckie wyprawy nad Solinę albo na Suwalszczyznę. Wtedy wystarczał człowiekowi mały plecaczek, kilka zupek chińskich i wakacje można było uznać za udane.

Nagle od ścieżki, którą wczoraj dotarliśmy do baczki, słyszymy pokasływanie i na polanie pojawia się starszy mężczyzna. Chciałbym wam powiedzieć, że miał powłóczystą szatę, twarz skrywał pod kapturem, a w ręce dzierżył sękaty kostur, ale nic z tych rzeczy.

Wystraszył nas tylko samym pojawieniem się, bo wyglądał jak normalny turysta.

– Dzień dobry! – woła i podchodzi do naszego obozowiska. – A co panowie tu robią, jeśli można wiedzieć?

– A co pana to obchodzi, jeśli można spytać? – odpowiada szybko Artur.

– Niby nie obchodzi – mówi niezrażony przybysz. – Ale w górach to lepiej wiedzieć, kogo się spotyka. Potem człowiek ginie, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

Gdybym miał określić jego wiek, zaryzykowałbym, że miał ponad pięćdziesiąt lat, ale jego forma budziła podziw. Brak brzuszka, mocne ręce, spod czerwonej koszulki wystawały napięte bicepsy. Takie koszulki chyba nosił GOPR. Oczywiście jedyną styczność z ratownictwem górskim miałem podczas oglądania wiadomości, gdy pokazywano akcję ściągnięcia ze szlaków kolejnych idiotów wybierających się w klapkach na Giewont, ale ten gość pasował mi na takiego starego wilka górskiego, ratownika z wieloma opowieściami w zanadrzu, tylko czekającego, aby jego twarz oświetlił płomień obozowego ogniska, by móc snuć obniżonym głosem swoje historie.

– Nie zginiemy – zapewnia Artur.

– Może kawy? – proponuję, wskazując palenisko.

– A z chęcią, dziękuję – odpowiada z uśmiechem, po czym otwiera kieszeń starego, skórzanego plecaka i wyjmuje z niej poobijany aluminiowy kubek.

– Jesteśmy na szlaku – oznajmia Piter, przysuwając w jego stronę konserwę i chleb, ale nieznajomy odmawia śniadania.

– Chyba raczej poza szlakiem – zauważa, nalewając sobie kawy.

– Poza tym wytyczonym, zgadza się – doprecyzowuje Artur. – Ale mamy zezwolenie, aby się poruszać po terenie parku i strefie nadgranicznej.

– To dobrze, zezwolenie ważna rzecz. – Mężczyzna kiwa głową i dmucha do kubka, zanim upije pierwszy łyk.

– A pan? – zagaja Damian.

– Można powiedzieć, że patroluję – mówi. – Iwan Sanguszko. – Podaje nam kolejno dłoń do uściśnięcia.

Jego skóra jest szorstka i zimna, wręcz nieprzyjemna, pozostawia wrażenie, że złapało się na śniegu zmrożony kamień.

– I jak idzie? – pyta Damian.

– Spokojnie. – To wasze namioty?

– Tak – potwierdzam.

– Radzę dzisiaj w nich nie spać.

– Dlaczego?

– Zapowiadają na noc bardzo silne burze – wyjaśnia mężczyzna. – Nie wiem, czy przeżyliście kiedyś burzę w górach, ale to nic przyjemnego. Ani bezpiecznego.

– Dziękujemy za ostrzeżenie – odzywa się Artur. – Tak się jednak składa, że dzisiejszą noc spędzimy raczej pod dachem.

– To bardzo dobrze. Rozsądnie.

– A co pan patroluje? – docieka Damian.

Mężczyzna odstawia kubek z kawą na stolik, wyjmuje z kieszeni czerwoną chustkę, ociera nią czoło, po czym zawiązuje ją sobie na nadgarstku.

– To odludne strony, nikogo tu nie powinno być – odpowiada po chwili. – Jeśli już ktoś jest, to albo się zgubił, albo ma coś na sumieniu, a najczęściej to kłusownik lub przemytnik. Różnie bywa.

– Jak my? – pyta Artur.

– Nie, wy jesteście wędrowcami, mówicie, żeście się nie zgubili. Jakbyście jednak się zgubili, a grali teraz chojraków, to nie ma sprawy, mogę was doprowadzić do szlaku.

– Naprawdę się nie zgubiliśmy – zapewniam.

– To dobrze.

– Często się tu ludzie gubią? – interesuje się Damian.

– Najwięcej jesienią – odpowiada z powagą Iwan. – Ludzie lgną wtedy do gór, bo wtedy one są najpiękniejsze. Człowiek się rozgląda i jakby był w jakimś kalejdoskopie, tu czerwienie, tam brązy, z jednej strony zielono, z drugiej złoto. Cud natury. Ciepło jeszcze, ale zdradliwe takie, bo zmrok szybko zapada i nagle ziąb jak cholera. Wtedy ludzie się gubią. Tak, jesień w górach to zdradliwa pora roku, prawdziwa suka.

– A co z tymi kłusownikami, sporo ich tutaj? – pytam dla podtrzymania rozmowy, bo moi przyjaciele jakoś nie palą się do gadki z przybyszem.

– Nie wiem, jak jest gdzie indziej – stwierdza mężczyzna. – Ale bywają. Chociaż tak głęboko się nie zapuszczają, bo tu ciężko dojechać samochodem, a nikt nie będzie targał jelenia na plecach. Więcej jest turystów ściągniętych przez historię tego miejsca. No i legendy, czy raczej opowiastki.

Mówiąc to, krzywi się z niesmakiem, a potem opróżnia kubek z kawą i strzepuje na trawę resztki płynu.

– Szukają tych opuszczonych domów – kontynuuje. – Spodziewają się skarbów albo cholera wie czego jeszcze. No a tutaj wszystko wyburzone, piwnice i studnie zasypane, naprawdę nie ma za czym łązić. Zresztą, jakie skarby, tu mieszkali ludzie biedni, niewiele po nich zostało, trochę ciuchów, naczynia. Wiecie, dali im dwie godziny na spakowanie. Weź, człowieku, spakuj cały dobytek w dwie godziny do kilku walizek. Co zabierzesz? Pamiątki rodzinne? Dokumenty? Kilka łąchów. Reszta zostaje.

– Przeróżające – szepcze Damian.

– Żadna władza nigdy się z człowiekiem nie liczyła – konkluduje mężczyzna. – A już szczególnie z biedakiem. Domy do ziemi zburzono,

tylko leśnicy zostawili kilka, żeby mieć takie punkty na sprzęt albo do noclegu. Dbali o nie, ale potem zaczęły się włamania, dewastacje. Teraz zabezpieczyła im domy ta firma, co to przysyła tutaj grupy turystów. Umowa jest, że oni dbają o domy, ale mogą wprowadzać turystów, ci znowu niczego nie mogą zabierać. Wy z tej firmy?

– Tak – odpowiada Artur.

– Tak myślałem. – Iwan kiwa głową, po czym chowa kubek do plecaka. – To pamiętajcie: niczego nie brać. Oni zbadali te domy, powyjmowali pamiątki ze strychów, naczynia, graty, nawet rodzinne zdjęcia, jakieś gazety z tamtych czasów, można przenieść się w czasie w takiej chacie.

– Będziemy grzeczni – obiecuję w imieniu wszystkich.

– Ma pan może telefon? – pyta nagle Piter.

– Piotrek, daj spokój, nie psuj zabawy – karci go Artur.

– Pogodę chciałem tylko sprawdzić i co tam w świecie słyszeć – broni się Piotr.

– Wybaczcie, panowie, ale nie noszę ze sobą telefonu w góry – odpowiada Iwan, rozwiewając nasze nadzieje na kontakt z cywilizacją.

– Dlaczego? – pytam zaintrygowany.

– A po co miałbym nosić? – odbija pytanie mężczyzna.

– No... w razie jakiegoś wypadku można wezwać pomoc – podsuwa Damian.

– To nie Himalaje. Jak dostanę zawału, to i tak nie zadzwonię. Jak złamię nogę, to i tak dokuśtykam do jakiegoś miejsca, gdzie mi pomogą. Brak telefonu to wolność.

– Czy ja wiem... – powątpiewa Piter.

– Ludzie teraz to by tylko gadali przez telefon – wzdycha mężczyzna. – Gadają i gadają, a nic z tego nie ma. Kiedyś nie gadali i świat się toczył. Co z tymi wszystkimi rozmowami, które się nie odbyły przez tysiące lat? Co? Gdzie one są? Ja idę w góry odpocząć,

pocieszyć się życiem, a nie zerkać co chwilę w ekran, robić zdjęcia każdemu drzewu. Kiedyś zabrałem ze sobą telefon, żona mi kazała. A potem dzwoni, gdzie jestem. Czy może bym wcześniej wrócił, bo trzeba by to albo tamto, a dlaczego wieczorem nie zadzwoniłem, czy mi nic nie jest. A co ma mi być? Jestem w górach, szczęśliwy jak dziecko w sklepie ze słodyczami, cudownie mi tu, aż szkoda wracać. Wróciłem do domu i powiedziałem, że nie będę więcej nosił w góry telefonu. Teraz też jestem tu od kilku dni i wcale mi nieśpieszno wracać.

– Aha, czyli żona! – krzyczy triumfująco Artur.

– Ano żona.

– A co to za legendy, opowiadki, jak pan powiedział? – pyta Damian.

– Oho, zaczyna się – parska Artur.

– Co zaczyna?

– Kolega nam tutaj duchy wywołuje – wyjaśnia Artur. – Widzi jakieś tajemnicze wilki, ludzi, opowiada, jak to turyści giną w górach, takie pierdoły.

– Żadne pierdoły – rzuca mężczyzna.

– Chce pan powiedzieć, że tu straszy? – W głosie Artura brzmi kpina.

– Ja tam nie wiem, czy straszy – odrzeka Iwan. – Jednak nie bez powodu mało kto utyka tu nocą, zaginięcia się zdarzały i inne tajemnicze sytuacje. Nawet kłusownicy podobno tu się nie zapuszczają, bo ich po nocach jakieś wilki ganiały, tak jeden opowiadał kiedyś, ale dopiero jak bimbru sobie podpiał. Na trzeźwo pary z gęby nie puszczał. Nie chciałem o tym mówić, żebyście mnie za wariata nie wzięli. – Kręci palcem przy skroni.

– Mówili coś o tym wilku? – dopytuje Piter.

– O wilka pytacie... – Mężczyzna popada w zadumę i spodziewam się, że zaraz wyjmie fajkę, nabije ją wiśniowym tytoniem, po czym

założy nogę na nogę i zacznie snuć opowieść, ale fajka ostatecznie się nie pojawia. – Wiecie, jak ruski lud mówi na wilka?

Odpowiada mu cisza, nie jesteśmy specjalistami w dziedzinie lingwistyki czy też zwyczajów naszych wschodnich sąsiadów.

– *Lutyj zwir* – informuje nas Iwan. – Groźny zwierz. I nie mówią tego ot tak, jak się dziś plecie trzy po trzy. W ich słowach jest moc, warkot wilka, zjeżona sierść, obnażone kły, instynkt stada, bezlitosne zaciśnięcie szczęk na gardle ofiary, poświęta księżycy na skropionym krwią śniegu. Wszystko w tych dwóch wyrazach. *Lutyj zwir* – powtarza z mocą i gardłowym pogłosem. – Dlatego boją się chodzić po nocy za swoimi wnykami, wołają nizinne tereny, gęste, lesiste, bezpieczne.

– No to jest ten wilk, czy go nie ma? – pyta Artur z niecierpliwością.

– Dorosły człowiek nie przyzna się do swojego strachu, do tajemniczego wilka wyłaniającego się spośród drzew. Mężczyzna musi być twardy, nie ma w dzisiejszych czasach miejsca na potwory z szafy. Szara rzeczywistość jest tak okrutna, że demonom trudno się dopchać. Kredyty, podatki, choroby, o tym można by dziś opowiadać szeptem i straszyć dzieci.

– Góry zawsze mitologizowano – wtrąca się do opowieści Damian. – To właśnie w nich osadzano Wielką Stopę, Yeti czy naszego lokalnego Biesa. Niedostępność gór, ich groźna natura, zmienna aura, surowość, to wszystko wzmagало tworzenie legend. Przekaz był jasny, by nie chodzić w nie, bo i po co, tylko można napytać sobie biedy. A jak ktoś polazł, wpadł w przepaść albo zamarzł, to i od razu składano to na karb danego stwora.

– Coś w tym jest – zgadza się mężczyzna. – Może ten wilk to tylko przestroga? Może wytłumaczenie, dlaczego nie warto tu się zapuszczać? A może naprawdę pojawił się wśród drzew, wielki, z pianą na pysku i napędził komuś stracha?

– Raczej jakiś dupek podszedł za blisko i wilk go po prostu wystraszył – ripostuje Damian. – Reakcja obronna zwierzęcia. Facet uciekł, ale przecież nie powie, że zwykła psina go pogoniła, bo jak by to wyglądało? No to urósł wilk o pół metra, zmężniał, kły nagle nabrały ostrości, a warkot przemienił się w ryk.

– *Lutyj zwir* – podsumowuję.

– Dokładnie – potwierdza Damian. – Nasza wyobraźnia to potężne narzędzie, mające nas chronić przed śmiercią. Wizualizuje zagrożenie, nawet je wyolbrzymia, żebyśmy się nie pchali, gdzie nie trzeba.

– Mądre słowa – kwituje mężczyzna. – Chyba aż za mądre, jak dla mnie.

– No takie pieprzenie dla małych dzieci – parska Artur. – Dajcie spokój, kończymy śniadanie i zwijamy się. Długa trasa przed nami.

– Życzę powodzenia na szlaku. – Mężczyzna podnosi się z sapnięciem z krzeselka. – Ja idę swoją drogą.

– Dziękujemy – odpowiadam, mając nadzieję, że nie wyciągnie ręki na pożegnanie.

– Niech pan uważa na te wilki – rzuca głosem wyraźnie podszytym kpina Artur.

– Swojemu nic nie zrobią – zapewnia Iwan i rusza w kierunku ścieżki, jakby już o nas zapomniał, bo kim właściwie dla niego byliśmy, by o nas pamiętać?

Gdy jego plecy znikają za pierwszymi drzewami, odczuwam ulgę, że jednak nie ścisnąłem mu ręki na pożegnanie. Przyznaję się, nie chciałem ponownie poczuć tej nieprzyjemnej w dotyku skóry. Dziwnie się czułem, jakby ten powitalny uścisk zaraził mnie lodowatym strachem, powoli pływającym pod skórą, z minuty na minutę zajmującym kolejne części ciała. Dziwny człowiek z nieprzyjemnym dotykiem. Ręka zimna jak grobowiec, tak mi się jakoś skojarzyło, ot

wpadła nieproszona myśl, ale zamiast wyjść i ruszyć dalej rozgościła się na dobre.

Zimna jak grobowiec.

17. Szpital

Jak to jest w grobowcu, co?

Patrzę na lekarza, ale chyba nie usłyszał pytania. No tak, nie powiedziałem tego na głos, a ostatnio trochę mi się miesza to, co mówię i czego nie mówię.

– Jak to jest w grobowcu, co? – pytam i po reakcji doktorka zgaduję, że powiedziałem to na głos.

– Gdzie?

– W grobie. Jak to jest? Zimno? Ciemno? Ciasno?

– Raczej nikt nie wie.

– A szkoda, to powinna być wiedza ogólnodostępna – wzdygam. – Przecież wszyscy tam trafimy. Znam wielu ludzi, którzy już tam są, naprawdę wielu. A raczej kilku. To wielu?

– Raczej tak.

– Chcę wiedzieć, jak to jest. W sumie sam tam niedługo trafię.

– Skąd taki wniosek? – pyta doktor.

– Śmierć zrobiła sobie rozpisę i jest na niej moje nazwisko, tylko że nie udało się jej za pierwszym podejściem. Teraz spokojnie czekam.

– No chyba nie tak spokojnie, przecież boi się pan śmierci. Kazał pan zamykać okna, ma ataki paniki podczas spacerów.

– Racja.

– Więc o co chodzi?

– Nie lubię cmentarzy. Takie blokowisko dla umarłaków. Jak klasyczne osiedle z blokami ciągnącymi się po horyzont, szare ulice, czarne tablice, tu i tam na ławeczce ktoś przycupnął. Blokowisko. Gdzieś tam kwiat, raczej sztuczny, tu znicz, raczej wypalony, tam człowiek, raczej smutny. Blokowisko. Ursynów.

– Ciekawe porównanie.

– Więc jak tam jest, na tym cmentarnym Ursynowie, doktorku?
– Martwo?
– Raczej nieruchawo, co?
– Zauważam, że twoje myśli ostatnio krążą głównie wokół tematu śmierci.

Panie doktorze, cóż za spostrzegawczość, chylę czoła, największe uczelnie świata czekają, aż pan przekroczy ich progi.

Gość nie reaguje, czyli nie powiedziałem tego.

– Tak – mówię tylko, rozkoszując się ripostą, którą wypowiedziałem i nie wypowiedziałem jednocześnie przed chwilą.

– Zrozumiałe.

– Zaiste. Czy oni mają groby?

– Oni?

– Moi przyjaciele.

– A zginęli?

– A nie?

– Panie Michale, co według pana z nimi się stało?

Zamieram. Serio, tak całkowicie zamieram, jak trup w zimnym grobie.

– No nie żyją.

To było stwierdzenie? Pytanie? Co to było?

Doktorek nie odpowiada, tylko coś zapisuje w notesie.

– Skończymy na dziś – oznajmia, wstaje i wychodzi.

Nie podał mi ręki na pożegnanie. I dobrze, pewnie była zimna jak grobowiec.

18. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 11.00

Gdzieś na szlaku

Plecy odpowiadają bólem na każdy postawiony krok i nabieram pewności, że nie dotrwam do końca dnia. Dokładnie w tych miejscach, gdzie szelki plecaka dotykają ramion, boli najbardziej i dochodzę do wniosku, że jednak góry są do dupy, wolę Malediwy.

Piotrek, widząc, co się dzieje, zatrzymuje mnie i pokazuje, jak korzystać z pasa biodrowego, by dać odpocząć barkom i dopiero po tej sztuczce udaje mi się złapać oddech.

– Nikt nie mówił, że będzie lekko – kwituje moją skwaszoną minę.

– Tak, nie jesteśmy tu dla przyjemności – dodaje Artur. – Wieczór kawalerski to obowiązek i wyzwanie.

– Dajcie chwilę odpocząć – dyszę i rzucam plecak na trawę. – Zarządzam awaryjny postój.

– Służę uprzejmie – słyszę z ust Pitera i zaraz patrzę, jak zgrabnie stawia plecak obok mojego, po czym wydobywa butelkę wiśniówki. – Kilka kropel magicznego napoju dla kurazu.

– Jak tu pięknie – rzuca tymczasem Damian, wpatrzony w małą przecinkę, która odsłaniała widok na jakąś dolinkę.

Faktycznie, od samego rana było pięknie. Już o świcie wybuchły ptasie trele, budząc mnie na chwilę. Potem poranne mgły snujące się gdzieś w oddali, a jednocześnie tak blisko, że miało się wrażenie przebywania w chmurach. Słońce przebijało się przez te lekkie pasma,

tworząc tak niesamowite widoki, że Damian zabrał Arturowi aparat fotograficzny i robił jedno zdjęcie za drugim.

– Ja pierdołę, dlaczego zabrali mi telefon? Tym głównym to pewnie niczego ciekawego nie złapię – wścieka się, co chwilę przeskakując z jednej strony szerokiej ścieżki na drugą.

Jest pięknie, ale te cholerne plecy zajmują mnie na tyle, że nie potrafię zachwycić się tym, co mam przed oczami. Ależ zdiadziałem, cholera jasna, kiedyś to nawet lubiłem wybrać się pod namiot czy nad jezioro, ale ostatnio cieszy mnie tylko to, co jest związane z miastem.

Damian znowu włącza aparat, podchodzi na skraj przecinki i robi fotkę.

– O, strumyk – informuje nas i znika za brzegiem drogi, schodząc w dół.

– Nie boi się? – dziwię się.

– A czego? – prycha Artur. – Chodzi ci o te nocne akcje?

– No raczej.

– Daj spokój, za dużo alko plus przemęczone mózgi, ot cała tajemnica duchów, wilków i wampirów – odpowiada. – Naoglądaliśmy się horrorów i teraz nam się we łbach miesza. Zasiedział się człowiek w chałupie przez tę pandemię, zdziczał.

Ja jednak się niepokoiłem, bo Damian nie daje znaku życia. Już mam wstać, żeby sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku, ale właśnie pojawia się z powrotem na ścieżce z szerokim uśmiechem.

– Wrócę tutaj z moim aparatem, ale tu są widoki – oznajmia, po czym celuje w nas obiektywem cyfrówki i pstryka kolejne foto.

– Zaiste, w chuj ładnie – zgadza się Piter, nalewając wiśniówkę do kieliszków. – Zdrówko, panowie.

– Pij, Michaś – zwraca się do mnie Artur. – Wiśnia ma witaminę, a witamina jest podstawą człowieka. Zobaczysz, zaraz plecy przestaną cię boleć.

– Już mi lepiej – stwierdzam, podstawiając kieliszek pod drugie rozlanie.

– A widzisz? – cieszy się Piter. – Góry hartują mężczyznę. Tak się teraz porobiło, że faceci strasznie miętkie się porobili.

– A tam, takie czasy – odpowiada mu Damian. – Teraz nie liczy się to, ile potrafisz znieść i jak ciężko harować w kopalni, ale ile masz tu. – Stuka się w głowę. – I jak jesteś odporny na stres. Nikt już nie musi łapać za miecz, klawiatura zastąpiła wszystko, co kiedyś się liczyło. Właściwie możesz zamknąć się w swoim mieszkaniu i nie wychodzić do końca życia. Cały świat stał się zdalny.

– Zdalny, ale niezdarny – konstatuje Piter.

– Niestety – przytakuje Damian. – Nie wiem, czy to dobre, że bez emotek nie potrafimy wyrażać uczuć.

– Szkoda gadać, napijmy się. – Piter znowu polewa. – Czy to nie dziwne, że w sumie już tylko alkohol i jedzenie łączą ludzi? To nadal ciężko przenieść do przestrzeni wirtualnej.

– Pewnie do czasu – stwierdza Artur.

– Obyśmy tego nie dożyli – mówi Piter, zakręcając butelkę.

Taki był z niego wróżbita, jak się potem okazało.

– To jeszcze sikorski i ruszamy. – Wstaję i ruszam w stronę lasu.

– Iść z tobą? – pyta Artur z uśmiechem. – Wiesz, wilki i takie tam.

Pokazuję mu środkowy palec i na pewniaka wkraczam w gęstwinę drzew. Nie czuję strachu, przynajmniej na początku. Łatwo jest być odważnym w pełnym słońcu i wśród ludzi.

Łapię się na tym, że zacząłem mocno wsłuchiwać się w las, jakby czując, że szepty zaraz się pojawią. Wypatruję wśród brązowych pni i zielonych krzaków wilka albo tajemniczej postaci, aż zaczynają mnie piec oczy. W końcu daję sobie spokój i wracam cały i zdrowy do przyjaciół.

– Strzemiennego – zarządza Piter.

– Nie za dużo tego alkoholu? – pytam. – Jeszcze nie bardzo wytrzeźwiałem po tej nocy.

– Oho, zaczyna się – oznajmia Artur. – Jeszcze się nie ożenił, a już mu alkohol nie pasuje. Człowieku, korzystaj, potem każde piwo będzie komentowane, a wyjście z kumplami na miasto stanie się wydarzeniem porównywalnym do olimpiady: raz na cztery lata.

– Bez przesady – odpowiadam, bo Magda taka nie jest. Sama lubi wypić wieczorem kieliszek wina.

– Zaraz się okaże, że wesele będzie bezalkoholowe – komentuje Piter. – Był taki pomysł, Michaś, co?

– No przez chwilę był – potwierdzam. – Ale szybko upadł.

– I dobrze – wzdycha z ulgą Artur. – Byłem kiedyś na bezalkoholowym weselu i więcej nie pójdę, za żadne skarby świata.

– Co, nuda? – pyta Damian.

– Nie o to chodzi. Na początku wszyscy przyjęli to ze zrozumieniem, jednak po dwudziestej zaczęli się niespokojnie kręcić, wyczuwało się ewidentny brak atmosfery weselnej. Potem ktoś nie wytrzymał i kopnął się do najbliższego sklepu po wódeczkę, daleko nie było. Wychodziliśmy po kryjomu na parking walnąć po kielichu, ale niewygodnie było, więc przenieśliśmy się pod żywopłot w ogrodzie, ktoś tam rozłożył koc i zrobił punkt nawodnienia. Jako że po kryjomu, to ładowaliśmy mocno i szybko. Przychodziłeś, setka do ryja i z powrotem na salę. Kiedy młodzi wyjechali na zdjęcia w jakimś tam nocnym krajobrazie, to już był bieg przez płotki, tak goniliśmy, zanim wrócą. Ludzie, tak się ochlałem, że trzy dni do siebie dochodziłem. Więcej na bezalkoholowe wesele nie pójdę, nie mam na to zdrowia.

– Na weselu będzie wódka, wino, whiskey, piwo, bimber, do wyboru, do koloru – informuję oficjalnie.

– Całe szczęście – cieszy się Piter. – Przy tym, co dzieje się obecnie na świecie, to kieliszek wódki wydaje się ostoją normalności.

– Ruszamy, panowie filozofowie – zarządza Artur. – To nie był planowy postój, a długa droga przed nami.

Zakładamy plecaki, a moje mięśnie ponownie protestują. Damian pomaga mi z pasem i znowu ruszamy jako ostatni.

– Spokojnie było w lesie? – pyta ze szczerą troską.

– Na szczęście.

Kiwa głową z uśmiechem, wyjmuje aparat i ponownie zabiera się do robienia zdjęć, zostając nieco z tyłu.

Spoglądam co jakiś czas za siebie, sprawdzając, czy nic mu się nie stało, jakbym spodziewał się, że zobaczę olbrzymiego wilka wciągającego go w listowie.

Jednak do niczego takiego nie doszło.

Jeszcze był na to czas.

Nie wiem, jak działa ten nasz mózg; zagadka kolejna z tych wielkich, ale czasem mnie zadziwia. Spoglądasz na coś, odwracasz głowę i w tym momencie już wiesz, że coś zobaczyłeś, coś niepokojącego, złego, niepasującego do danego miejsca ani czasu. Wtedy znowu spoglądasz w ten punkt, z niepokojem i pełzającym z tyłu głowy strachem, ale już nie jest tak łatwo zobaczyć te same szczegóły. Czy to umysł zamyka się na coś, co nie powinno mieć miejsca, działając na zasadzie wbudowanego przez ewolucję bezpiecznika?

Tak, dziś tak właśnie myślę, że świadomość odrzuca wszystko, co nierealne, abyśmy skupili się na prawdziwym zagrożeniu, na czymś, co ma kształt i zapach oraz znany nam katalog wrogich zachowań.

Idziemy szlakiem zgodnie z zaleceniami Artura, głównie jeden za drugim. Czasem droga pozwala iść w parach, innym razem wymusza szyk gęsiego. Rozmawiamy, śmiejemy się z głupich dowcipów, nieraz

Damian znika gdzieś z tyłu, aby zrobić zdjęcie, ale najczęściej ja zamykam pochód.

Jest gorąco i pod górkę, ogólnie rzecz ujmując: pięknie.

I nagle taki niedbały rzut oka na prawo, niezamierzony, bo ani tam krajobrazu ani nic ciekawego i zamrożenie, stop klatka, szary kadr zastygły w jednej sekundzie wygospodarowanej na to spojrzenie.

Przez las ktoś idzie, człapie nawet, bo kroki stawia pokraczne, jakby omijał kałuże, nie chcąc zamoczyć butów. A może przeskakuje z jednego drzewa do kolejnego, kryjąc się przed nami? Tak, to ma sens, bo gdy moja głowa uciekła spojrzeniem, a potem mózg przetworzył zarejestrowany obraz, wyciągnął wnioski, podał odpowiednie dane i znowu spojrzałem w to miejsce, niczego nie zobaczyłem. Schował się za drzewem? On? A może „to coś”, pokracznie przemieszczające się po bukowym lesie.

Nie zatrzymuję się, idę równym tempem, podążając za dwoma przyjaciółmi, Damian został lekko z tyłu, robiąc zdjęcia. Idę i co chwilę odwracam głowę, a potem ponownie próbuję wypatrzeć tę postać, ale widzę tylko las, zielony, potem brązowy, a w ledwo widocznej głębi szary.

Zwalniam, moi przyjaciele powoli zwiększają dystans, ale dochodzę do wniosku, że muszę się zatrzymać, żeby dostrzec to samo, co widziałem minutę temu.

Staję. Odwracam się w stronę lasu. Wypatruję.

Jest. Widzę go przez chwilę, jak morską falę, pojawia się, zastyga na ułamek sekundy i znika. Ale jest. Nieokreślony, nieco ludzki, a trochę nieznany.

– Co tam? – Ze stanu czuwania wyrywa mnie głos Damiana.

– Widziałem coś. Kogoś.

– To samo, co poprzednio?

– Tak – potwierdzam i wyciągam rękę przed siebie. – Spójrz tam.

Damian spogląda we wskazanym kierunku i na chwilę obaj zastygamy w bezruchu. Pokrak, bo tak go na szybko nazwałem w mojej głowie, nie pojawia się, nawet na mgnienie oka. Las także wydaje się trwać w bezruchu, przez co jest przerażający i przytłaczający.

– Słyszałeś szepty? – pyta Damian, przerywając milczenie.

– Nie. Tylko kroki, jakąś postać głęboko w lesie, jakby szła równo z nami. Taki pokrak.

– Kto?

– Obrzydliwa i niezgrabna postać. Nie znasz tego określenia?

– Nie.

– Tak szedł, jakby każda z nóg musiała pokonać wieczność, zanim dotknie ziemi, jakby wymijała w powietrzu niezliczone przeszkody. Pokracznie właśnie.

Damian nie odpowiada, staje obok mnie i też spogląda w las. Czuję, że naprawdę chce zobaczyć, on jeden z moich przyjaciół ma na tyle otwarty umysł, że jest w stanie mi uwierzyć.

– Też coś widziałem – mówi po chwili.

– Tak? – rzucam totalnie zaskoczony.

– Yhm – potwierdza mruknięciem.

– Co?

– Dziewczynę. Taką z czarnymi włosami.

– W lesie?

– Nie. Stała na jednym ze wzgórz. Przypatrywała się nam. Według mnie to ta sama, co ją spotkaliśmy wczoraj na polanie.

– Oczka? Szła przecież w innym kierunku.

– Mówiła, że idzie, nie wiemy, dokąd tak naprawdę poszła.

– No fakt.

– Za bardzo ufasz ludziom, Michałku.

– Ano ufam.

– Ja z zasady nie ufam nikomu i tobie też to radzę.

- Ale po co miałyby nas śledzić?
 - Kto to wie. Ale zastanawiające, co nie?
- Ano zastanawiające.

Godzina 13.00

Gdzieś na szlaku

Przyjaciele czekają na nas, siedząc na pniu zwalonego drzewa, na którym ustawili butelkę z nalewką i pojemnik z jakąś przekąską.

– Popasik – zawiadamia Artur. – Już się bałem, że nas nie dogonicie i znajdziemy wśród drzew jedynie wasze flaki.

– Jeszcze się będziesz musiał z nami trochę pomęczyć – przekomarzam się z nim, zrzucając plecak.

Piter uśmiecha się i idzie w stronę lasu, ja za nim, ale nieco na bok, żeby każdy z nas miał swoją strefę intymności. Nagle Piotr łapie mnie za rękę i zbliża usta do mojego ucha.

– Nie mów nikomu i chodź – szepcze, ciągnąc mnie w stronę lasu.

– Co się stało? – pytam odruchowo, ale idę posłusznie za nim.

Spoglądam jeszcze w kierunku naszego prowizorycznego kempingu, ale przyjaciele nie zwracają na nas uwagi. Damian zawzięcie tłumaczy coś Arturowi, rysując na ziemi patykiem skomplikowaną mapę.

– Wejdziemy do lasu, zatrzymamy się, a ty posłuchasz, zgoda? – pyta Piter, chociaż właściwie to brzmi jak polecenie.

– Znowu słyszałeś warczenie?

– Po prostu posłuchaj.

Wchodzimy w las i ponownie doznaję tego uczucia przejścia do innej rzeczywistości, jakby już linia pierwszych drzew stanowiła słuzę oddzielającą słoneczny i – co najważniejsze – bezpieczny świat od skrytego w leśnym mroku obcego wymiaru, dybiącego na nasze życie.

Minęliśmy raptem kilka drzew, gdy Piter stanął w miejscu, spojrzał na mnie i położył palec na ustach.

Nic nie mówi, wszystko jest jasne, nasłuchujemy. Ja słyszałem wcześniej szepty, widziałem postacie znikające w leśnej gęstwinie, więc powiem szczerze, że umysł mam otwarty. Ba, nawet chcę usłyszeć ten warkot, poczuć gęsią skórkę, szybsze bicie serca, przestraszyć się i zacząć uciekać. Chcę znaleźć potwierdzenie tego wszystkiego, bo to równocześnie postawiłoby pieczęć pod moim wnioskiem o uznanie szeptów i dzieci błakających się po lesie za prawdziwe wydarzenie. Byłby to dokument zaświadcający, że tak naprawdę to mi nie odjebało. A tego zaświadczenia potrzebuję jak powietrza.

Niestety, otacza nas cisza. Kojąca leśna cisza. Szum drzew może i przypominający szepty, ale daleki od nich oraz śpiew ptaków w niczym nieprzypominający wilczych powarkiwań.

– Cholera – syczy Piter. – Znowu to słyszałem.

– Warczenie?

– Tak. Tym razem wszedłem ostrożnie do lasu, rozejrzałem się, nawet zrobiłem malutki patrol, obchodząc potencjalną ubikację w promieniu dziesięciu metrów, i uwierz mi, niczego nie znalazłem. I gdy już zabierałem się do rzeczy, usłyszałem to powarkiwanie.

– Widziałeś coś?

– Nie – zaprzecza, spuszczać głowę. – Wróciłem do Artura i poczekałem, aż przyjdziecie. Stwierdziłem, że sprawdzę to ponownie, tym razem z tobą, bo wiesz, słyszałeś te szepty.

– Nie rozejrzałeś się? Powinieneś go zobaczyć.

– Ja... – Piter zawiesza głos. – Ja się boję psów.

– Serio?

– Tak. Jak byłem gnojkiem, to mnie psiak sąsiadów pogryzł. Do dziś mam blizny na przedramieniu i biodrze. Brałem potem jakieś zastrzyki, lekarz zrywał mi opatrunki, straszna trauma. Od tamtej

pory, gdy widzę psa, nawet na smyczy, to przechodzę na drugą stronę ulicy. Więc sam rozumiesz.

– Jasne, kumam.

– Zatem, jak słyszę powarkiwanie, to się nie rozglądam, tylko spierdalam. To silniejsze ode mnie.

– Ale nic nie słysząc.

– No nie.

– Wiesz, zrobimy tak. Jeśli musisz coś pilnie załatwić, to ja stanę kawałek dalej w lesie, a ty wiesz, zrób swoje.

– Dzięki.

– Spoko, ja się psów nie boję. Ani wilków.

– A czego się boisz?

Od dziś szeptów i dzieci chodzących po lesie. I Pokraka. Jednak nie mogłem tego głośno powiedzieć.

19. Szpital

Cholera, nie wiem, jaki dzisiaj jest dzień! Nie wiem, nie mam pojęcia, kompletnie, a spytać nie ma kogo. Jest noc, siedzę zamknięty w swojej celi czy też pokoju. Jak zwał, tak zwał.

Po chwili zdaję sobie sprawę z czegoś jeszcze gorszego: czy mój ślub już się odbył, czy dopiero ma się odbyć? Ile dni minęło, odkąd tu jestem? Wyruszyliśmy w poniedziałek, wyprawa miała zakończyć się w środę. Do soboty zatem zostaje całe trzy dni. Jeśli dziś jest sobota, to powinniśmy o tej godzinie tańczyć, pić i bawić się w najlepsze, a jest ciemno, więc to już późno.

Magda poczeka? Powinna, co nie? Jeszcze nie ślubowaliśmy, że nasz związek będzie trwały, ale liczę, że tak właśnie jest!

Zaraz, a może ma pełne prawo mnie zostawić? Przecież w tej przysiędze nie mówi się, że dopóki moja lub twoja śmierć nas nie rozłączy, tylko śmierć tak ogólnie, zatem mogła powiedzieć na głos, w obecności świadków: te pozostałe śmierci to są właśnie te, o które chodzi w przysiędze, więc czuję się rozłączona, śmierć nas rozłączyła.

A to menda, no! Co za cholera jedna, a niby Magdy to takie porządne i fajne dziewczyny, a tu proszę, zostawiła mnie przy pierwszej nadarżającej się okazji.

I jak tu uwierzyć w miłość?

W śmierć łatwo, to prosta sprawa, widoczna i namacalna, ale miłość?

I jak to liczyć, dotrzymała przysięgi czy nie?

Śmierć na pewno swojej dotrzyma.

20. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 14.00

Chata

Nie tak wyobrażałem sobie opuszczoną chatę. Spodziewałem się zniszczonego dachu, oblepionych mchem murów, wybitych okien, w których wiatr zmusza firanki do upiornego tańca, a one łopoczą niczym biała flaga wywieszona przez samotny budynek na znak poddania się okrutnemu losowi i bezlitosnemu upływowi czasu.

Tymczasem parterowy domek zdaje się zadbany, a kryty gontem dach, choć nie lśni nowością, stanowi całkiem przyzwoity widok. Okna są całe, z ram łuszczy się biała farba, a za brudnymi szybami wiszą gęste firanki. Budynek stoi na trawiastym placu otoczonym jakimiś krzakami i drzewami, które wyglądają na pozostałość zdziczałego sadu. Kiedyś doglądane, przycinane, dawały owoce i cień, stanowiły pierwsze wyzwanie dla dzieci chcących wznieść okrzyk triumfu z ich czubka, dziś są jedynie znakiem przemijania i tego, że codzienność może po prostu zniknąć.

Przy drzwiach wita nas czerwona tabliczka z informacją, że obiekt należy do Lasów Państwowych. Artur wyjmuje swoją saszetkę z pakietem, a z niej kopertę z kodem, po czym otwiera zardzewiałą skrzynkę na listy, za którą ukazuje się panel z klawiaturą numeryczną.

– Nowoczesność w domu i zagrodzie – zauważa Damian, kiedy nasz przyjaciel wprowadza kod.

– Dobry kod, nie do zapomnienia – mówi Artur.

- Sześć dziewięć? – pyta Piter i zaczyna się śmiać.
- Dwa jeden trzy siedem – odpowiada Artur.
- A co to? – pytam.
- Serio? – dziwi się Damian. – Ty byłeś kiedyś w internecie?
- No byłem, i co?

– Święci pańscy... – Mój przyjaciel załamuje ręce. – To przecież godzina śmierci Jana Pawła II. Dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem. Tysiące memów są na tę okoliczność.

Po chwili słyszymy trzask zamka i drzwi domu stają przed nami otworem, od razu racząc nas specyficznym zaduchem opuszczonych, niewietrzonych pomieszczeń. Oto miejsce, w którym od dawna nie pojawił się zapach parzonej kawy, smażonych jajek, bulgoczącego spokojnie rosółu czy świeżo pieczonego ciasta. Pani domu nie perfumowała się przed wyjściem do sklepu, gospodarz nie nakładał rankiem kremu do golenia, nie szorował wieczorem spoconego karku szarym mydłem, dzieci nie rozchlapwały spienionej wody po całej izbie. Zapachy życia uleciały kilka dekad temu, ściany zapomniały głosów ludzi, lustra odbić gospodarzy. Cisza spowita kurzem króluje w każdym zakamarku.

– Zostawiono to tak, jak wyglądało po opuszczeniu przez właścicieli – mówi Artur, jako pierwszy łamiąc spokój tego miejsca.

– Ile mieli czasu na spakowanie? – pytam.

– Dwie godziny – przypomina Damian. – I mogli zabrać tylko tyle, ile zmieści się na furę.

W sieni stoi miotła oblepiona pajęczyną, ale nie ma ani jednej pary butów, płaszcz czy nawet znoszonej kufajki. Na wbitym w ścianę gwoździu wisi jedynie czapka, spłaszczony kaszkiet wracający dziś do mody. Kto go zostawił? Czy jakaś kobieta, siedząca na załadowanej ułamkiem dorobku życia furgonce, nagle przetarła łyż i poinformowała swojego męża: „Jezu, Stasiek, czapki zapomniałeś!”?

Ten łapie się za głowę, rozgląda dookoła, ale nie widzi nigdzie zguby. Gdy masz dwie godziny na spakowanie najcenniejszych rzeczy, łatwo jest zapomnieć o czapce, chociaż się ją lubiło. Pamiętał, jak kupił ją na targu, nieco zbijając cenę, a potem zadawał szyku w gospodzie i po drodze do cerkwi. Spogląda w oczy żołnierza, który metodycznie pali papierosa, jakby właśnie na tym polegało jego życie, i dusi w sobie pytanie. Nie zawrócą przecież szeregu wozów, aby wrócić po Stańkową czapkę. A niech tam, przecież ktoś tam zamieszka, pewnie taki sam przesiedleńca jak i on, niech nosi czapkę na zdrowie. A jak ją wyrzuci? To dobra czapka.

Wchodzimy do kuchni, gdzie stoi murowany piec. Bielony, choć z czarnymi śladami użytkowania, jego lewa część to żelazna płyta, na której gospodyni gotowała, regulując moc ognia zdejmowaniem i nakładaniem fajerek, po prawej stronie zapiecek, na którym można nawet spać, zresztą prowadzą do niego cztery duże schodki.

– Niezły relikw – rzuca Piter. – Babcia taki miała, placki z ciasta na kluski na nim piekła, a w sezonie rydze i kanie na tej blasze. Ale smakowały!

– Jak w skansenie – komentuję.

Pod oknem długi stół, przy którym stoją ławki, a nie krzesła. Tańsze i łatwiejsze w produkcji. Oczywiście nad wejściem krzyż, ale prawosławny. Pod ścianą biały kredens, zdobiony wycinanymi deskami.

Drzwi z kuchni prowadzą do izby sypialnej, gdzie głównym meblem jest olbrzymie łóżko przykryte kocem, nad nim wisi ikona przedstawiająca Chrystusa, a obok portret ślubny, czarno-biały, nieco zamglony. Pan młody ma czarne włosy i grube wąsy oraz dystyngowane spojrzenie, natomiast jego świeżo poślubiona małżonka, w koronkowym czepku na głowie, uśmiecha się w sposób, który jeszcze dziś powaliliby na kolana wielu mężczyzn.

– Uciekali i nie wzięli zdjęcia ze ślubu? – dziwię się.

– Podejrzewam, że nasza firma nieco podrasowała wystrój – odpowiada mi Damian.

– E tam, wszystko oryginalne – zapewnia Artur. – Zresztą, sprawdzimy.

Zdejmuje zdjęcie ze ściany, odwraca je i odgina gwoździki trzymające plecki.

– Popsujesz – protestuję.

– Daj spokój, nic nie zabieramy, tylko sprawdzę.

Wyjmuje fotografię, która rzeczywiście wygląda na starą; na jej tyle widnieje pieczęć: „Albert Kupin, Zakład Fotograficzny, Małastów, rok 1930”. Nie jestem specjalistą od dokumentów, ale wszystko wskazuje na to, że to oryginalne zdjęcie.

– Widzicie! – krzyczy triumfalnie Artur. – Pytałem o to organizatorkę, bo od razu mi śmierdziało. Powiedziała, że kosztowało ich to kupę kasy i zachodu, żeby odnaleźć potomków tych ludzi i odkupić od nich pamiątki rodzinne. Mówiła, że ich wnuki i prawnuki bardzo chętnie wyciągnęły rękę po kasę, a przeszłość niewiele ich obchodziła.

– Okrutny los – komentuje Damian.

Artur wkłada zdjęcie z powrotem spakował do ramki i delikatnie odwiesza je na ścianę.

– Dlatego nie wolno niczego zabierać – dodaje.

– Kiedyś takie zdjęcie to było coś – mówi Damian. – Najczęściej fotograf miał do wypożyczenia garnitur i suknię ślubną, bo wielu ludzi nie było stać na takie luksusy.

– Patrzcie, tu jest jeszcze kilka, chyba nieco starszych – zauważa Piter.

Na solidnej, zbitej z desek komodzie stoi parę wyblakłych fotografii w żelaznych, odrobinę podrdzewiałych ramkach. Są to portrety członków rodziny i jeden zbiorowy, stoi na nim osiem osób. Mężczyzna

w sile wieku niewątpliwie jest tym z fotografii ślubnej, stojąca obok niego kobieta to jego małżonka. Są jeszcze dziadkowie i czwórka dzieci w różnym wieku. Tak, to ten sam mężczyzna, a na głowie ma czapkę, tę samą, która wisi w sieni.

– Widzicie, wszyscy w jednej chałupie – mówi Artur. – I żyli sobie zgodnie, a dzisiaj stumetrowe mieszkanie jest uważane niemal za kawalerkę.

Piter pochyla się nad zdjęciem, po chwili spogląda na nas, jakby czegoś do końca nie rozumiał, i znowu się nachyla.

– Panowie, ta dziewczyna – mówi, wskazując palcem najstarsze z dzieci na fotografii. – Nie wygląda znajomo?

Robi nam miejsce, a my nachylamy się nad ramką. Przyglądamy się sportretowanej dziewczynie, nie mogąc uchwycić skojarzenia, jakby jakaś szufladka w głowie nie chciała wskoczyć na swoje miejsce, ale po chwili niemal jednocześnie się prostujemy.

– Oczka – rzuca ze zdziwieniem Damian. – Przecież to ta dziewczyna z wczorajszego popasu.

– Jak nic – potwierdzam.

– E tam. – Artur macha ręką. – Przypadek.

– Nie. – Piter kręci zdecydowanie głową. – Bardzo dobrze się jej przyjrzałem, wpadła mi w oko. To ona. Uwierzcie mi, nawet mi się śniła.

– Pieprzysz – mówi Artur, krzywiąc się, ale łapie za fotografię i podchodzi z nią do okna.

– Mówiła, że jest stąd – ciągnie Piter.

– Pewnie jakaś wnuczka tej ze zdjęcia. – Pokazuję na portret ślubny.

Zapada cisza i wszyscy podchodzimy do okna, żeby w lepszym świetle przyrzeć się fotografii.

– No nie ma chuja, to ona – stwierdza Piter.

– Pokaż cyfrówkę – mówię Damianowi. – Przecież zrobiliśmy sobie z nią fotkę, co nie? Porównamy.

– Racja – zgadza się i wyjmuje aparat.

Tym razem wszyscy pochylamy się nad malutkim wyświetlaczem, Piter gorączkowo naciska klawisz przewijania galerii, po kilku krajobrazach wspólne foto jest jednym z pierwszych, na którym są ludzie.

I w tym właśnie momencie pierwszy raz tego dnia po plecach przebiegły mi ciarki. To nieprzyjemne uczucie, faktycznie przypominające położenie kostki lodu na karku.

Zdjęcie jest, a i owszem, ale nie ma na nim dziewczyny.

– Kurwa – rzuca Piter i to jest komentarz, który chyba zawiera w sobie wszystkie możliwe emocje.

– Robiliśmy to zdjęcie? – pytam. – Czy już mi woda pomieszała wspomnienia.

– Daj spokój – odpowiada Artur. – Ile my wtedy wypiliśmy, po trzy kieliszki? Pewnie, że robiliśmy.

– Ale jej nie ma – stwierdzam. – Stoimy sami.

– Nie ma – zgadza się Artur.

– Może jej nie złapało? – mówi Piter.

– No jak, kurwa, nie złapało – gorączkuje się Damian. – To nie klisza, żeby kogoś wycięło albo prześwietliło. Nie ma jej, zobacz, stała obok Artura, tak?

– Tak.

– No to są tam drzewa. Dziewczyny nie ma na zdjęciu, nigdy nie było. Uwierz mi, na grafice się znam.

– Ja pierdołę – rzuca Piter. – W wiele rzeczy jestem w stanie uwierzyć, ale nie w zbiorowe halucynacje.

– Może nie zrobiłeś tej foty, co? – zastanawiam się. – Przecież to był ustawiony samowyzwalacz. Może nie pykło.

– Od razu sprawdziłem – odpowiada Damian. – Fota była.

– Skasowałeś?

– Nie, przecież jesteśmy w komplecie, a nie robiliśmy drugiego, bez tej dziewczyny.

Chwila konsternacji. Każdy z nas głęboko oddycha, szuka gorączkowo jakiegoś wyjaśnienia tej sytuacji, spoglądamy na siebie, nasze miny jasno jednak wskazują, że nic mądrego nie wymyślimy.

– Duch – mówi w końcu Damian.

Oczywiście, brzmi to irracjonalnie, ja się uśmiecham, Piter prycha z pogardą, tylko Artur zachowuje kamienną twarz, podchodzi powoli do komody i odstawia zdjęcie na miejsce.

– Wampiry, duchy, co jeszcze? – pyta Piter. – Czarownice na miotłach? Może smerfy?

– Takie rzeczy się zdarzają – mówi Artur. – Śpię często po hotelach, robimy eventy w najróżniejszych zamkach, niejedno już widziałem. Podpytajcie kiedyś pracowników recepcji, wiele są w stanie opowiedzieć. Na przykład w hotelu Podklasztorze w Sulejowie obsługa nie chciała nam donosić zamówień do jednej z baszt. Nie i już, mieliśmy sobie sami je zabierać z korytarza.

– Duchy? Białe damy? – ironizuję.

– Jak idziesz przez hotel i nagle trzaskają drzwi na korytarzu, gaśnie światło, a wózek kelnerski sam jedzie, to, uwierz mi, można się zesrać ze strachu.

– Pieprzenie – komentuje Piter. – Ty tam wiecznie najebany jesteś.

– Patrzcie na to! – rzuca Damian, wołając nas do siebie. Pokazuje ponownie wyświetlacz aparatu cyfrowego i przewija zrobione poprzedniego dnia zdjęcia.

Widzimy feralne foto bez dziewczyny, potem kilka ze szlaku, nie wszystkie są dobrej jakości, ale wiadomo, w erze cyfrówek robisz tysiąc zdjęć i zostawiasz dziesięć.

– Tu! – Damian pokazuje na wyświetlaczu fotkę z jednego z popasów. – Spójrzcie na dolny lewy róg.

Ekran jest malutki, ma jakieś trzy cale, ale widać wyraźnie czarny cień przypominający jakieś zwierzę. Wchodzi ze szlaku do lasu.

– Wilk – rzuca Artur.

– To tam, gdzie Pitera na sraniu wystraszyło? – pytam.

– Dokładnie – odpowiada Damian, w jego głosie czuć ekscytację.

– To akurat mi duchem nie pachnie – mówi Piter. – Zwierzaka może złapać przecież, co nie. Może to lis, nie widać wyraźnie.

– Może – zgadza się Damian. – Przeglądamy dalej?

– Dawaj! – poganiam go.

Przeklikuje plastikowym krzyżakiem kolejne foty, głównie krajobrazy i nas na ścieżce, ale na żadnym nie ma niczego podejrzanego.

– Mówię wam, to jakiś błąd karty pamięci albo matrycy, zobaczcie, wszystkie zdjęcia normalne – komentuje Piter.

– Stój! – Łapię Damiana za nadgarstek.

Patrzymy jak zahipnotyzowani na fotkę, którą zrobiliśmy sobie podczas wieczornej imprezki. Stoimy w komplecie, wznosimy szklaneczki z whiskey w geście toastu. Jesteśmy na zdjęciu wszyscy, nikogo nie brakuje, mało tego, jesteśmy w nadkomplecie. Za nami, na granicy lasu, stoi mężczyzna. Widać tylko zarys jego sylwetki i delikatny odbłask oczu. Nie jest to widoczne na pierwszy rzut oka na tak małym ekranie, trzeba się dobrze wpatrzeć, na laptopie pewnie od razu byśmy go zobaczyli.

– Niby człowiek – mówi Damian.

– No niby tak – zgadzam się.

– Czy ja wiem... – Artur drapie się po głowie. – Bardziej jakieś takie ułożenie cienia albo coś.

– Zaraz znowu będziecie pieprzyć, że duch – kpi Piter. – To jest klasyczny przykład zdjęcia, które chujowo wyszło, a potem krąży po internecie jako dowód na istnienie sił nadprzyrodzonych. Eksperci rozprawiają się z takimi rzeczami bezlitośnie, z tym głównym pewnie nie będzie inaczej.

Wpatrujemy się w fotkę i z każdą sekundą mężczyzna jest wyraźniejszy, nasza wyobraźnia dopisuje szczegóły, poprawia sylwetkę. No i te oczy.

– Gdy zrzucimy zdjęcia na komputer, będzie lepiej widać, to na pewno jakaś skaza – oznajmiam spokojnym głosem, chcąc, aby to było jednocześnie ostatnie zdanie w tej dyskusji.

– Jeden rabin powie tak, drugi powie inaczej – mówi Damian i dalej przewija zdjęcia zapisane w pamięci aparatu.

Zatrzymuje się przy tym z dzisiejszego ranka, zrobionym wspólnie z goprowcem, facetem w czerwonym polarze. To znaczy kolor muszę wygrzebać z pamięci, bo jego na ekranie nie widzimy, a tylko ścianę naszej baczki, która służyła nam za bazę.

– No nie, to już jest jakieś szaleństwo – unosi się Piter. – Majstrowałeś coś przy tym aparacie? – kieruje pytanie do Damiana.

– Niby jak, człowieku? To nie smartfon, że możesz sobie od razu korekty robić. Zresztą to wymaga profesjonalnego oprogramowania i kupy umiejętności.

– W chuja cięcie też zajęcie. – Głos Pitera ewidentnie oznajmia, że nie przyjmuje żadnego nadnaturalnego wyjaśnienia do wiadomości.

– Wyjdźmy stąd – zarządzam. – Jakoś nieswojo się tu czuję.

Nikt nie protestuje i po chwili jesteśmy przed domem. Mocne słońce wygania duchy, rozjaśnia nam myśli, cały proces wspomaga Artur, polewając nam po kieliszku wiśniówki.

– Ustalmy jedno: duchów nie ma – odzywa się jako pierwszy Piter. – Jeśli wystartujemy z tym założeniem, to wszystko jest dość proste do

wytłumaczenia, aparat płała nam figle.

– No nie wiem – mówi Damian. – Dziwne te figle.

– Posłuchaj – odpowiada mu Piter. – Na początek zniknięcie dziewczyny. To było wczoraj, od tego czasu przelało się sporo alkoholu, może faktycznie zrobiliśmy fotkę bez niej albo coś? Wilk na zdjęciu jest na tyle niewyraźny, że to mogła być kuna albo lis. Ten cień w nocy też można rzucić na oświetlenie, kiepskiej jakości aparat, na setkę innych rzeczy.

– A goprowiec z rana? – pytam.

– Przecież byliśmy na ciężkim kacu, pewnie jeszcze najebani. Mnie chyba nadal trzyma. Może go nie skadowaliśmy?

– Duchy wyjaśniają wszystko – odpowiada mu Artur. – Ale fakt, trudno w to uwierzyć.

– Proponuję napić się dla kurażu – mówi Damian i chowa aparat do futerału. – Zjemy coś i idziemy dalej.

– Może zadzwońmy po pomoc, co? – proponuję.

– Nie no, superpomysł – bulwersuje się Artur. – I co im powiemy? „Ratunku, przyjdźcie po nas, bo tutaj straszy”? Od razu zjawią się z kaftanami bezpieczeństwa, bo raczej nie z księdzem i kropidłem.

– Racja – zgadzam się, choć niechętnie. Zaproponowałem wezwanie pomocy dlatego, że czuję się za wszystkich odpowiedzialny, a powoli przestaje mi się ta wyprawa podobać.

Koło chaty stoją drewniany stół i ławki, na których siadamy.

– Idę po obiad – oznajmia Artur. – Niestety, jest w środku. Gdybym nie wrócił za pięć minut, dzwońcie po policję.

Staje przed drzwiami domu, ostentacyjnie wykonuje znak krzyża, zaczyna śpiewać *Anielski orszak* i wchodzi do środka.

– Debil – rzuca Piter.

– Jakbyś go nie znał.

Rozkładamy na stole miski, kieliszki, butelkę z wiśniówką, lniane ściereczki i rozmawiamy o pierdołach, jednak ja cały czas rzucam okiem na zegarek. Mija minuta po minucie, a Artur nie wychodzi. Przyjaciele widzą moje zdenerwowanie, Piter uśmiecha się kpiąco.

– Daj spokój – mówi. – Jaja sobie robi.

Dokładnie w tym momencie słysząc głucho tąpnięcie w chacie, podrywamy się na równe nogi i ruszamy do środka, Piter pierwszy dopada drzwi, wbiega do sieni, my za nim. W progu kuchni wyskakuje na nas Artur z przerażającym rykiem. Nie powiem, serce mi podskoczyło, ale Piter jako pierwszy po prostu odskakuje na bok i przewraca się.

– Uaaaaa!!! – drze się Artur. – Wszyscy zginiecie! Dopadnie was klątwa czarownic i starego goprowca.

Zaczynamy się śmiać, nawet Piter, z którego chyba zeszło napięcie, wyciąga rękę. Damian pomaga mu wstać. Artur tymczasem nadal stawia wielkie kroki, dokładnie jak Pokrak, i woła głosem, według niego pewnie imitującym potępieńcze jęki.

– Wszyscy zginiecie!

Ciekawe skąd wiedział?

21. Szpital

Lekarz patrzy na mnie i ja już doskonale wiem, co powie. Mało tego, wiem, jakim tonem to zrobi i jaka mina pojawi się na tej przystojnej, gładko ogolonej buźce.

– Duchy? – pyta.

Wzruszam ramionami. Co mam mu odpowiedzieć? Prosił, aby dokładnie opisywać emocje, jakie towarzyszyły mi w chwili wydarzeń, powoli i bez skracania iść do finału tej historii. I tak robię, do jasnej cholery.

Jego pytanie, ton i mina niedowiarka tylko upewniają mnie w przeświadczeniu, że chyba tak całkiem mi nie odwaliło, jeszcze myślę jasno, jestem w stanie przewidzieć zachowanie człowieka. Czuję wpływ środków uspokajających, wszystko jest jakby... bardziej miękkie. Jakbym był mocno zrobiony na imprezie, ale jednocześnie trzeźwy, żadnych zaburzeń ruchowych, mówię też normalnie. Nie wiem, jak wam to dokładnie opisać.

– A co by pan pomyślał w takiej chwili? – pytam.

– Szukałbym racjonalnego wyjaśnienia, podobnie jak pana kolega, Piotr.

– I bardzo dobrze, to zdrowe podejście.

– Zatem?

– Widzi pan, ja też w duchy nie wierzyłem, chyba nadal nie wierzę. No bo niby pojawiają się w miejscach, gdzie doszło do tragicznych wydarzeń, zatem w takim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu powinny biegać stadami, tam zamordowano ponad milion ludzi! Jednak nie ma o tym doniesień, zgodzi się pan ze mną.

– Tak.

– To dobrze. Skoro zaś są przywiązane do miejsca, to nie powinny pojawiać się na biwaku.

– Racjonalne argumenty – zgadza się łaskawie doktorek.

– Nikt nigdy nie widział ducha ani wampira, ale jesteśmy od nich ekspertami. Wiemy, jak powinny wyglądać, co robią i jak je zabić, to wszystko przez wytwory popkultury, panie doktorze. Dzięki książkom, filmom i grom posiadliśmy wiedzę znaną niegdyś tylko wiedźminom. Chociaż wilkołak nie istnieje, to wiemy o nim wszystko: że poluje w czasie pełni księżyca, pokonać go można srebrem, a jego ugryzienie uczyni z nas identyczną bestię. Na wampira najlepszy jest czosnek, kołek w serce lub żelazny ząb z brony prosto w czoło. Czy to nie swoisty paradoks?

– Zgadzam się.

– Wie pan, panie doktorze, wiara w bogów, w duchy, upiory, ona upada w momencie, gdy ktoś zada odpowiednie pytanie. Naszym problemem było to, że nikomu nie chciało się pytać. Szczególnie po tym, co wydarzyło się na cmentarzu.

A przecież odpowiedzi były na wyciągnięcie ręki.

22. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 16.00

Leśny cmentarz

Cmentarz wynurza się z lasu tak, jak powinien – spokojnie, nieśpiesznie, bez przesadnego rzucania się w oczy. Nieduży, bez zniechęconych przeze mnie granitowych grobowców zastawionych sztucznymi kwiatami i wypalonymi zniczami. Chyba nawet nie wypadało, aby w tak pięknym i zacisznym zakątku ktoś postawił współczesny, cmentarny koszmarek. Otoczony wysokimi drzewami, lekko zapadłym płotkiem, co jakiś czas przykuwa wzrok starymi pomniczkami ze zwiędzłego kamienia, gdzieś widać tylko nieduże kamienne płyty wbite w ziemię, czasem krzyż przykryty daszkiem.

Artur wyjmując z kieszeni bojówek mały notes, otwiera go i czyta na głos:

– Jest to cmentarzyk obejmujący kilka beskidzkich wiosek rozrzuconych dookoła o jakieś pół godziny drogi. Dbają o niego głównie leśnicy i GOPR.

– Mógłbym tu leżeć – mówi Damian. – Daleko od cywilizacji, słyszeć tylko szum lasu i śpiew ptaków, posłuchajcie.

Milkniemy, zamieramy niemal w pół ruchu: w trakcie zdejmowania plecaka, wyjmowania z kieszeni batona. Nagle wszystko się zatrzymuje.

Wiatr lata gdzieś nad wierzchołkami drzew, delikatnie i miarowo koi szumem, ptaki faktycznie śpiewają głośno, nie znam się na tym, ale

chyba słyhać i gołębia, i kukułkę oraz kilka innych świergotów.

– Robimy popasik? – proponuje Piter, rzucając plecak pod nogi. – Mały deserek można by skonsumować.

– Jasne, możemy. – Artur spogląda na zegarek. – Dobrze stoimy z czasem, w tym nawiedzonym domu mieliśmy zabawić dłużej. – Zrobię kilka fotek – mówi Damian. – Od razu sprawdzę, czy nie pojawiają się na nich jakieś duchy, zjawy, upiory i wampiry.

Rusza w głąb cmentarza. Idzie powoli, niczym koneser sztuki z nabożnym szacunkiem wizytujący muzeum narodowe. My natomiast siadamy na trawie, sięgamy po batony i wiśniówkę.

– Zmęczyła mnie wczorajsza noc – oznajmiam. – Ale czuję się dobrze.

– „Poranek, jasny świt, głowy leciutkie, bo to przecież góry”, jak śpiewa Sławomir – naigrawa się Piter. – W górach nigdy nie ma kaca, dlatego górale chodzą wiecznie narąbani.

– Artur, dzisiaj też jest zaplanowany jakiś balecik? – pytam.

– No ba! Po wczorajszym trudno, żebyście się nie domyślili. Ale szczegółów nie zdradzę, jakiś element zaskoczenia musi być. Wydaje mi się jednak, że polubicie góry jeszcze bardziej.

– No i pięknie – podsumowuje Piter. – Podobnie mnie się to.

– Chłopaki! – dobiega nas wołanie Damiana od strony cmentarza. – Chodźcie tutaj.

– Chłopaki to u szewca drewniane gwoździe prostują – rzuca z przekąsem Artur. – Czego on znowu chce?

– Sprawdzę. – Wstaję, otrzepując okruchy czekolady po batonie.

– Idziemy wszyscy – zarządza Artur. – Jeśli mamy znowu spotkać ducha, to nie może mnie to ominąć.

– Jak będzie taki seksowny jak ten pierwszy, to mnie też – dodaje Piter. – Och, Oczka, szkoda, żeś duchem jedynie.

Damian stoi po drugiej stronie cmentarzyka, z aparatem zawieszonym na szyi i wpatruje się w ziemię pod swoimi stopami. Mijamy kolejne nagrobki, nie było wyznaczonych kwater, więc kluczymy, domyślając się, gdzie leżą ciała i starając się ominąć te miejsca. Nasz przyjaciel stoi przy jednej z bardziej zniszczonych tablic nagrobnych, na której litery i symbole są tak niewyraźne, że nie mamy szans odczytać nawet pół słowa.

– Co jest? – pyta Piter. – Duch?

– Yhm – mruczy Damian. – Zerknijcie na ten grób.

Od razu dostrzegam, o co chodzi. Ta mogiła różni się od innych i to bardzo wyraźnie.

– Jest rozkopany – potwierdza moje przypuszczenia Artur.

– Tak. I to świeżo.

– Złodzieje grobów? – zastanawia się Piter. – Myślicie, że tu mogło być coś cennego?

– To biedne tereny, daj spokój – zaprzecza Artur. – Bizuterię przekazywano z matki na córkę, nie chowano z nią bliskich.

– Może to zwierzęta – wysuwam przypuszczenie, ale sam słyszę w swoim głosie całkowity brak przekonania.

– Połasiły się na kości sprzed kilkudziesięciu lat? – kpi Artur.

Podchodzi jeszcze bliżej grobu, o pół kroku, i butem wzrusza rozkopaną ziemię.

– Co robisz? – Piter łapie go za ramię. – To chyba profanacja, co nie?

– Sprawdzam, może jakiś wampir stąd wychodzi.

– Ta, w dzień – rzuca Damian.

– W nocy, ale wrócił napompowany krwią jak komar i nie miał siły się zakopać, wiecie, jak to jest po jedzeniu, od razu chce się spać.

– Pieprzenie – denerwuje się Piter. – Grobu, nawet tak starego, nie powinno się ruszać.

– O i popatrzcie – ignoruje jego słowa Artur, czubkiem buta wydostając z grobu długi gwóźdź z mocno narosłą skorupą rdzy. – Chyba próbowali pozbyć się krwio pijcy, ale nie wyszło.

– Śmieszne w chuj. – Piter cofa się o krok, wyraźnie zniesmaczony. W sumie jako jedyny z nas jest praktykującym katolikiem, mógł ten żart faktycznie odbierać jako coś poniżej krytyki.

Artur tymczasem kuca i bierze długi gwóźdź do ręki. Przygląda mu się uważnie.

– Pewnie była na nim przyczepiona jakaś tabliczka albo coś – podsuwam. – Drewno zgniło, a on wpadł do grobu.

– Albo faktycznie to legendarny żelazny ząb do eliminowania wampirów – mówi Damian. – Jest całkiem duży jak na taki do wieszania tabliczek, za to do wbijania w głowę trupowi idealny. Wspominałem wam o pochówkach antywampirycznych, to powszechny zwyczaj, szczególnie tutaj, w Beskidzie i Bieszczadach.

– No to trzeba by zakołkować dziada, co nie? – Artur z rozmachem wbija gwóźdź w rozkopany grób.

Wtedy wydarzają się dwie rzeczy, a żadna z nich nie jest przyjemna.

Po pierwsze wszyscy wzdrygamy się, odruchowo, jakby nasze ciała dały nam wyraźny znak, że „tak się nie robi, szanowni panowie”.

Po drugie ucichły ptaki. Nie wychwytyję tego momentu, tylko po prostu zdaję sobie sprawę z nagłej zmiany.

Zapada całkowita cisza. Serio. Jakby Artur wbił gwóźdź nie w zruszony piach, ale wprost w przełącznik zasilający cały ten las w życie i ono ustało. Cisza dzwoni nam w uszach i tylko wiatr delikatnie szumi gdzieś w koronach buków.

My również ucichliśmy.

Spoglądam na przyjaciół i nie widzę trzech zdrowych i silnych facetów, ale gówniarzy, który którzy wybrali się do nawiedzonego domu

i właśnie zdali sobie sprawę, że chyba faktycznie tutaj straszy.

– Nie wiem jak wy, ale ja bym radził spierdalać – mówię.

– Za dużo horrorów, Michałku – poucza mnie Piter, ale jego mina również jest mocno nietęga.

– Idziemy – zarządza Artur.

Otrzepuje rękę z piachu, jakby strząsał z niej robactwo, i jako pierwszy rusza z powrotem w stronę pozostawionych plecaków. Nie biegnie; idzie normalnym tempem, ale ja dostrzegam to napięcie mięśni i zaciśnięte zęby. Po prostu chce zachować resztki godności. Gdyby teraz zadziało się cokolwiek niepokojącego, ot choćby warczenie wilka, pewnie puściłby się pędem w stronę plecaków. Nie ukrywam, my za nim.

Jednak idziemy spokojnie jego śladem, nikt nie dyskutuje.

– Przestańcie panikować – odzywa się Artur, ale nie słysząc w jego głosie nerwów, mówi raczej swobodnie.

– Nikt nie panikuje – odpowiadam. – Ja już po prostu nie lubię gór, chcę nad morze.

Zgarniamy dobytek i ruszamy dalej drogą, którą wyznacza nam GPS.

– Napijemy się na następnym postoju, co nie? – proponuje Piter.

– Tak – mówię w imieniu całej ekipy.

Tu nie jest przyjemnie; jakby człowiek wybrał się na wiosenny spacer i nagle został zaskoczony przez burzę zrzucającą z nieba hektolitry lodowatej wody. Cholera, gdyby to była noc, pewnie faktycznie spierdalalibyśmy w podskokach, jednak słońce jest w tej chwili tym elementem, który chroni nas przed przesiąkającymi przez twardej mur zdrowego rozsądku falami strachu.

– Znowu śpiewają – zauważam, gdy docieramy do skraju lasu. – Ptaki.

– Chuj im w pierzastą dupę – rzuca Artur, nawet się nie zatrzymując.

Ja natomiast na chwilę przystaję i odwracam się w stronę zapomnianego cmentarza. Faktycznie, ponownie dobiega stamtąd głośny ptasi świergot. Promienie słońca zatrzymują się w koronach buków, jakby nie chciały przeszkadzać pochowanym w ziemi ludziom.

Dostrzegam ruch. Przełykam ślinę i podchodzę dwa kroki. Tak, ktoś tam stoi, przy tej rozkopanej mogile, ostatniej, znajdującej się na krańcu cmentarza. Odeszliśmy już kawałek, ale jestem pewien, że kogoś widzę.

– Hej, panowie – wołam, odwracając się w stronę przyjaciół, ale ich już nie ma. Tylko ja się zatrzymałem, oni poszli dalej. Teraz dopiero ogarnia mnie panika, aż oblewa mnie zimny pot.

Znów odwracam się w stronę cmentarza i widzę go. Tak, jestem pewien. To człowiek i to właściwie wszystko, co mogę na jego temat powiedzieć. Stoi zbyt głęboko wśród drzew, zbyt daleko ode mnie, w zbyt zacienionym miejscu.

Ale tam jest.

– *Chodź* – słyszę wyraźny szept. – *No chodźzzzz...*

Ściskam mocniej szelki plecaka, nie mogę ruszyć się z miejsca. Pamiętam jeden wypad w Tatry, gdy całą wycieczkę wstrzymała dziewczyna sparaliżowana strachem na jednym z podejść. Zarówno do ziemi, jak i miejsca powyżej miała co najwyżej dwa metry, ale nie mogła się ruszyć. Trzymała się kurczowo łańcucha, nie płakała, nie krzyczała, po prostu uchwyciła się jedynej pewnej rzeczy, którą miała pod ręką, pamiętam jej bladą twarz i zbielełe knykcie kontrastujące z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Wiele osób namawiało ją do zejścia, chciało jej pomóc, ale ona po prostu milczała i przytulała się do łańcucha. Czekaliśmy godzinę, aż ratownicy z TOPR-u po nią przyszli.

Czuję się teraz tak jak ona wtedy, jestem tego pewien. Gdyby nawet spadła, najwyżej obiłaby sobie dupę, nic jej nie groziło, podobnie jak mnie teraz. Jednak strach odholował nasze zmysły daleko stąd, pozostawił nas z zamrożonymi nogami, ściśniętym gardłem i dudniącym sercem.

Cień się poruszył, drgnął, może się obrócił, nie wiem, ale ruch był zauważalny. Powolny, jakbym patrzył na czarny sztandar ulegający podmuchom wiatru. Aż nagle przyśpiesza, biegnie pokracznie wzdłuż cmentarza, sadzi długie susy, jakby właśnie wypatrzył ofiarę i rozpoczął polowanie.

A może wypatrzył?

Udaje mi się przemóc bezruch, odwracam się i ruszam za przyjaciółmi. Jeśli ich zgubię, to już po mnie.

Nie, nie oglądam się za siebie.

23. Szpital

Nie wierzy mi. Ale wcale mu się nie dziwię. Uwierzy, wszystko w swoim czasie. Chcę, żeby był na tej wyprawie razem z nami, żeby czuł to, co i my. Chyba tylko w ten sposób zrozumie, co wydarzyło się później.

– Ucichły wszystkie ptaki? – Doktorek zapisuje coś w notesie.

– Tak, a my uciekliśmy.

– Chce pan odpocząć, panie Michale?

Faktycznie, jestem zmęczony. Mój poprzedni wywód o duchach dał mi popalić, zauważyłem, że w tym otumanieniu lekarstwami każda próba opowiedzenia czegoś bardziej skomplikowanego męczy mnie niczym przebiegnięcie kilku kilometrów. Długie zdania są jak sztanga na siłowni, zbyt mocno obciążona, abym mógł długo z nią ćwiczyć.

Owca

– Chciałbym wszystko opowiedzieć – mówię, poprawiając się na krześle. – Najchętniej napiłbym się kawy.

– Niestety to niemożliwe.

Wiem, kofeina koliduje z przepisаныmi mi medykamentami.

– Dokończę tylko panu, co było po tym cmentarzyku.

– Uciekliście?

– Dokładnie, strasznie tam było nieswojo. Wiem, czterech dorosłych mężczyzn, aż wstyd się do takich rzeczy przyznawać, a jednak tak było. Złapaliśmy plecaki i szybko poszliśmy dalej. Wiem, co pan myśli, przestraszyliśmy się dziury w ziemi, wyobraźnia nas pokonała, ale nawet Piotr, ten nasz drużynowy sceptyk, nie dyskutował.

– To jest znany proces – wtrąca lekarz. – Podchodzi to pod psychologię tłumu; jeśli lider stada, a we czterech takowe tworzyliście, zacznie przejawiać jakieś zachowania, pójdzie w jego ślady większa

część, to uczucia rozkładają się na wszystkich członków. Nawet jeśli będą to zachowania nieracjonalne. Tak dochodziło do waśni między rodzinami, zbiorowych samobójstw, zamieszek, ataków paniki, grupowych gwałtów.

– Może i tak, pan tu jest fachowcem. My poszliśmy dalej i dopiero po jakimś kwadransie się uspokoiliśmy. Damian wyjął aparat i sprawdził zdjęcia zrobione na cmentarzu, ale nie było na nich żadnego ducha, wampira czy co tam jeszcze łązi po cmentarzach i poluje na uczciwych ludzi. Jednak atmosfera siadła, chyba nieco wstydziliśmy się sami przed sobą. Artur nas w końcu zmobilizował, powiedział, że została nam już tylko jedna stacja i w końcu dotrzemy na miejsce. No i takim sloganem rzucił, że „bać to się trzeba żywych, a nie martwych”.

– Racja.

Popatrzyłem na tego człowieka, który wiedzę o świecie czerpał z mądrych książek. Co on mógł wiedzieć o martwych? No co? Otóż nic.

Jednak w tym przypadku miał rację.

Kurwa mać, jak ja bym chciał, aby jej nie miał.

24. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 16.30

Gdzieś na szlaku

Dopiero po jakimś czasie, kiedy nasz rozsądek wraca z dalekiej podróży, znowu czujemy się na tyle pewnie, by urządzić popas. Nie jest to miejsce odgórnie zaplanowane na naszej marszrucie, ale mamy to w dupie, po prostu zrzucamy plecaki, urządzamy prowizoryczny stół, wyjmujemy przekąski i flaszkę wiśniówki.

– To bardziej strach czy wstyd? – odzywa się jako pierwszy Damian.

Nie ma wątpliwości, że to pytanie chciał zadać każdy z nas.

– Jedno z drugim – odpowiada Artur. – Wiecie, ludzie w izolacji często wariują. Widzą pewne rzeczy, słyszą głosy, rozmawiają z wytworami swojej wyobraźni.

– Nie jesteśmy przecież w izolacji. – Piter spogląda na niego ze zdziwieniem.

– Nie? To zastanów się, co masz przy sobie z tego, co stanowiło twoją codzienność jeszcze dwa dni temu. Jesteś w obcym miejscu, bez dostępu do internetu i swojego kochanego smartfonu, ściany mieszkania nie zapewniają ci bezpieczeństwa, policja nie przyjedzie w kilka minut, jeśli poczujesz się zagrożony, jakbyś dostał zawału, to pozamiatane, bo pomoc zjawiłaby się może po godzinie. Nie masz kostki brukowej pod stopami, brudnego powietrza w płucach, ekranu przed oczami i hałasu w uszach. Nie masz nic, co jeszcze dwa dni temu było elementem twojego życia. Tylko las.

– Niby tak, ale nie przesadzajmy – protestuje Piter.

– Ludzie odcięci od reszty świata popadają w obłąd – stwierdza Damian. – Setki takich przypadków zostały zbadane i skatalogowane. Rozbitkowie ze statków, szczególnie w dawnych czasach, lądowali na bezludnych wyspach i często nie dożywali ratunku, zabijali się nawzajem, zjadali, wariowali, a przecież nie trafiali w tak odmienne środowisko jak my teraz. Mamy się za normalnych, niezdolnych do czynienia zła, a chociażby eksperyment stanfordzki pokazał, że wystarczą odpowiednie warunki, by zwyczajnych ludzi zamienić w bestie.

– To ten z więźniami? – pytam, bo coś mi świta.

– Tak, grupę osiemnastu studentów podzielono na strażników i więźniów, umieszczono w piwnicach Uniwersytetu Stanforda. Mieli odgrywać swoje role, ale już drugiego dnia eksperyment wymknął się spod kontroli, doszło do buntu, którego efektem była eskalacja działań strażników. Głodzili więźniów, zmuszali ich do masturbacji, poniżali, znęcali się nad nimi. Badanie przerwano po zaledwie sześciu dniach, bo jego kontynuowanie groziło śmiercią. I tak część więźniów odniosła poważne urazy psychiczne. Przystępowali do eksperymentu dobrowolnie, byli przebadani, nie mieli żadnych skłonności do przemocy, a wystarczył jeden dzień, aby zmienić ich w bestie. Jeden dzień! Oto siła roli społecznej i sugestii.

– Dokładnie – przytakuje mu Artur. – Po prostu nakręcamy się, i tyle. Ale spokojnie, zaraz dotrzemy na miejsce i czeka nas zasłużona nagroda.

– Oby nie było tam cmentarzy, nawiedzonych domów, czarnowłosych duchów, znikających ze zdjęć ludzi lub pojawiających się na nich potworów – mruczę. – Chcę się pobawić, schlać i wyspać. Czy żądam od życia aż tak wiele? Proste potrzeby szarego człowieka.

– A jeśli ktoś nas śledzi? – zastanawia się Damian. – Może faktycznie mamy do czynienia z jakimś maniakiem, który chce nas

skrzywdzić?

– Czterech dorosłych mężczyzn? – prycha Piter. – Daj spokój. Po pierwsze takie rzeczy dzieją się tylko w amerykańskich filmach, gdzie w opuszczonej chacie żyje jakaś popieprzona rodzinka, spaczona chowem wsobnym, napada na turystów, okrada ich, a potem zjada.

– Nie wpisujemy się w schemat – zauważam. – Nie ma z nami cycatej blondyny, która pierwsza ginie, ani ponętnej brunetki, która jako jedyna przeżyje.

– A po drugie. – Piter unosi dwa palce. – Jeśli to jakiś maniak, chociażby ten Rozpruwacz z Lublina, to nie jesteśmy jego celem.

– Nie? – dziwi się Damian.

– No nie, wszyscy seryjniacy to zwykli pizdeusze. Zabijają tylko kobiety albo dzieci, a nawet jeśli rzucą się na mężczyzn, to wybierają ofiary słabsze od siebie, wcześniej je usypiają i tak dalej. Nie daliby rady w uczciwej walce, a już w szczególności z nami czterema. Więc nie, Damianku, nikt na nas nie poluje.

– Ten z Lublina podobno morduje też facetów – przypomina Damian.

– Tak, zabija w parach, kobieta i mężczyzna, prostytutka i jej klient – informuję.

– Czyli nie taki z niego pizdeusz – zauważa Damian. – Dwoje na jednego.

– Pewnie ma jakiś sposób, żeby ich obezwładnić, może usypia, truje? – kombinuje Piter. – Michaś, jak jest? Twoja Magda coś wspominała?

– Nie ma śladów walki – odpowiadam. – Po prostu dwa ciała z podejrzanymi gardłami, rozprute i wybebeszone.

– Stop. Proponuję coś na rozluźnienie. – Artur uznaje za słuszne przerwać te rozważania i polewa nam kolejkę.

– A może jest coś w tej wódce, co? – pytam, podnosząc kieliszek pod słońce, ale jedyne co widzę, to piękny krwistoczerwony trunek.

– Niby co? – Artur podejrzliwie wacha zawartość kieliszka.

– Jakies haluny. Wiesz, wycieczka z jajem, nieco narkotyku do wódki, żeby podkręcić doznania, no nie wiem, może LSD? Mogliby to zrobić?

– Za duże ryzyko – stwierdza Piter. – Na takie rzeczy można być uczulonym i nie wiadomo, jak zareaguje organizm.

– Zrzekaliśmy się odpowiedzialności, podpisaliśmy papier – kontruje.

– Taki papier gównu daje – odpowiada. – Jeśli któryś z nas dostałby tutaj zawału, a w sekcji wyszłoby, że na nieświadomce przyjął jakies gównu i to przyczyniło się do zgonu, to kryminał, kolego sympatyczny.

– Nawet by to pasowało do LSD – mówi Damian. – Są po nim dziwne wizje, głosy, obrazy, w dodatku bardzo mocno zwiększa podatność na sugestię. Testowano to na żołnierzach, jednak zaprzestano.

– Uzależnia? – pytam.

– Skąd – odpowiada. – To środek bezpieczniejszy od alkoholu czy papierosów. Jednak nieco traci się po nim kontrolę, ale najgorsze jest to, że potrafi człowiekowi odpalić wizje nawet wiele miesięcy po ostatnim zażyciu. Jest bardzo nieprzewidywalny.

– Zrobię test, jak wrócimy z tej wycieczki – oznajmia Piter. – Jeśli mi wyjdzie, że mam to gównu w organizmie, to ich pozwę.

– Popieram – mówię. – Cieszę się, że dziś nie śpimy w namiotach, przyznaję się bez bicia, nigdy więcej namiotu.

– Śpimy pod dachem – potwierdza Artur. – I uwierzcie mi, dzisiaj nie będzie miejsca na żadne zjawy, duchy i upiory.

– Sprawdź może aparat, co? – sugeruję Damianowi. – Zobacz, czy zdjęcia z tego posranego cmentarza są normalne.

Przyjaciel kiwa głową i sięga do plecaka, do którego przytroczył futerał na cyfrowkę. Wyjmuje aparat i z niezbyt tęgą miną zaczyna wpatrywać się w ekran. Po chwili napięcie z niego schodzi, podnosi głowę i oznajmia:

– Czysto, wszystko tak jak zrobiłem. Żadnych tajemniczych postaci.

– Nawet Oczki? – pyta z zawodem Piter.

– Ty byś nawet ducha wyruchał – rzuca Damian.

– Nie każdego! – protestuje Piter. – Ale od razu wam mówiłem, że się w niej zakochałem. Jak tylko wrócimy, muszę ją wytropić na social mediach.

– Nieco ci współczuję – nie odpuszcza mu Damian. – Jesteś strasznym niewolnikiem swej żądz.

– I jest mi z tym dobrze. Każdy ma jakiś nałóg, dla mnie są nim kobiety. Wszystkie są piękne, a jeśli ktoś twierdzi inaczej, jest debilem.

– Serio, wszystkie? – pytam z lekkim niedowierzaniem.

– Tak. Dobra rada, panowie, każdą kobietę traktujcie tak, jak byście się właśnie w niej zakochali, a odpłaci wam uśmiechem, życzliwością i odwzajemni uczucie. Przykładowo: ja nie mam żadnych problemów z załatwieniem spraw w urzędach; zaczynam od uśmiechu, komplementu i nagle się okazuje, że każda niewiasta, nawet ta osławiona wredna baba w ZUS-ie jest na pierwszym miejscu kobietą, a dopiero potem urzędniczką. Niestety, mężowie i dzieci traktują ją w domu jak służącą, a ona potrzebuje poczuć się właśnie kobietą.

– Co ty pieprzysz? – oburza się Damian. – Przecież ty nawet nigdy nie byłeś blisko małżeństwa, z każdą wytrzymałeś kilka miesięcy i hop na kolejny kwiatek.

– Tak wiele kobiet, a życie takie krótkie – odrzeka rozmarzonym głosem Piter.

– Dobra, panowie – przerywa im Artur. – Koniec tych rozważań i tanich filozofii, bo jeszcze Coelho pozwie was o plagiat. Kończymy

butelczynę i ruszamy, zostało nam jakieś półtorej godziny drogi.

Wstaję i zmierzam w stronę krzaków, aby nieco ulżyć pęcherzowi. Odruchowo już wstrzymuję oddech i nasłuchuję, próbuję złowić ten tajemniczy szept wśród szumu wiatru, ale nic takiego nie ma miejsca.

Gdy znów ruszamy na szlak, żegna nas zwyczajna beskidzka cisza.

– Misiek, wierzysz w duchy? – pyta mnie Damian, gdy zwyczajowo zostajemy we dwóch na końcu, puściwszy przodem naszego przewodnika.

– Raczej nie – odpowiadam szczerze i w zgodzie ze swoim sumieniem, bo nie wierzę.

– Ja też. Chyba.

– Daj spokój, przecież to wszystko brednie. Przy dzisiejszej technice, gdy jesteśmy w stanie z kosmosu pstryknąć fotkę szpilce w stogu siana, nadal nikomu nie udało się zrobić ani jednego wiarygodnego zdjęcia ducha. Widziałeś te programy w telewizji pokazujące łowców duchów odwiedzających kolejne niby to nawiedzone domy?

– Nie zdarzyło się.

– Moja Magda to ogląda, więc ja też kilka obejrzałem. Scenariusz jest ten sam: ekipa odwiedza kolejny dom, poznaje jego straszne legendy, a potem zostaje tam na noc i zastawia fotopułapki. Wiesz, co się dzieje potem?

– Nic?

– Ależ skąd, akcji jest mnóstwo. Najczęściej biegają po domu, bo niby coś usłyszeli, z przerażeniem wypisanym na twarzach opowiadają, jak tam jest strasznie i że czują czyjąś obecność. I tak w każdym odcinku. Jednak w całym zalewie tych gównianych produkcji nigdy nie udało się im nagrać czegokolwiek nadprzyrodzonego, a programy mają po kilka sezonów.

– Mój dziadek opowiadał mi o duchach – powiedział Damian. – Mieszkał w Sandomierzu, na przedmieściu, Krakówka na to mówili.

W soboty zawsze chodził do sąsiada na karty, a musiał przejść przez cały sad. Miał psa, który nigdy nie przechodził obok starej gruszy, nie dało się tam sierściucha zaciągnąć nawet wołami. Wył, piszczał, skomlał i sikał po nogach. Podczas wojny Niemcy rozstrzelali pod tym drzewem żydowską rodzinę. Podobno ojca tej rodziny akurat nie było w domu, gdy do tego doszło, i po powrocie ludzie mu powiedzieli, co się stało. Nie znalazł swoich bliskich, a jedynie zakrwawione miejsce kaźni. Powiesił się na tej gruszy na pasku od spodni.

– Straszna historia.

– Dziadek w końcu ściał gruszę, bo już miał tego dość. Narzekał, bo rodziła bardzo słodkie owoce.

– Pomogło?

– Tak. Wiesz co? Sprawdziłem prawdziwość tej historii, tak było. Była taka rozstrzelana rodzina z tej ulicy w Sandomierzu, a to zaraz obok ogrodu dziadka.

– I właśnie mi przeszły ciarki po plecach – komentuję.

– Widziałem ponownie Oczkę – rzuca nagle Damian.

– No i? Po wizycie w tym domu myślisz, że to duch?

– Nie wiem. Ale tam, na cmentarzu, widziałem ją, stała na końcu ścieżki, którą przyszliśmy. Przez chwilę, może pół oddechu, ale widziałem.

– I niby siedzieliśmy sobie z duchem i popijaliśmy wódeczkę? Damian, daj spokój.

– A może duchy takie właśnie są? Oczekujemy, że to półprzezroczyste istoty, spowite w biel upiory mające na celu straszenie śmiertelników. Co, jeśli są jak my, cali z krwi i kości, odradzają się po śmierci i muszą naprawić wyrządzone krzywdy lub też zemścić się na swoich oprawcach? Dlatego nie można ich uchwycić na żadnym zdjęciu, bo są po prostu ludźmi. Może potrafią zniknąć? To jak z filmem: widzimy na ekranie człowieka jak żywego, ale to tylko zapisane cyfrowo

wspomnienie. Może rzeczywistość także to potrafi? Wyświetla nam zapisany obraz osoby?

– Cholera, Damian, za mądre to wszystko dla mnie.

– Tak sobie myślę głośno. Jest Oczka, pije z nami wódkę, robimy sobie foto, ale jej już na nim nie ma. Jestem także racjonalistą, dlatego ta sytuacja nieco mnie irytuje. Wolałbym, żeby faktycznie była duchem i została tylko wspomnieniem odstawionym na półkę oznaczoną plakietką „Beskid Niski”.

– Mnie też niepokoi to, co widzę i słyszę.

– Odkryliśmy zatem, jak doprowadzić człowieka do szaleństwa. Dać mu niepewność. Coś słyszysz, ale co tak naprawdę? Coś widzisz, ale potem się okazuje, że tego nie było.

– Masz rację. Niepokoi mnie to cholernie.

– Wiem. Coś za nami idzie. Może to tylko fala niepokoju, a może coś z krwi i kości? W każdym razie: jest. I idzie. Chce czegoś od nas. Albo nas.

Miał rację. Szło. I chciało.

25. Szpital

Patrzę na doktorka i zastanawiam się, co dalej opowiadać. Do tej pory nie skłamałem ani słowem, ale teraz... Sam nie wiem, mam ochotę trochę sobie z niego zakpić. Mam tu jakieś inne rozrywki? No nie mam.

Druga sprawa to: czy uwierzy w prawdę? Prawda jest taka popieprzona, że spokojnie może uchodzić za brednie, majaki i tak dalej. Może trochę pomieszać jedno z drugim?

Chyba lepiej będzie skłamać, bo wtedy przynajmniej jest szansa, że mi uwierzą, pomyślą, że jestem normalny, nieco zagubiony, ale pod sufitem równo, można puścić do domu, do Magdy. Może jeszcze zdążę na ślub?

– Czyli dotarli panowie do schroniska, tak? – pyta doktorek.

– Tak.

– I to wtedy się zaczęło?

– Może zaczęło, a może skończyło. Kto wie.

– Panie Michale, jeśli można prosić, to wolałbym konkretne odpowiedzi.

– Gdyby wiedział pan, co ja bym wolał, to dopiero by było.

Zamykam oczy i pochylam głowę.

Prawda czy fałsz?

To, co on chce usłyszeć, czy to, co ja chcę opowiedzieć?

26. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 18.00

Schronisko Karkut

Przyjemność gdzieś uciekła, jakby nagle zboczyła z naszego szlaku i znikła w lesie goniona szeptami, wilkami, duchami i napiętą atmosferą. Najmocniej przeżywa to Artur, który prowadzi nas naprawdę szybkim tempem. Chyba czuje, że tylko finał tej wycieczki może nas wprowadzić ponownie w imprezowy nastrój. Cholera, przecież przyjechaliśmy tutaj bawić się na wieczorze kawalerskim, na którym powinny puszczać wszelkie hamulce, alkohol winien lać się strumieniami, obniżając nasze IQ do poziomu buraka pastewnego, abyśmy mogli to wspominać latami z zażenowaniem, co roku nieco ubarwiając opowieść i zapominając te najbardziej wstydlive fragmenty.

Jeśli wieczorne atrakcje nas odprężą, to pewnie będziemy wspominać te wszystkie duchy i strachy, śmiać się z wilka straszącego Pitera podczas *dwójki*, nawiedzonego domu, wampirów, rozkopanych grobów.

Jeśli... Zawsze jest jakieś pieprzone „jeśli”.

– Ciężko jest rozpruć człowieka? – zastanawia się, lekko posapując, Piter. – Pewnie straszny smród.

– A ciebie nadal kręci ten Rozpruwacz z Lublina? – irytuje się Artur.

– Oglądałem kiedyś w necie sekcję zwłok, wytrzymałem minutę – odpowiadam.

– Da się przyzwyczaić – stwierdza Damian. – Do wszystkiego można przywyknąć.

– Trzeba jednak przełamać pewną barierę, żeby wypruć flaki dwóm osobom, co nie? – zauważa Piter. – To nie jest przekroczenie jakiejś tam strefy komfortu, to cholerna wyprawa na inną planetę, jeśli chodzi o zachowanie.

– Może gość zawodowo jest rzeźnikiem – sugeruje Damian. – Albo lekarzem czy kimś takim. Może nawet ratownikiem medycznym, ci też się napatrzą. Dla niego takie szlachtowanie ludzi to kolejny dzień w biurze. Patrzycie na wszystko ze swoich perspektyw. Koleżanka mi opowiadała, że zanim została matką, to brzydziły ją kupy, gluty i inne rzeczy. Po kilku dniach zmieniania pieluch mogła już spokojnie jeść kanapkę i wycierać dupę dzieciakowi.

– Otóż to – przytakuje Piter. – Do tego facet na pewno ma misję. To go dodatkowo wzmacnia. Oglądałem parę dokumentów o mordercach i zazwyczaj żyją w poczuciu jakiegoś wyższego celu. Traktują swoje działanie nie tylko jako misję, ale czasem nawet rodzaj działalności, powiedzmy: artystycznej, dlatego też stają się coraz brutalniejsi i bardziej pomysłowi, szczególnie jeśli zdobędą zainteresowanie mediów.

– Eskalacja brutalności? – pytam. – Psychol w mieszkaniu ofiar zarzyna je, wypruwa im wnętrzności i uważasz, że będzie jeszcze gorzej?

– Tak – potwierdza Piter. – Dla nas gorzej, dla niego lepiej. Może zacznie wystawiać ofiary na widok publiczny? Nagra to wszystko i wrzuci do sieci? Może utnie im głowy i udekoruje nimi miejską choinkę? Nie wiem, ale na pewno będzie gorzej.

– Nie dopuszczacie myśli, że go jednak złapią? – wtrąca Damian.

– Na razie im nie idzie – rzucam.

– Gównu wiemy – mówi Artur. – Przecież policja nie informuje o wszystkich swoich działaniach, może depczą mu już po piętach? Michał, twoja luba nic o tym nie mówiła?

– Mają tam jakieś ślady DNA – oznajmiam. – Ale jeśli gość nie jest notowany, to nic nie daje. Policja musiałaby zrobić taką akcję, jak przy Rozpruwaczu z Yorkshire, gdzie pobierano próbki wszystkim mężczyznom z określonych dzielnic, w których działał. W Polsce to niemożliwe, a po drugie grasuje po całym Lublinie. Przebadać całe miasto? Bez szans.

– Czyli, panowie, prosty wniosek: nie wchodzić na dziewczynki – podsumowuje Damian.

– Jesteśmy – mówi z wyraźną ulgą Artur, jakby obawiał się, że na ostatnim odcinku trasy wypadnie na nas stado upiorów i pourywa nam łby.

Ostatni fragment trasy pokonaliśmy pod górę, więc nieco zasapani wchodzimy na bardzo rozległą polanę, na której stoi duży drewniany budynek. Jest przepiękny, chociaż niepodobny do zakopiańskich chat górskich, które dla mnie stały się ostatnio synonimem kiczu, wpychane wszędzie jako oznaka awangardy i dobrego smaku.

Stojący na stoku jednopiętrowy budynek został zbudowany z ciemnego drewna, dach pokryto gontem, z którego wynurzają się nieduże okienka mieszkalnego poddasza. Po węższych stronach domu dach opada niemal do ziemi, od naszej strony widać drewniane drzwi wejściowe wpuszczone w kamienną podmurówkę. Całość sprawia bardzo przytulne wrażenie.

– To schronisko Karkut – oznajmia Artur. – Nie znajdziecie go w żadnych przewodnikach, bo nie jest oficjalnie oddane do użytku. Są jakieś kłopoty z pozwoleniami, chyba od straży pożarnej, było planowane na nowo projektowanej mapie beskidzkich szlaków, ale finalnie nie zostały one udostępnione, zatem nikomu nie zależy na jego

uruchomieniu. Inwestor pozwolił zrobić tu bazę wypadową GOPR i bywa, że w niej nocują zimą, latem stoi opuszczone. Ale wiadomo, jakoś musi na siebie zarabiać.

– Karkut? – dziwię się. – Co to znaczy?

– To po ormiańsku „grad” – wyjaśnia Artur.

– Grad? – Piter marszczy czoło. – Taki co spada z nieba?

– Nie, z dupy – warczy Artur. – Taki kuleczkowaty śnieg, głupku.

– Jebać grad. Jest tu prąd? – pyta Damian.

– Tak, za budynkiem są zamontowane panele słoneczne, dodatkowo awaryjny agregat prądotwórczy. Jest też bieżąca woda, prysznice, kible i wszelkie udogodnienia.

– Cywilizacja! – Damian pada na kolana i kłania się budynkowi. – Alleluja.

Ten gest rozluźnia nas wszystkich, w końcu powiało normalnością. Ruszamy do drzwi budynku, nad którymi pyszni się drewniany szyld z pomalowanym na zielono napisem „Schronisko Karkut”. Artur otwiera drzwi kartą magnetyczną, która znajdowała się w jego pakiecie. Wchodzimy do środka, wszystko pachnie świeżością; główna sala jest dość spora, z barem, stołami, drzwiami prowadzącymi do ubikacji dla turystów oraz dużym kominkiem w centralnym punkcie. Zimą musi tu być niesamowicie uroczo i przytulnie.

– Na górze są prysznice i pokoje – oznajmia Artur. – Budynek jest zarezerwowany wyłącznie dla nas, więc czujcie się jak u siebie.

– Nie musisz dwa razy powtarzać – rzuca Piter.

– Tylko bez demolki – zastrzega Artur i spogląda na zegarek. – Jest osiemnasta. Każdy ma czas dla siebie, jakąś godzinkę. Do dwudziestej drugiej drzwi będą otwarte, potem wyjście i wejście tylko z kartą magnetyczną.

Zrzuca plecak na drewnianą podłogę i przeciąga się leniwie. Widzę, że wzdycha z ulgą, pewnie cieszy się, że doprowadził nas szczęśliwie do

celu. Nikt nie zginął, nikogo nie porwał wampir, duch czy *lutyj zwir*.

– Muszę wziąć prysznic – informuję, kierując się w stronę drewnianych schodów.

– A ja porządnie się wysrać, bez wilków – oznajmia Piter.

– Ja idę cyknąć kilka fot, póki widno. – Damian zrzuca plecak i rusza do wyjścia. – Myjcie się, srajcie, potem się podmienimy.

Po wejściu na górę widzę korytarz z kilkoma pokojami. Zbytlich luksusów tu nie ma – w każdym stoją piętrowe łóżka, wyglądające na nowe. Jedne drzwi oznaczone były drewnianą tabliczką z napisem „Prysznice”, drugie „Toalety”. Piter rzuca plecak na łóżko w pierwszym z brzegu pokoju i rusza spełnić swe groźby.

– Nigdy nie sądziłem, że tak będzie mi tego brakować – mówi, znikając za drewnianymi drzwiami. – Nawet papier jest! – krzyczy ze środka.

– Przecież ty kochasz góry.

– Ale w cywilizowanych warunkach, bez srania po krzakach!

Zostawiam plecak na sąsiednim łóżku, wydaję z niego ręcznik i ruszam pod prysznic. Kabiny są tylko dwie, oddzielone od siebie ścianką, a od reszty świata ceratowymi zasłonkami.

Dopiero po puszczeniu strumienia ciepłej wody czuję swój własny smród. No cóż, dwa dni na szlaku bez porządnej toalety wyraźnie dają o sobie znać. Było gorąco, pociliśmy się pod ciężarem plecaków, a poprzedniej nocy przecież imprezowaliśmy.

Wychodzę spod prysznica, wycieram się i ruszam po czyste ubrania do pokoju, gdzie zostawiłem plecak. Na piętrze pojawia się Artur, który też łakomie spogląda w stronę prysznica.

– Ciepła woda jest? – upewnia się.

– Jest.

– Dzięki bogom – wzdycha i od razu maszeruje do łazienki, żeby zmyć z siebie wspomnienia ostatnich dni.

Otwieram okno, wpuszczając gorące, sierpniowe powietrze do środka. Razem z nim dociera do mnie śpiew ptaków. Teraz mogły nagle ucichnąć, mam to w dupie.

Kładę się na łóżku, w samych majtkach. Kiedy ostatnio miałem okazję po prostu się położyć i nic nie robić? Obecnie każda taka chwila to wsiąknięcie w wirtualny świat ze smartfonem w rękę, puszczenie kolejnego odcinka serialu, dla niewielu wybrańców czytanie książki. Zachowujemy się tak, jakby minuta bezczynności miała nam odebrać możliwość zgłębienia całej wiedzy wszechświata.

Tak rozmyślając, zasypiam.

Budzi mnie głośny krzyk, a po nim słyszę dudnienie ciężkich kroków na schodach.

27. Szpital

Tak sobie patrzę, raz nad głową tego dziwnego faceta, raz na lewo, a potem na prawo. Co tu mamy ciekawego? Nad jego głową wisi krzyż, przybity nad drzwiami, jak należy. Zbawiciel smętnie zwisa z opuszczoną głową i ma wszystko w dupie. Gdzie byłeś, dupku, tamtej nocy, kiedy szlachtowali mi przyjaciół, co? Zwisalesz sobie, tak? To se wiś.

Zaśmiałem się sam do siebie. Ale mu dogadałem, nie ma co!

Dobra, patrzę na lewo, a tam ściana, no i plakat. Taki z lasem, dużo drzew, czyli las. Pewnie jakieś psychologiczne pierdolenie, że las uspokaja. Ta, jasne, nie wiesz czasem. W lesie nie ma niczego spokojnego! Znam się na tym, byłem ostatnio w lesie, ale tam jest inaczej niż na tym durnym plakacie. Są drzewa, potwory, latające siekiery, flaki i krew. Dużo krwi. Spokoju nie stwierdzono.

Chuja się znają.

Po prawej jest okno, na szczęście zamknięte. Ktoś tutaj ma łeb na karku, że zamknął okno, wie, o co chodzi, czai bazę, jak to mówią. I powiem wam, a nawet obiecuję, że jeśli ten siedzący przede mną facet wstanie i otworzy okno, to go złapię i wsadzę łeb w ramę, a potem będę przytrząskiwał tak długo tym oknem, aż zmądrzeje. Okno ma pozostać zamknięte i już.

Zaraz, kim jest ten facet?

Przyglądam się mu i to chyba lekarz, ma biały fartuch, jakąś plakietkę i mądrą minę. Ładnie przystrzyżone włosy, zaczesane elegancko na bok, uśmiech. Grzeczny chłopczyk. Pewnie słuchał mamusi, odrabiał lekcje i zmaśniał paciorek. Paciorek, siusiu i spać! Właśnie takie grzeczne siurki zostają lekarzami.

Właśnie, to lekarz!

A to by się nawet zgadzało, bo jestem przecież w szpitalu.

– Panie Michale – zaczyna nieśmiało facet. – Jak się pan dziś czuje?

– O jak ten. – Wskazuję głową na krzyż. – Wszystko mi zwisa!

Zaczynam się śmiać, bo dowcip był dobry, cięta riposta, ot co! Gość zapisuje coś w notatniku.

– Okno tylko mi nie zwisa – mówię poważnym głosem, bo sprawa nie jest z gatunku tych śmiesznych. – Ma być zamknięte.

– Rozumiem. – Kiwa głową. – Nie zamierzam go otwierać.

Tym razem to ja kiwam głową.

– To dobrze.

– Dalej boi się pan wychodzić na zewnątrz? – pyta i zerka w notes.

– Bałeś się kiedyś? – Tym razem to ja pytam.

– Czego?

– Czegokolwiek.

– Każdy się bał.

– Ale tak, że o mało nie zesrałeś się w gacie? Bałeś się kiedyś tak bardzo?

– Nie.

– Więc o czym chcesz ze mną rozmawiać?

– Właśnie o strachu.

– Jak możesz ze mną poruszać ten temat, skoro nie masz o tym zielonego pojęcia? – Rozkładałam ręce dla podkreślenia mojej wypowiedzi, bo ewidentnie gość jest głupi jak but.

– Proszę mi opowiedzieć zatem, czym jest strach.

– To ty mi opowiedz, czym jest słodki smak. Opowiedz mi. Albo opowiedz mi, czym jest kolor czerwony. Zdefiniuj go. Nie porównuj do niczego, nie opowiadaj, że to taki kolor, co ma pomidor. Zdefiniuj mi kolor czerwony. No, proszę, dawaj.

Facet znowu coś notuje. Dupek.

– To może opowie mi pan o tym momencie, gdy pojawił się strach, ten największy? Przed waszą wyprawą też pan nie wiedział, co to jest prawdziwy strach, prawda? Pojawił się dopiero w jej trakcie, w jednym z momentów, czyż nie?

– O tak – odpowiadam, zerkając nerwowo w stronę okna, na szczęście nadal jest zamknięte. Warto by jednak sprawdzić, czy aby na pewno jest dobrze zamknięte, szarpnąć za klamkę, ot tak, dla pewności.

– Opowie pan?

– Nie. Bo tego nie da się opisać, podobnie jak nie jesteśmy w stanie opisać ślepego czerwonego koloru.

– Kiedy to się wydarzyło, kiedy to uczucie spadło na pana po raz pierwszy?

– Zaczęło się od dziewczyny.

Gość znowu coś notuje, a ja zerkam na okno poważnie już zaniepokojony. Na pewno jest niedomknięte.

Wstaję i rzucam się w stronę klamki, gdy czuję mocne uderzenie w ramię, a potem coś łapie mnie za klatkę piersiową z mocą stu diabłów. No tak, pielęgniarz, zapomniałem. Zawsze tam stoi i patrzy, czy mi nic nie jest. Dobry człowiek. Stoi za mną i o mnie dba.

A może jednak nie dba? Czy sprawdził zamknięcie okna? Nie sędzę. Popatrzył i stwierdził, że jest wszystko w porządku.

Nie jest. Nigdy nie było.

28. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 19.30

Schronisko Karkut

Zrywam się z drzemki z uczuciem całkowitego zagubienia i dezorientacji. Gdzie jestem? Kiedy jestem? Co ja tu robię? Co się dzieje?

Piętrowe łóżka, plecaki, wyskakujący z łóżek Piter i Damian, którzy chyba też odlecieli na krótką drzemkę, i dudnienie kroków na drewnianych schodach, jakby zmierzał w naszym kierunku co najmniej niedźwiedź.

Jednak okazuje się, że to nie żadna bestia, ale czwarty z nas, Artur.

Stoi w drzwiach do pokoju i ciężko oddycha, jakby osiągnął właśnie metę maratonu. Ma czerwoną, bordową wręcz, twarz, wytrzeszczone oczy i wskazuje za siebie. Dopiero po chwili, chyba przez to rozespanie, zwracam uwagę na jego ręce. Całe czerwone, zakrwawione.

– Nie żyją! – wyrzuca z siebie.

Chwytam koszulkę i spodenki, które przygotowałem na przebranie, przyjaciele zdążyli się szybciej ogarnąć, ale obaj mają na sobie koszulki wręczone nam wczoraj przez Artura.

– Kto? – pytam, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– Dziewczyna – dyszy niemal. – I ten gość.

– Jaki gość?

– Kierowca.

– Co ty pierdolisz? – rzuca w końcu Piter, wstając z łóżka i zakładając buty. – Jaki kierowca? Czego?

– Chodźcie! – krzyczy Artur i nie oglądając się na nas, rusza w dół schodów.

– Dokąd idziemy? – pyta nerwowo Damian, ale nie otrzymuje odpowiedzi.

– To się nie dzieje – mówi tylko Artur. – To się nie dzieje, to się nie dzieje.

Wybiegamy przed schronisko, Artur kieruje się na jego tyły, a my za nim. Widzę jego plecy i spocony kark, czuję smród potu, a przecież chyba brał prysznic. Boi się, to widać, więc to może zapach strachu? Jakaś zaszyta w genach forma alarmu dla wszystkich, którzy poczują ten specyficzny zapach.

Za budynkiem schroniska stoi stelaż z panelami słonecznymi, a zaraz obok niego spora szopa z dwoma miejscami garażowymi. Nasz przewodnik zatrzymuje się przed wejściem, odwraca do nas i mówi drżącym głosem:

– Tu ich znalazłem.

– Kogo? – pytam.

– Kurwa! – rzuca Piter. – Mam nadzieję, że to jakiś wkręt i zaraz po wejściu rozbłyszną światła, a jakaś goła lasencja krzyknie „niespodzianka”.

Artur nie odpowiada, tylko ostrożnie wchodzi do środka.

Po tekście Pitera też obudziła się we mnie nadzieja, że to tylko część zaplanowanych atrakcji, jednak już po wejściu do szopy wiem, że to tylko pobożne życzenia.

Budynek składa się z jednego wielkiego pomieszczenia, którego prawa strona została przeznaczona na część garażową. Stoją tam kosiarka, skuter śnieżny i spory quad z przyczepą. Natomiast po lewej stronie, którą weszliśmy, ktoś urządził pomieszczenie biurowe, z szafką, stolikiem, krzesłem, małym kredensem z czajnikiem bezprzewodowym i mikrofalówką.

I zwłokami.

Jakieś dwa metry od nas leży na plecach dziewczyna, dobrze nam znana ze zdjęcia w nawiedzonym domu, a wcześniej ze wspólnego spotkania w Siankach przy czasowni, gdy dała się namówić na kieliszek wódki.

Oczka.

Nie żyje. Nie ma co do tego wątpliwości. Puste spojrzenie skierowane w sufit, poderżnięte gardło i mała sadzawka z krwi na brzuchu i dookoła ciała. Jest naga, jeśli nie liczyć majtek owiniętych wokół kostek. Jej piękne, czarne włosy rozsypały się wokół głowy niczym rzucony niedbale welon. Tak jakby skoczyła z pomostu plecami w dół i spadała, cały czas spadała, a jej włosy falowały na wietrze.

Tuż za nią leży na brzuchu mężczyzna, nie jest to goprowiec spotkany dziś rano koło baczki; zdecydowanie mocniej zbudowany i w czarnych włosach nie widać ani śladu siwizny. Ma na sobie czarną koszulkę, a spodnie i majtki są opuszczone do kostek podobnie jak u dziewczyny. Jego blade pośladki wyglądają w tym zaciemnionym i zakrwawionym pomieszczeniu jak jasny punkt. Nie żyje; ktoś chyba też załatwił go nożem albo innym ostrym narzędziem, bo dookoła ciała jest sporo krwi.

– O kurwa! – rzucam, czując, jak wszystko co w życiu zjadłem, właśnie jedzie mi do gardła.

– To inscenizacja? – pyta chłodno Piter z kpiącym uśmiechem.

– Nie, przysięgam, że nie! – Artur niemal krzyczy i w jego głosie słychać ten ostatni gwóźdź do trumny naszych złudzeń, że to może jednak część zabawy.

– Pierdolisz! – rzuca Damian i robi krok w tył. – Przecież to trupy. Zwłoki! Oni nie żyją!

– Artur, co tu się, kurwa, stało? – pyta zachrypłym głosem Piter, który jako jedyny chyba jakoś nad sobą zapanował.

– Nie wiem. Kurwa, nie wiem. Chciałem ją ratować, myślałem nawet że to żart, część gry. – Pokazuje nam zakrwawione dłonie.

Dla mnie to już za wiele, osiągnąłem punkt krytyczny. Wybiegam na zewnątrz, mijając przyjaciół, i opróżniam żołądek w krzakach. Już wiem, że widok z garażu będzie mnie prześladował do końca życia. Gdy się prostuję i ocieram usta, dostrzegam, że chłopaki stoją na zewnątrz, a na ich twarzach widać bladość, strach i zaskoczenie.

– Kurwa, kurwa, kurwa – przeklina Artur, chodząc nerwowo w kółko i szarpiąc się za włosy.

– Artur! – słyszę głos Piotra. – Opanuj się i mów! Co tu się stało?

– To tylko gra, przecież to tylko gra – powtarza Artur jak mantrę.

– Jaka gra? – podnoszę głos. – O czym ty w kółko pierdolisz?

– No, nasza – odpowiada, jakby to wszystko wyjaśniało. – Oni mieli być dopiero o dwudziestej, więc zszedłem, aby tu na nich poczekać.

– Artur, co ty bredzisz? – Piter łapie go za ramiona i lekko nim potrząsa.

– Możesz nam łaskawie wyjaśnić, o czym ty tutaj sobie tak uroczko pierdolisz pod nosem? – pytam, tracąc resztki cierpliwości, o ile jeszcze jakieś miałem.

– To taka wyprawa z atrakcjami – zaczyna. – Cały zaplanowany wieczór kawalerski. Ruszamy nieznanym szlakiem, po tropach opuszczonych wsi, domostw i cmentarzy.

– To wiemy – wtrąca sucho Piter.

– Nie przerywaj mu – rzucam. – Mów!

– No i ta firma, która to zorganizowała, wszystko ogarnia, żeby to była niezapomniana wyprawa. Tak jak wam mówiłem, trasy, miejsca postojowe, wieczorne atrakcje, sami widzieliście, ten wczorajszy grill i w ogóle.

– Jeszcze nadażam – komentuję. – W planie były trupy?

– Nie. Było co innego.

– Co?

– Zostałem wtajemniczony w całość, żeby pilnować harmonogramu i regulować emocje, żeby nikt nie spanikował albo za bardzo się nie wystraszył. Musieliśmy zatrzymywać się w określonych miejscach, bo tam były przygotowane punkty z atrakcjami, zdarzeniami.

– Jakimi?! – nie wytrzymuje Piter.

– Na przykład: kiedy poszedłeś do lasu się wysrać i cię przegonił wilk, to było zainscenizowane – wyjaśnia Artur. – Tam był przyczepiony do drzewa głośnik, który odtwarza dźwięk, gdy ktoś podejdzie blisko, działa na czujniki. Moim zadaniem było urządzić postój w wyznaczonych punktach, które zostały przez nich przygotowane. W każdym z nich co innego.

– Nie wierzę – syczy Piter.

– Szepty? – pytam.

– Tak, szepty też – potwierdza ze łzami w oczach Artur. – Gdy wchodziłeś w las po drugiej stronie, to tam znowu jest głośnik z szeptami. Ustawiony był w kilku miejscach, aktywował się każdorazowo, może zdalnie, do końca nie wiem.

– O kurwa. – Piter łapie się za głowę. – Naprawdę nie wierzę.

– Ta akcja w nocy, przy namiotach? – docieka Damian.

– Tak, to też. Był tam człowiek z firmy, ukryty w lesie, najpierw nastraszył Miśka, jak ten poszedł się odlać. Potem, kiedy poszliśmy spać, to zaczął chodzić koło namiotu, następnie puszczał te szepty z głośnika kierunkowego.

– A te postacie chodzące po lesie? – pytam, przypominając sobie widzianą przeze mnie postać dziecka.

– Też. – Artur kiwa głową, powoli się uspokajając, jakby na końcu jego opowieści był punkt ze znalezieniem trupów. – Cały czas szedł równo z nami nasz opiekun, który to wszystko aranżował, wyszkolony człowiek. W tych właśnie punktach miał się pokazać na granicy

widzenia, w nocy dać się zobaczyć jednemu z nas. Znał nasze położenie dzięki temu modułowi GPS, posługiwał się też dronem.

Wszystkie klocki wskakują na swoje miejsca, jeden po drugim.

– Czyli to twoje wpatrywanie się w las... To była ściema? – konkluduję z lekką nadzieją w głosie, że jednak nie, to nie było tak.

– Oczywiście – odpowiada Artur, rozwiewając moje nadzieje. – Miałem to zrobić przy jednym z was i przyznaję, że nieźle się bawiłem. Dużo ćwiczyłem w domu, dostałem cały skrypt naszej rozmowy, odpowiednie reakcje na twoje wszelkie możliwe zachowania. Co mam zrobić, gdybyś mnie szarpnął, co gdybyś wyśmiał i tak dalej. No i co, gdybyś zapytał o szept. Wszystko przewidzieli, robili to tysiąc razy.

– Ale chyba nie wszystko, co nie? – stwierdza gorzko Piter. – Chyba że to jakiś scenariusz premium, żebyś i ty miał zabawę.

Artur po raz kolejny kręci przecząco głową.

– To zaawansowana technologia, panowie – mówi głosem, w którym daje się wyczuć nutkę dumy, jakby sam zaprojektował te wszystkie bajery mające nas wystraszyć. – W tych pakietach, które wam rozdano, są chipy identyfikacyjne, stąd system doskonale wiedział, kto się zbliża do niego, i mógł uruchomić określone efekty.

– Dla mnie były szept, tak? – domyślam się.

– Zgadza się. To uniwersalny efekt, działa na każdego. Piotrek ma lęki przed psami, bo go kundel pogryzł, kiedy miał sześć lat, więc dostawał warczenie wilka, reszta zdarzeń nie była personalizowana.

– A skąd wiedzieli, że Piter boi się psów, co? – atakuje go Damian. – Od ciebie, jak mniemam?

– Tak, wypełniałem ankietę na temat każdego z was i musiałem wskazać wasze słabe strony i lęki. Mogli dopasować efekty do osoby i uruchamiać je właśnie dla niej. Jeśli podeszło się w dwie osoby, to system się blokował.

– Dlatego nie słyszeliśmy już warczenia, gdy weszliśmy do lasu razem z Piterem – domyślam się.

– No tak.

– Ale z ciebie perfidny chujek – komentuje Piter.

– Boisz się psów? – pyta Damian.

– Boi – potwierdza.

– Ta dziewczyna, Oczka? – Piter wskazuje na szopę. – Też podstawiona?

– Tak. Jej pierwszym zadaniem było spotkać się z nami o ustalonej godzinie pod czasownią i dać się zapamiętać, a ja miałem dopilnować, żeby z nami siadła i zrobić zdjęcie na pożegnanie. Była też na fotografiach w opuszczonym domu, co jakiś czas pojawiała się gdzieś w oddali, raz ją nawet widziałem.

– Ja nawet kilka razy – dodaje Damian.

– Otóż to. Na koniec miała nagle pokazać się w schronisku, trochę was przestraszyć, a potem dać show.

– Jakie show? – podchwytuje Piter.

– No striptiz.

– A ten facet? – pytam. – Ten, który z nią tam leży?

– Jej opiekun i ochroniarz, a jednocześnie ten sam, co za nami łąził. Dowiózł ją tutaj quadem, a na przyczepie miał przywieźć pojemniki z żarciem i alkohol. Wieczorem miała być impreza na wieczór kawalerski.

– Dobra, a nawiedzony dom? – draży Piter.

– Wszystko ustawione. Został wyposażony w odpowiednie materiały, żeby napędzić nam stracha.

– Zdjęcia? – pyta Damian. To on robił je wszystkie i czuł się lekko skołowany, podejrzewając, że traci zmysły albo przez alkohol nie pamięta, czy faktycznie robił daną fotkę czy nie.

– Ze zdjęciami to też ustawione, aparat, który dostaliśmy, ma wbudowaną kartę SIM i przesyła zdjęcia w chmurę prosto do firmy. Tam brał je na warsztat grafik i przykładowo usuwał postać dziewczyny czy goprowca. Moim zadaniem było pamiętać o ustawieniu się do zdjęcia i zadbać, aby dziewczyna stała na skraju naszej grupy dokładnie tak, żeby było łatwo ją usunąć. Nie wiedziałem tylko nic o tym goprowcu, może to jakiś nowy element gry?

– Ja pierdolę. – Piter łapie się za głowę. – Powiem szczerze, że zacząłem w to wszystko wierzyć.

– Nie ty jeden – mruczy Damian.

– Akcja z ptakami na cmentarzu? – nie ustępuje Piter.

– Wtedy też działałem według instrukcji. Miałem wyjąć gwóźdź z grobu, unieść go wysoko i wbić w piach. Obserwował nas ten facet i miał pilot, którym nagle wyłączył nagranie ze śpiewem ptaków. Nie zauważyliście, że to było sztuczne? Przecież ptaki tak śpiewają tylko na wiosnę.

– A co ja jestem, jakiś pieprzony ornitolog?! – oburza się Piter. – Ja pierdolę, ale ściema. Teraz już jest jasne, dlaczego nie można o tym nic mówić, po co ten cały nadzór i brak telefonów. Żeby następnym nie psuć zabawy.

– Muszę przyznać, że niezła atrakcja – konstatuje Damian. – Budowanie atmosfery przez dwa dni aż do wielkiego finału. Naprawdę mieliśmy stracha, szczególnie w nocy pod namiotami, porządna rzecz.

– Gdyby nie to – wskazuję na szopę.

– Wiem – zgadza się Artur. – Dostałem przed wyjazdem szczegółowe instrukcje donośnie do każdego przygotowanego punktu. Cała trasa miała potęgować uczucie niepokoju, wprowadzać nas w stan zagrożenia. Mówili, że to przećwiczone z psychologami, że każdy w to uwierzy. Ja miałem pilnować, żeby nikt nie spanikował, nie odnalazł

głośników, a jakby inscenizacja nie działała, to nieco podkreślać atmosferę opowieściami.

– A więc dlatego znalazłeś te wszystkie legendy – domyśla się Damian.

– Miałeś wszystko pięknie rozpisane, że niby taki przygotowany.

– Dokładnie. Finalnie mieliśmy dotrzeć właśnie tutaj, wykąpać się i przebrać. Facet miał nam przygotować grilla, wyżerkę, muzyczkę. A ta dziewczyna zatańczyć, jak to na wieczorze kawalerskim. Ale co tu się mogło stać?

– To zostawimy policji – mówi zdecydowanym tonem Piter. – Koniec zabawy, ewakuujmy się.

– Ale ktoś ich zabił i może wciąż tu być. – Artur zdradza pierwsze oznaki paniki.

– Dobra. – Klaszczę w dłonie, aby zwrócić na siebie uwagę i przejąć inicjatywę. – Panowie, ktoś popsuł zabawę i to w nieciekawy sposób. Koniec pierdolenia, wzywamy pomoc. Tym bardziej że się ściemnia. Wchodzimy do środka, zamykamy drzwi i używamy sygnału alarmowego.

– Zgadzam się – mówi Piter. – Gdzie mamy ten sprzęt do SOS?

– W moim plecaku – rzuca Artur. – Leży na dole.

– Idziemy – zarządzam. – Artur, umyj łapy.

Zerka na swoje zakrwawione dłonie, które cały czas trzyma przed sobą, jakby zaraz miał zacząć się modlić.

– A jeśli ten psychol jest w środku? – pyta.

– Jest nas czterech, serio, nie zaatakują nas – uspokaja nas Piter.

– Ich była dwójka.

– Ale chyba przyłapał ich w dość niedwuznacznej sytuacji – wyrokuje Damian. – Wygląda na to, że się bzykali, ciężko się wtedy bronić. Obydwoje mają gacie na kostkach, ani chybi szybki numerek w robocie.

– W środku jest kuchnia, weźmy jakieś noże czy tasaki, co tam tylko jest – zarządzam. – I czekajmy na pomoc.

Nikogo nie trzeba przekonywać, wszyscy ruszamy do schroniska. Robi się ciemno, a my chcemy być jak najdalej od trupów, wezwać pomoc, a w budynku człowiek zawsze czuje się bezpieczniej. Damian wchodzi ostatni i zamyka drzwi na żelazny rygiel.

– Zamek magnetyczny łapie dopiero po dwudziestej drugiej – przypomina nam Artur.

– Gdzie masz plecak? – rzuca do niego Piter.

– Koło baru. – Artur wskazuje drewnianą ladę przygotowaną do sprzedaży strudzonym turystom wszystkiego, co ich wzmocni na szlaku.

Piter nurkuje za nią i podnosi plecak. Stawia go na najbliższym stole i zaczyna po kolei wyciągać z niego rzeczy. W końcu trafia na pojemnik zawierający pakiet ratunkowy.

– Oby się uruchomił – mamrocze, mając w pamięci wszystkie oglądane horrory, gdy uciekinierom nie odpalały samochody w chwili, gdy morderca stał tuż za nimi.

Piter odblokowuje plastikowy zamek, a my wstrzymujemy oddechy.

– Nie ma – oznajmia w końcu, pokazując otwarty pojemnik.

– Jak nie ma? – zdumiewa się Artur. – Źle szukasz. Pokaż.

Już chce złapać plecak, gdy dostrzega swoje zakrwawione dłonie.

– Sprawdź głębiej – poleca i znika za barem, gdzie znajduje się umywalka z kranem.

Piotrek bez wahania obraca plecak do góry nogami i kilka razy nim potrząsa, ale ze środka nic nie wypada. Jest pusty.

– Nie ma – powtarza.

– Boczne kieszenie? – podsuwa Piter.

– Przetrzepane.

– Ja sprawdzę. – Artur rzuca na stół ścierkę, którą wycierał dłonie, zabiera mu plecak i zaczyna przetrząsać wszystkie kieszenie, wyjmując nawet ochronny pokrowiec przeciwdeszczowy, wbudowany w spód plecaka, ale telefonu nie ma.

– Zgubiłeś? – pyta go Damian.

– Nie wyjmowałem go przecież, po cholere?

– Wyjmowałeś na pierwszym popasie – oznajmia Damian. – Pamiętasz, sięgałeś po GPS, był w tym samym pojemniku.

– Zauważylibyśmy chyba, gdyby wypadł, co nie? – odpowiada Artur.

– Może jest w naszych pakietach? – sugeruję.

– Niby skąd? – dziwi się Piter.

– A otwieraliście je w ogóle? – upewniam się. – Bo ja na przykład swój otworzyłem raz, aby znaleźć kod do tych pojemników z żarciem przed wczorajszą imprezą. Sprawdźmy.

Ruszamy na górę, wszyscy oprócz Artura, który po raz kolejny sprawdza zawartość swojego plecaka.

– Na górze jest moja kosmetyczka i worek z brudnymi ciuchami, zobaczcie tam – krzyczy za nami.

W pokoju każdy z nas zabiera się do przeszukiwania swojego plecaka, ale żaden nie krzyczy z ulgą „mam!”. Przeglądam jeszcze zawartość kosmetyczki Artura i worek na brudy, ale również bez efektu.

– Może wpadł pod łóżko albo coś – mówię, doskonale zdając sobie sprawę, że to raczej płonne nadzieje.

Faktycznie, nurkujemy pod łóżka, Damian sprawdza nawet prysznic i kibel, bez efektu.

Schodzimy na dół, Artur dalej grzebie w rzeczach, coraz bardziej nerwowo.

– No to dupa – podsumowuje Piter, siadając na barze. – Nie mamy jak wezwać pomocy.

– Nie ma tu jakiegoś telefonu? – Rozglądam się dookoła.

– No skąd – parska Piter. – W tych czasach nikt nie ciągnie kabli, masz komórkę i już. Ciekawi mnie, co się stało z naszym telefonem ratunkowym. Jeśli go zgubiliśmy, to nie ma się co martwić.

– Według mnie to jednak jest powód do zmartwienia – zauważam.

– Nie rozumiesz – kontruje. – Jeśli telefon po prostu wypadł na pierwszym popasie, to był przypadek i możemy być spokojni. Jednak musimy rozpatrzeć drugą wersję: ktoś nam go zabrał w trakcie wycieczki lub dopiero teraz. Oznacza to, ni mniej, ni więcej, że ktoś na nas poluje od kilku dni, zapędził nas tutaj celowo i zamierza wykończyć. Może ten tajemniczy pracownik, który za nami łąził po lesie? Artur, jesteś pewien, że to miał być ten sam gość, który przywiózł tu striptizerkę?

– Nie wiem, tak mi się wydawało, kiedy to opisywali.

– Nie sądzę – wtrąca się Damian. – Ostatnie miejsce, gdzie nas straszyl, to był cmentarz, jakieś dwie godziny drogi stąd, czyli około ośmiu kilometrów według GPS. Musiałby tam mieć jakiś transport do bazy, skąd zgarnia dziewczynę i przyjeżdża do schroniska jeszcze przed nami, bo nie słyszeliśmy żadnego quada. To dość głośne pojazdy.

– Czyli Oczkę mógł przywieźć ktoś inny, a tamten... – Piter nie kończy, ale nie musi, wiemy, co chciał powiedzieć.

– Tak, to ma sens – zgadza się z nim Damian.

– Załóżmy, że ktoś sprzątnął telefon z plecaka przed chwilą, gdy my ucinaliśmy sobie słodką drzemkę na górze – dywaguje Piter. – Ten ktoś wiedział, że mamy taki telefon, gdzie go trzymamy i że bez niego nie wezwiemy pomocy. W tym wypadku widzę tylko dwie możliwości: to któryś z nas albo ktoś z tej firmy.

– Artur, to nie jest kontynuacja gry? – pytam.

– Sam widziałeś trupy – odpowiada sucho.

– Nie takie rzeczy da się ucharakteryzować – oznajmia Damian.

– Sprawdziłem tętno dziewczyny. Stąd ta krew na moich rękach. Ona nie żyje!

– To żaden z nas, bądźmy poważni – mówi Damian. – Co prawda, Artur mógł sam ich zabić, wyjechać telefon i odegrać ten cały teatrzyk, ale po co miałyby to robić? No i pamiętam, jak jego mama kiedyś poprosiła mnie, żebym zabił im karpia na Wigilię, bo żaden z męskiej linii rodu nie był w stanie tego dokonać. – Patrzy na Artura spod zmrużonych powiek. – O ile faktycznie mógłby w afekcie dać im po łbie, o tyle tam działał ktoś, kto nie boi się rozlewu krwi.

– Jeśli to ktoś z firmy, to wie o nas wszystko – stwierdza Artur. – Gdzie trzymaliście telefon i że nie mamy żadnego koła ratunkowego. Tylko po co miałyby to robić?

– Niektórym psychopatom nie jest potrzebna szczególna motywacja – stwierdza Piter.

– Ja to widzę inaczej – mówi spokojnie Damian.

Wszyscy milkniemy i spoglądamy na niego. Taki komputerowy nerd, a proszę, najspokojniejszy z całej ekipy.

– Mów – polecam.

– Ta zabita dziewczyna, Oczka, najwidoczniej miała romans ze swoim ochroniarzem. Leżą tam rozebrani, spodnie spuszczone do kostek, ewidentnie było ruchane. Może specjalnie przyjechali tu wcześniej, żeby sobie trochę poswawolić, ale wpadli w pułapkę zastawioną przez jej męża, a może kochanka? Zazdrość to potężne uczucie, motyw wielu zbrodni.

– Ale czego ten gość chce od nas? – pyta Artur.

– Może niczego – rozważa dalej Damian. – Przecież nas nie zaatakował. Nic nam nie jest. Spaliśmy, mógł wejść i nas zabić po kolei, nawet byśmy się nie zorientowali. Wiedział, że coś między nimi jest, wyczekał, zarębał, emocje opadły, dał upust swojej złości i uciekł.

– A telefon? – przypomina Piter.

– Może faktycznie go zgubiliśmy? Albo po prostu pozbył się go, abyśmy nie wezwali pomocy, co pozwoli mu na ucieczkę. Nikt z nas go nie widział i on o tym wie, nie będziemy żadnymi cennymi świadkami. Jeśli zna ten teren, to może przez nikogo niezauważony pójść w dowolną stronę. Potrzebował tylko trochę czasu.

– Brzmi logicznie – przyznaję. – Ale co w związku z tym? Będziemy tu siedzieć do rana po ciemku i czekać na ratunek?

– Możemy spróbować wezwać pomoc – proponuje Piter.

– Jak? Krzykiem? – prycha Artur.

– Telefonem – odpowiada spokojnie Piotr. – Nie wierzę, że ta cała Oczka i jej ochroniarz nie mieli swoich smartfonów. W dodatku mamy quada, przecież przyjechali nim tutaj, możemy uruchomić maszynę i wrócić do bazy. Zmieścimy się, są dwa miejsca i przyczepka.

– Znasz drogę? – pytam.

– Nie znam. – Krzywi się. – Pojedziemy za jakąś drogą, prędzej czy później trafimy na wieś albo szosę. Musimy najpierw sprawdzić, czy mają swoje telefony, a potem ogarnąć kluczyki do quada.

– Ja nie pójdę grzebać przy zwłokach – zastrzega twardo Artur. – Nie ma szans.

– Damian? – pyta Piter. – Damy radę? Sam nie pójdę, bo jeśli ten psychol faktycznie na nas poluje, to samotny cel jest tym, na co czeka.

– Jasne, pójdę. Ale wolałbym stać na straży, a nie przeszukiwać im kieszenie.

– Same miękiszony – kwituje z westchnieniem Piter. – Misiek?

– Pójdę – zgadzam się. – Wyrzygałem już chyba wszystko, co miałem w żołądku. W sumie powinniśmy pójść we czterech.

– Nie – rzuca Artur, blady jak kreda.

– Główny winowajca, a najbardziej sra po gaciach – komentuje Piter.

– Daj mu spokój, chciał dobrze, w sumie niezła atrakcja. – Czuję, że powinienem stanąć w obronie przyjaciela.

– Dobra, bez nerwów, tylko spokój nas może uratować – orzeka Damian. – Moja propozycja jest taka, że idziemy we trzech, Artur zostaje i przetrząśnie jeszcze raz rzeczy, może ten telefon jednak gdzieś się zapodział. Zamknij drzwi od środka i dopiero jak zobaczysz nas w oknie, to otwierasz. Myślę, że typ nie zaatakuje naszej trójki.

Artur z ulgą wypuszcza powietrze i wchodzi za bar. Wyjmuje z lodówki butelkę z wódką, pewnie z zapasów przygotowanych na dzisiejszy wieczór. Odkręca ją i spogląda na nas pytająco. Kiwam głową. Kiedy bardziej należy się człowiekowi kieliszek wódki niż tuż po znalezieniu dwóch trupów i odkryciu, że ewentualny morderca wciąż czai się lesie?

Ustawia na barze cztery kieliszki, napęlnia je po same brzegi, aż na powierzchni płynu tworzą się meniski, jednak nie wychodzi mu to tak sprawnie; ręce lekko drżą, uronił kilka kropli, każdy kieliszek pozostawia ślad na blacie.

– Strzemiennego – zarządza Piter i wypijamy po kielichu.

Wódka jest zimna i gorzka, czyli dokładnie taka, jaka powinna być. Otrzeźwia i rozjaśnia umysł.

– Weźcie latarki czołówki – instruuje nas Artur. – Już zapadł zmrok. Zabierzcie też po nożu.

Zakładamy latarki na głowy, bierzemy dwa największe noże kuchenne, jakie udało się namierzyć w kuchni i tasak.

– Zaraz wracamy – rzuca na odchodne Damian, odsuwając rygiel.

– Wiesz, że kto tak mówi, ten już nie wraca? – opieprzam go. – Stara zasada horrorów.

– Bzdury – mówi z uśmiechem.

A jednak zasady są po to, aby ich przestrzegać.

29. Szpital

Znowu ten sam doktor, ten grzeczny, ładny, mądry i poukładany. Grzyweczka na prawą stronę, tak milutko, jakby szedł na pierwszy obiad do teściów. O nie, ja się nie dam nabrać, to szkolona bestia i ja to wiem. Dużo się wie, gdy przeżyło się rzeźnię.

– Robicie to specjalnie, co nie? – Wskazuję okno po prawej stronie sali. – Chcecie mnie zdenerwować, zaburzyć mój spokój.

– Panie Michale, proszę podejść do okna i sprawdzić, czy jest zamknięte – mówi na to lekarz.

A pewnie, że sprawdzę. Wstaję i zerkam za siebie, pamiętam, że stoi tam pielęgniarka, i nie myślę się. Podchodzę do parapetu, delikatnie łapię za klamkę, szarpnię. Twardo trzyma. To dobrze. Spoglądam przez okno na przyszpitalny park, pacjentów siedzących na ławkach i leniwie snujących się po zalanych słońcem alejkach. Śmierci ani widu, ani słyhu.

Spokojniejszy wracam na swoje krzesło.

– Czuje się pan bezpiecznie? – pyta lekarz.

Wzruszam ramionami.

– Wtedy też czułem się bezpiecznie – odpowiadam. – Oczywiście do czasu.

– Do momentu śmierci dziewczyny?

– Tak i nie, nie i tak. Pan widział trupa pewnie nieraz, ale taki zwykły szary człowiek jak ja nie widuje ich na co dzień. Nie wiadomo, jak się zareaguje. Takie zdarzenie panu opowiem: byłem kiedyś w kościele i obok mnie padła na posadzkę dziewczyna, zemdląca, a tu tłum ludzi. Myśli pan, że wszyscy rzucili się do pomocy? O nie, ze dwie osoby, reszta stała jak zaklęta, w tym ja, przyznaję ze wstydem, w tym

ja stałem i nic nie robiłem, bo to są takie właśnie sytuacje, że nie wiemy, jak się zachowamy, dopóki się nie przydarzą.

Kończę zdanie i łapię powietrze; wypowiedziałem je niemal na bezdechu, bo przed oczami miałem obraz nie tej dziewczyny w kościele, ale Oczkę leżącą w zakrwawionym welonie z własnych włosów.

– Rozumiem. Czy wszystkich ta sytuacja przeraziła?

– O tak.

Staram się przypomnieć sobie ten moment, ale jakby ktoś usiadł na moich wspomnieniach, jak na wczorajszej gazecie, i spod jego tłustej dupy wystają tylko brzegi stron.

– Bezpiecznie przestałem się czuć nie wtedy, gdy znaleźliśmy jej zwłoki – mówię spokojnie, pilnując się, aby znowu nie wpaść w słowotok.

– A kiedy?

– Gdy nie udało nam się wezwać pomocy. Wtedy wszystko runęło i zrozumiałem, że to nie jest zabawa. Jeszcze potem myślałem przez chwilę, że to taka ekstremalna rozrywka, że jednak to część gry. Ale tylko przez chwilę.

– Kto zginął następny? – pyta lekarz i mocniej ścisną swój notatnik.

Zastanawiam się, co to za terapia, polegająca na tym, że wszystko ze mnie wyciągają? Szokowa? Nie powinni raczej mnie uspokajać, czekać, aż mój umysł poskłada się w jaką taką całość i dopiero wtedy spróbować odtworzyć te wydarzenia?

Wiem, kto zginął następny. Nie tyle pamiętam, co wiem, jak odruch.

– Ależ on krzyczał – odpowiadam. – Dorosły facet, a darł się tak przeraźliwie, tak długo, tak strasznie, a wszystko wsiąkało w las, całe jego przerażenie.

Spoglądam w stronę okna i cieszę się, że je sprawdziłem.

– Przedśmiertny skowyt – mówię w końcu. – Tak, to było właśnie to.

– Ale kto to był, który z przyjaciół?

– Gdyby pan wiedział, jak on przeraźliwie krzyczał...

Słyszę to, nie tyle widzę, co słyszę. Jak ustawiona w głowie melodia budzika, ostra i natarczywa, odzywa się wtedy, kiedy mają się obudzić wspomnienia.

30. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 20.30

Schronisko Karkut

Wychodzimy przed schronisko w dość ciepłą i cichą noc. Jak na komendę zatrzymujemy się na chwilę i wsłuchujemy w beskidzki las, już nie taki straszny, pozbawiony szeptów, warknięć, tajemniczych postaci, jedynie ptaki nie śpiewają.

– To normalne, że nie słyhać ptaków? – pytam, mocniej ściskając nóż.

– Tak – odpowiada Piter. – Najmocniej drą ryje o świcie i w dzień, w nocy tylko na wiosnę słowiki dają o sobie znać.

– Myślicie, że on tam jest? – odzywam się ponownie.

– Nie – rzuca z niezachwianą pewnością w głosie Damian. – Mówię wam, gość zrobił, co miał zrobić, i tyle go widzieli. Chodźcie.

Przeszliśmy na tył schroniska, budynek gospodarczy tonął w mroku, jedynym światłem było to rzucane przez cienki księżyc.

– Musi tu być jakieś oświetlenie zewnętrzne – stwierdza Damian. – Ale pewnie odpala się z garażu albo schroniska.

– Wchodzimy do środka? – proponuję. – Włącznik powinien być pod ręką.

– Nie wszyscy – zastrzega Piter. – Ja bym jednego z nas zostawił na zewnątrz, żeby mimo wszystko czuwał nad naszymi tyłami, jeszcze typ nas tu zamknie od zewnątrz. Dwóch wystarczy do przeszukiwania. Ja tam mogę przy trupach grzebać.

– Dobra, ja też – oznajmiam.

Nie jestem, bynajmniej, na to gotowy i boję się, że puszcę pawia w środku, ale to ja pośrednio przyczyniłem się do tej afery i chcę mimo wszystko wziąć na swoje barki te najgorsze rzeczy, które nas czekają.

– Okej, ja zostanę – zgadza się Damian. – Ale stanę w drzwiach, co? Chciałbym was mimo wszystko słyszeć.

– Brzmi jak plan – podsumowuje nasze ustalenia Piter. – Wbijamy.

Otwiera drzwi i wchodzi do garażu, snop światła z latarki omiata wnętrze, a ja, idąc za nim, widzę, jak zimne światło przesuwają się po bladych ciałach, które nie zmieniły swojego położenia od naszej poprzedniej wizyty. To akurat jest dobra wiadomość, nieruchome trupy są akceptowalne. Gdyby zniknęły, albo leżały w innym miejscu, chyba od razu postradałbym zmysły, a tak to naszą sytuację mogę określić jednym wyrażeniem: chujowo, ale stabilnie.

– Wszystko po staremu – stwierdza z ulgą Piter. – Jest i jakiś kontakt. – Podchodzi do ściany i wciska czarny, plastikowy przełącznik.

Niestety, pomieszczenia nie zalewa ciepłe światło, zapala się jedynie samotna żarówka po drugiej stronie garażu, tuż nad quadem. Robi się tylko nieco jaśniej.

– Dobra, idź sprawdź, czy w quadzie nie ma może kluczyków – poleca mi. – Ja się zabiorę do przeszukiwania ciał.

Ruszam w głąb garażu, patrząc pod nogi, czy przypadkiem nie wleżę w jakąś kałużę krwi, ale ta już chyba dawno zastygła przy ciałach. Nie wiem, jak długo krzepnie krew po zaszlachtowaniu człowieka, ale ta już chyba nie nadaje się do transfuzji.

– Wszystko w porządku, panowie? – dobiega zza drzwi głos Damiana.

– Tak. Gra i buczy – odpowiada mu Piter.

Pochodzę do quada, odnajduję stacyjkę, ale kluczy w niej nie ma. Odnoszę wrażenie, że ten pojazd jest jakiś dziwny, jeździłem już na jednej imprezie firmowej na takiej maszynie, ale w tym coś mi nie

pasuje. Ano tak, nie widzę zbiornika paliwa, nie czuć smarów i oparów benzyny. To jest model elektryczny. Cichy, mógł więc podjechać pod schronisko naprawdę niezauważony.

– Nie ma nic – informuję kumpla. – To elektryk, nawet podpięty pod stację ładowania – dodaję, śledząc wzrokiem zielony kabel łączący maszynę ze skrzynką na ścianie garażu.

– To chodź, pomożesz mi z tym gościem. Leży na brzuchu i chyba już sztywnieje. Musimy go przewrócić na plecy, żeby dostać się do przewieszanej z przodu nerki. Jeśli coś schował, to właśnie tam, kieszenie mu przetrzepałem i pusto.

Przechodzę przez garaż, rozglądając się dookoła, ale nie dostrzegam nic ciekawego, co mogłoby się okazać wybawieniem w naszej sytuacji. Grabie, łopata, jakieś linki, plastikowe bańki, piła spalinowa, kosiarka, bańka z benzyną, ot typowy garaż. Czuję ukłucie niepokoju na widok owej piły, pamiętam film, gdy jeden maniak ganiał z taką ludzi.

Podchodzę do trupa. No dobra, teraz gorsza część tej wycieczki, ta, której najbardziej się obawiałem. Omiatam zwłoki światłem latarki, szukając jakiegoś miejsca, żeby nie wdepnąć w zakrzepłą krew. Wiadomo, próbujemy się uratować, ale z seriali kryminalnych wiem, że takie ślady są na wagę złota. Dobra, nie będę przed wami udawał, miałem w dupie policję, ale właśnie wyobraziłem sobie, jak staję na zakrzepłej krwi, po czym ślizgam się i padam twarzą w blade pośladki trupa. Zbiera mi się na wymioty, zamykam oczy i liczę do trzech. Okej, Misiek, weź się w garść.

Spoglądam ponownie na trupa, ustawiam się w miarę bezpiecznie z nadzieją, że nie wyląduję na nim za chwilę. Mężczyzna leży na brzuchu, dłonie ma schowane pod siebie, chyba trzymał się za szyję, gdy umierał. Jakie to uczucie, gdy zdajesz sobie sprawę, że z twojego rozplatanego gardła chlusta krew, za chwilę umrzesz, a mózg każe instynktownie i beznadziejnie walczyć o życie? Chwytasz gardło,

czujesz pod palcami wielką dziurę, gorącą krew przepływającą ci przez palce, ależ to życie spierdala, co nie?

Piter odkłada nóż, ja robię to samo. Kuca i chwyta trupa za ramię, po czym kiwa na mnie, żebym zrobił to samo. Żołądek podchodzi mi do gardła, czuję gorzki smak wypitej przed chwilą wódki.

– Kawał gościa, nie ma co – mówię, starając się nie rzygnąć na trupa.

– Ciężki bydlak – zgadza się Piter. – Zesztywniał już. Stężenie pośmiertne łapie zazwyczaj dwie godziny po zgonie, chyba że ktoś był w trakcie intensywnego wysiłku fizycznego, to wtedy szybciej.

– No ten się wysilał. – Wskazuję głową dziewczynę.

– Racja.

Łapiemy go razem, podnosimy, ciało odkleja się od posadzki z nieprzyjemnym mlaśnięciem i przewracamy je na plecy. Nasuwa mi się skojarzenie z plastrem mięsa w galarecie, wyciąganym z weselnego półmiska.

Kurwa, wiedziałem, żeby nie patrzeć mu w oczy, tak jak nie patrzy się w dół, przechodząc nad przepaścią. Wybałuszone ślepia, otwarte usta, czerwone zęby, dłonie przy szyi, szerokie rozcięcie, z którego coś wystaje, nawet nie chcę wiedzieć, co to jest, a całość pieczołowicie oblepiona czerwoną galaretą jego własnej krwi, która uciekała z jego ciała szybko, jak najszybciej, byle tylko zdążyć zabrać ze sobą życie.

Jucha.

Tak, to słowo przypomina mi się, gdy patrzę na tę pośmiertną maskę.

– Dasz radę? – pyta łagodnie Piter, a światło jego latarki świeci mi prosto w twarz.

– Tak.

Zabiera się za nerkę. Palce ślizgają mu się, bo torebka jest też cała we krwi, jednak po chwili łapie za uchwyt suwaka i aż krzyczy

z radości.

– Co za franca!

Muszę na chwilę odwrócić wzrok, bo wszystko znowu podchodzi mi do gardła.

– Jednak nie dam rady – oznajmiam i ruszam w stronę drzwi. – Zaraz wracam.

– Nie musisz, dokończę – uspokaja mnie, grzebiąc w nerce.

Skupiam wzrok na granatowym prostokącie drzwi, oknie do wolności, świeżego powietrza, miejsca wolnego od trupów. Takiego jak się właśnie okazało, jak lubię najbardziej. Jedni wolą góry, inni morze, a ja wszystkie miejsca, w których nie ma świeżych trupów.

Na trzy kroki przed tym, jak mam przekroczyć próg garażu, drzwi z hukiem walą o framugę, z mocą, która jasno wskazuje, że nie zamknęły się ot tak po prostu, ale ktoś miał w tym cel, aby z impetem zatrzęsnąć mi je przed nosem.

– Damian? – wyrywa mi się od razu, a mdłości przechodzą jak ręką odjął.

Zza drzwi słyszę krzyk. Jeden, krótki, urwany, a potem łupnięcie o ścianę. Mocne. Nie było to uderzenie pięścią czy kopnięcie, ale solidne walnięcie, jakby ktoś cisnął o budynek czymś dużym i ciężkim, człowiekiem na przykład.

Odwracam się raptownie w stronę Pitera, ten już stoi na baczność, trzyma w dłoni nóż. Ja swój zostawiłem obok trupa. Światło mojej latarki wyławia z półmroku jego zdziwioną twarz. A może to strach? Jak odróżnić jedno od drugiego?

– Co jest, k...?

Nie udaje mu się dokończyć, bo przerywa mu krzyk dochodzący z zewnątrz.

– Pomooocy!!! – wrzeszczy Damian. Tak, to na pewno on, bez dwóch zdań. – Pomooocy!!!

Kolejne łupnięcie o ścianę, nieco dalej, w stronę drzwi garażowych.

Piter rusza w stronę wyjścia, a ja stoję jak zamurowany. Dopiero gdy przebiega obok mnie, czuję, że nogi wracają pod moje władanie i z powrotem chcą słuchać gościa, którego noszą przez całe życie.

Słyszemy kolejne uderzenie, metaliczne, coś huknęło o drzwi garażowe. Piter zatrzymuje się na chwilę z dłonią nad klamką, ale tylko na sekundę, to był dosłownie cień wahania. W końcu jego lewa ręka opada na klamkę i otwiera drzwi, po czym wychodzi z garażu, a ja za nim. Nie mam przy sobie noża. Czy umiałbym go w ogóle użyć? Wątpliwe.

Na zewnątrz panuje ciemność, to oczywiste, dlatego bardzo wyraźnie dostrzegamy snop światła niknący w krzakach za garażem. Jeszcze zauważam but Damiana, dosłownie przez sekundę, zanim wciągnął go las, wessał niczym ostatnią nitkę makaronu z talerza.

Światło latarki ślizga się jeszcze po koronach drzew i dolatuje do nas krzyk przyjaciela. Nie, to nie jest krzyk, ani nawet wrzask, tylko kwik. Cierpienie, przerażenie i śmierć zmieszane w jednym naczyniu i zamienione w dźwięk. Kwik zarzynanego człowieka. Wyrzucone z gardła, wręcz wyrzygane wszystkie niespełnione marzenia, plany na jutro i na kolejny rok, pragnienia, wizje starości, niespłodzone dzieci, niezjedzone posiłki, niespędzone wakacje, radości, satysfakcje, wyplute w ciągu kilku sekund jednym dźwiękiem ze świadomością, że właśnie znikają w bólu. To wszystko znika w głębi lasu, a jego ostatnią drogę znaczy coraz rzadziej przebijające się przez listowie światło latarki, chaotyczne, skaczące jak szalone.

Aż w końcu gaśnie i spada na nas ciemność.

Piter rzuca się w stronę lasu z nożem w ręku, ja odruchowo za nim. Wbiegamy w pierwszą linię drzew, odważnie, niczym szarżująca armia pogodzona z faktem, że nie wszyscy przeżyją starcie, ale las przed

nami jest już bardzo beskidzki, cichy, ciemny, pachnący. Zatrzymujemy się nagle, spoglądamy po sobie, oślepiając się nawzajem latarkami.

– Damian?! – krzyczę w stronę zielonej ciemności.

Cisza. Żadnych odgłosów, wołania o pomoc, czy nawet kwiku. Jakby tutaj nigdy nic się nie wydarzyło. Dociera do mnie, że ta cisza nie zwiastuje niczego dobrego, przecież gdyby ten szalenciec wciągał Damiana głębiej w las, tobyśmy słyszeli kroki, szelest liści, przedzieranie się przez gęstwiny.

On tu jest. Stoi w ciemności, sapie ciężko po krótkiej walce, trzyma wielki nóż, którym wcześniej poderżnął gardła dziewczynie i jej ochroniarzowi, oblizuje palce z krwi. Lubi to, musi kochać juchę, może nawet przesuwiał mokrym językiem po ostrzu tuż po morderstwie, zlizując łapczywie krew ofiar, mrucał z rozkoszy jak kot, wreszcie syty, zadowolony, spełniony. Widzę go wszędzie, choć nigdzie go nie widać.

– Wracamy – zarządza Piter, jakby czytał mi w myślach, wyczuwał mój strach.

Nie zamierzam dyskutować. Wychodzimy z gąszcza drzew, pośpiesznie, może nawet zbyt nerwowo. Po naszym przyjacielu nie ma ani śladu.

Nie, jednak jest, skłamałem. Na drzwiach garażu, obok których niewątpliwie przeciągnął go morderca, zostały odcisnięte krwawe palce. Bez zdejmowania odcisków jestem pewien, że to ręka Damiana próbowała uchwycić się życia. Nie udało się jej, o czym świadczą smugi skierowane w stronę lasu.

Spoglądamy na siebie, latarki rzucają plamy światła na nasze klatki piersiowe, pośpiesznie unoszące się z misją dotlenienia organizmów przepełnionych strachem, niedowierzaniem i... brakiem nadziei?

– Do schroniska! – zarządza Piter i rusza od razu w stronę budynku; nóż trzyma wyciągnięty przed siebie i biegnie, sadząc długie

kroki, ja grzecznie za nim. Facet wie, co robi, spierdala, bo to jedyne wyjście z sytuacji.

W drzwiach czeka już na nas Artur, jeszcze bardziej blady, chociaż wydawało się to niemożliwe. W ręce trzyma pogrzebacz, który musiał zabrać sprzed kominka.

– Słyszałem krzyk – chrypi i głośno przetyka ślinę.

Piter nic nie odpowiada, wpycha go do środka, a gdy widzi, że i ja już tam jestem, beż żadnych ceregieli zaryglowuje drzwi.

– Co się stało? – pyta Artur.

– Damian – odpowiadam. – Zajebał Damiana.

– Kto?

– Nie wiem, kurwa.

– Facet nie odpuścił, jest tutaj – oznajmia Piter. – Jesteś pewny, że tylne drzwi są zamknięte?

– Tak. – Artur kiwa głową. – Okna też, zamknąłem wszystkie.

– To dobrze. – Piter podchodzi po kolei do okien w jadalni i zasłania wszystkie, rozwiązując tasiemki przytrzymujące zgrabnie ułożone kotary. – Musimy tu poczekać na jakąś pomoc. Nie ma wyjścia.

– Ale co tam się stało? – pyta Artur, ściskając kurczowo pogrzebacz, jakby chciał z niego wycisnąć soki.

– Weszliśmy we dwóch do środka, Damian stał na czatach – zaczynam. – Przeszukiwaliśmy zwłoki, gdy nagle coś łupnęło, Damian zaczął krzyczeć, a potem zniknął w lesie. Gdy wybiegliśmy przed garaż, już go nie było.

– Nie ratowaliście go? – dziwi się.

– Wbiegliśmy do lasu, ale nic, cisza – odpieram.

– Może chodźmy go poszukać – proponuje Artur, ale w jego głosie nie słyhać nawet cienia odwagi, raczej wstyd, że tego nie zrobimy, że nie wejdziemy we trzech w ciemny, beskidzki las, nie zaczniemy polować na mordercę, nie uratujemy przyjaciela.

– Na to już za późno – oznajmia Piter. – Gość go zabił.

– Skąd wiesz?

Piotr spogląda na przyjaciela poważnie, tak poważnie, że Artur się wzdryga. Odkłada pogrzebacz, rusza w stronę baru, drżącą ręką wyjmując butelkę wódki, tę samą, którą napoczęliśmy przed wyjściem do garażu. Nalewa do czterech kieliszków i dopiero po chwili się orientuje, że przecież jest nas trzech, na jego twarz wypływa wyraz zakłopotania.

Podchodzę do baru, ujmuję w dłoń swój kieliszek.

– Nie wiem, jakie toasty się wznosi w takiej sytuacji – stwierdzam.
– Lu!

Wypijam. Artur zaraz za mną. Piter podchodzi powoli do baru, bierze swój kieliszek i też wypija. W jego oczach błyszczą łzy.

– Chyba panikuję – mówi spokojnie, bez emocji, jakby oznajmiał kelnerce, że jednak woli frytki od ziemniaków. – Całe życie miałem się za twardziela, ale teraz mam pustkę w głowie.

– Spokojnie, pomyślmy na spokojnie. – Kładę mu rękę na ramieniu.

– Znaleźliście kluczyki do tego quada? – pyta Artur. – Albo telefon?

– Nie – Piter kręci głową. – Nic, nasz rzeźnik wszystko zabrał. Nerka ochroniarza była pusta, w środku nie było niczego konkretnego.

– Cudownie – wzdycham. – Odpada wersja o zazdrosnym mężu.

– Niekoniecznie – zauważa Piter. – Gość może podejrzewać, że jednak coś widzieliśmy, i nie zostawi świadków. Jest bezwzględny, raczej umie walczyć, bo poradził sobie z Damianem, a ten nie był ułomkiem. Jedno jest pewne: nie odważy się zaatakować nas we trzech, dlatego już się nie rozdzielamy.

– Tam się odważył – rzuca Artur.

– Rozdzieliliśmy się – kontruje Piter. – Niepotrzebnie.

– Nigdzie nie wychodzimy – oznajmiam. – Żadnych akcji wypadowych, poszukiwawczych i bohaterskich czynów.

– Posiedzimy tu do rana – postanawia twardym głosem Piter. – W dzień nie da rady się do nas zakraść, możemy zorganizować ucieczkę. Zresztą, jeśli nie damy znaku życia, ta nasza firma powinna się zainteresować, co nie?

– Raczej tak – potwierdza Artur. – Koło południa miał po nas przyjechać transport, tak było ustalone.

– Czyli siedzimy tu do południa, nie ma sensu uciekać – zarządza Piter. – Barykadujemy się i czekamy. Drzwi i okna pozamykane, nie wejdzie tu po cichu. Jeśli będzie chciał się do nas dostać, musi wybić szybę albo wyłamać okno. Jeszcze raz musimy sprawdzić, czy wszystko jest faktycznie pozamykane na cztery spusty – dodaje, widząc przerażenie w naszych oczach. – Spokojnie, panowie. To nie amerykański film, nie będzie nas ganiał po domu powolnym krokiem i mordował pojedynczo. Musimy się uspokoić, wiem, to idiotyczne zaraz po tym, co stało się z Damianem i tą dwójką. Ale musimy.

– Zgadzam się. – Potakuję skinieniem głowy. – Panika jest złym doradcą.

– Proponuję jeszcze po kielichu i basta – mówi Artur. – Na wszelki wypadek lepiej zachować czysty umysł.

Napełnił trzy kieliszki, ten Damiana cały czas stoi na barze jak jakiś pieprzony wyrzut sumienia, ale nikt nie odważa się go tknąć.

– Dotrwać do południa – szepcze, wypijając swój kieliszek. – Prosta sprawa.

No cóż, nic nie jest proste, jeśli twój los nie zależy od ciebie samego. Nic. Absolutnie, kurwa, nic.

31. Szpital

Możecie się ze mnie śmiać, pozwalam, nie obrażę się, ale z tym oknem to nie mogę wytrzymać. Oni ogólnie mają mnie w dupie i nie dbają o moje bezpieczeństwo. Okno powinno zostać zamknięte na dobre, ale przydałaby się kratka. Tak trudno zamontować jedną solidną kratę? No szanujmy się!

– Damian został zamordowany jako pierwszy – zaczyna lekarz, nie patrząc na mnie. Wodząc wzrokiem po tym skórzanym notesie.

– Wcześniej była dziewczyna – poprawiam. – No i jej ochroniarz łamane na kochanek, kiepsko pan notuje.

– Chodziło mi o pierwszego z waszej czwórki.

– Tak, to Damian był pierwszy.

Rzucam okiem w stronę okna i zaczynam nerwowo ruszać nogą.

– Porozmawiajmy o drugiej ofercie.

– A o czym tu gadać?

– Chciałbym od pana usłyszeć, do czego tam doszło.

Jak by to opisać temu zacnemu, grzecznemu i tak pięknie uczesanemu człowiekowi?

– Pewnie po naszej sesji wsiądzie pan do nowego mercedesa, pojedzie do domu i przytuli swoje dzieci, wyrucha śliczną żonę. Potem skosi idealny trawnik, zje przepyszny obiad, pójdzie na lśniąca nowością siłownię, wypije jakiś białkowy koktajl, a wieczorem uraczy swoje kubki smakowe kieliszkiem nieprzyzwoicie drogiego wina.

Lekarz porusza się niespokojnie na krześle, czyli trafiłem. No tak, znam się na ludziach, może kiedyś tak nie było, ale po ostatnich wydarzeniach, to poznałem wielu ludzi dogłębnie, że użyję takiego niefortunnego wyrażenia.

– Robi pan same miłe, czyste, grzeczne rzeczy – mówię. – Jak mam panu opowiedzieć o tych wszystkich paskudnych, odrażających, brutalnych, skąpanych w krwi, flakach i cierpieniu wydarzeniach, żeby pan zrozumiał? Jak mam opowiedzieć o tym, co przydarzyło się moim przyjaciółom? Jak mam oddać ten krzyk zdychającego człowieka, kogoś bliskiego mojemu sercu? Tak, zdychającego, bo umiera to się ze starości w swoim łóżku, a zdycha właśnie z rozprutym bebechem. No jak?

– Proszę spróbować. – Lekarz nie ustępuje.

Zamykam oczy, odchylam głowę, próbuję ułożyć jakoś wszystko pod kopułą, ale nie mogę. Ilekroć moje myśli ustawiają się w jakimś chociaż pozornym szyku, niczym usłuchane dzieci na wycieczce szkolnej, to znów rzucam okiem na okno i wszystkie w panice się rozbiegają i chowają po kątach, za drzewami czy krzakami. Głupie! Drzewa nie dają schronienia.

– Mogę? – Wskazuję głową w stronę okna.

– Chce pan sprawdzić, czy jest dobrze zamknięte? – pyta ten głupek.

– Tak.

– Proszę.

Wstaję i podchodzę spokojnie do parapetu, łapię za klamkę i szarpię, ale ta ani drgnie. Uczucie ulgi spływa na mnie niczym ten przyjemny dreszcz po wypiciu pierwszego kieliszka wódki. Ale nie zostaje, cofa się.

A co, jeśli pęknie szyba? Przecież wystarczy mocniej uderzyć i wszystkie zamknięcia na nic!

– Przydałaby się kratka – mówię.

– To mocne okno – odpowiada lekarz.

No cóż, sprawdzimy, czy pan grzeczny dupek się nie myli. Uderzam w szybę z całą mocą czołem, ale ta faktycznie ani drgnie. Walę drugi

raz, a potem szybko trzeci, rozmazana krew na oknie to jedyny efekt, nie pękła.

Nagle podrywa mnie coś do góry, po czym rzuca na podłogę. No tak, pieprzony pielęgniarz.

32. Góry

Wtorek, 23 sierpnia 2022 roku

Godzina 23.00

Schronisko Karkut

Emocje opadają. Chowamy wódkę do lodówki, żeby nie kusiła, w takiej chwili to bardzo atrakcyjna propozycja, aby się spić, zrzucić napięcie, zastąpić adrenalinę we krwi promilami, jednak potrzebujemy głównie zdrowego rozsądku i jasnych umysłów.

Przez pierwsze pół godziny w kółko omawiamy to, co się wydarzyło oraz możliwe teorie, i – postawmy sprawę jasno – nic mądrego nie udaje nam się wymyślić. Gość, który z nieznanym nam powodów uznał za stosowne zamordować Oczkę i jej ochroniarza, postanowił zlikwidować także nas. Robił to w przemyślany sposób, wiedząc, że mamy nad nim przewagę liczebną. Co zrobi dalej? Czy ma klucze do ośrodka? Już zadziałał zamek magnetyczny, ale przecież kartę do niego mógł mieć także ochroniarz, aby swobodnie poruszać się po schronisku. Dobrze, że główne drzwi mają dodatkowy wewnętrzny rygiel.

Postanawiamy robić patrole, oczywiście we trzech, żadnego rozdzielania się, nawet w domu. Co kwadrans idziemy na górę, sprawdzamy okna, potem wracamy na dół i także robimy kontrolę zabezpieczeń. Tylne drzwi dla pewności podparliśmy ławką, aby nawet po otwarciu zamka nikt nie mógł wejść do środka, a przynajmniej by narobił hałasu.

Co jakiś czas wyglądamy ostrożnie zza zaciągniętych zasłon, aby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz, jednak ciemność jest naszym

przeciwnikiem, który skrętnie ukrywa przed nami potencjalne zagrożenie, karmi wyobraźnię, głodząc jednocześnie zmysły.

Przez chwilę dyskutujemy też o tym, czy nie robić nagłych akcji zaświecenia latarki i skierowania światła przez okno na zewnątrz, ale pomysł upada. Po pierwsze trzeba by mieć dużo szczęścia, żeby wyłować mordercę z mroku, a jeśli nawet, to co by nam to dało? Lepiej oszczędzać baterie, nie wiadomo, co przyniesie noc.

Po trzecim z rzędu patrolu siadamy na dole przy barze. Każdy ma pod ręką jakąś zaimprovizowaną broń: ja i Piter noże, Artur woli pogrzebacz.

– Będziemy sławni. – Ta myśl spływa na mnie nagle. – Media nie dadzą nam spokoju do końca życia.

– Podobnie jak rodzina Damiana – dodaje Artur.

– Chyba trzeba będzie przełożyć ślub, co nie? – pyta Piter. – Raz, że nie wypada, prędzej trzeba będzie zrobić Damianowi porządny pogrzeb, a dwa, to pewnie przez dłuższy czas policja i prokuratura będą nam siedziały na głowach.

– Nie mamy pewności, czy nie żyje – wtrąca Artur. – Widzieliście zwłoki?

– Nie – odpowiadam.

– Zatem traktujmy go jako żywego, dobrze?

– Masz rację – zgadza się Piter. – Nie wiemy, co tam się tak naprawdę wydarzyło. Mamy dwa pewne trupy i jednego zaginionego.

– Myślisz, że nas oskarżą o jakiś współudział albo coś? – martwi się Artur. – W sumie są tam nasze odciski palców, jesteśmy upačkani krwią. Mogą nas oskarżyć?

– Nie sądzę – odpowiadam. – Policja zawsze szuka motywu, a tutaj go nie ma. To dla nas obcy ludzie. W dodatku mamy swoje zeznania.

– No nie wiem – powątpiewa Piter. – Mogą dorobić jakąś legendę do okoliczności. Obnażona dziewczyna, zarżnięty ochroniarz, grupka

natarczywych i podpitych mężczyzn spuszczonej ze smyczy. Może chcieliśmy ją zgwałcić, a facet stanął w jej obronie i doszło do najgorszego?

– A Damian? – wtrącam.

– Postawił się nam, więc zabiliśmy i jego. Wiesz, artysta, delikatny człowiek, w dodatku gej. Koledzy z pracy zeznają, jaki to był miły dla kobiet, wszystkie koleżanki z firmy wręcz go ubóstwiały, chodziły z nim na zakupy, malowali sobie wspólnie paznokcie czy coś.

– Pieprzenie – pryham. – Nie ma opcji, żeby nas o to oskarżono, aż tak policja to nie drukuje.

– Zdziwiłbyś się. – Piter się uśmiecha, ale jest to raczej gorzki uśmiech.

– Obyś miał rację – mówi do mnie Artur. – Na razie zakładamy maniaka, który zabił kobietę i ochroniarza, potem pozbył się Artura, może trzyma go gdzieś tam ogłuszonego? Kto wie. Jeden przeciwnik, choć bezlitosny. Jak to już się wreszcie skończy, to muszą nam uwierzyć, po prostu muszą.

– Będziemy się martwić, jak przeżyjemy. – Piter wstaje z krzesła, zerka na zegarek. – Idziemy na obchód.

Podnosimy się wszyscy z lekkim westchnieniem, adrenalina nieco opadła i łapią nas pierwsze oznaki zmęczenia. Nie jedliśmy także porządnej kolacji, trzeba będzie niedługo dorwać się do zapasów. Niby głupio tak sobie jeść konserwy, gdy giną ludzie, ale w sumie żyć trzeba.

Bierzemy latarki, swoją broń i ruszamy na górę. Po drodze sprawdzamy tylne drzwi, potem wszystkie okna, pokoje i łazienki. Idziemy tak, żeby było nas słychać, chyba aby dodać sobie odwagi. No cóż, nie jesteśmy wyszkolonym oddziałem policji, nie mamy pojęcia, co robić, jak się zachować, czy lepiej siedzieć cicho i nasłuchiwać, czy bronić się aktywnie.

Nic się nie dzieje, schronisko jest ciche i puste, żadne zabezpieczenia nie zostały naruszone. Pokrzepieni tym widokiem, schodzimy na dół, siadamy ponownie za barem, odkładamy broń.

– Przepraszam was – mówi Artur, chowając twarz w dłoniach. – To moja wina. Zawsze wszystko spierdolę, dlatego nie brałem się nigdy do organizowania naszych wypadów czy wakacji.

– Już przestań – uspokajam go. – To rzecz z cyklu takich nie do przewidzenia.

– Kiedy robię zawodowo eventy, to idzie mi zajebiście, ale przy nas czterech zawsze boję się, że ktoś będzie niezadowolony – użala się dalej.

– Arturku, skończ już biadolić, dobrze? – karci go Piter. – Wyszło, jak wyszło; użalanie się i płkanie chuja nam da, serio. Skupmy się na tym, aby dotrzeć do rana.

– Dokładnie tak – popieram. – Winę ponosi tylko ten dupek, który zamordował Oczkę i ochroniarza, nikt inny.

– I Damiana – dodaje ze smutkiem Artur, a w jego oczach pojawiają się łzy.

Wstaje i podchodzi do baru – już byłem pewien, że znowu poleje nam wódki – ale urywa kawałek papierowego ręcznika i smarka w niego głośno. Nagle sztywnieje, spogląda czujnie w stronę drzwi.

– Czujecie? – pyta i zaczyna węszyć niczym pies gończy.

– To nie ja! – mówi z uśmiechem Piter.

Wciągamy powietrze, ale też niczego podejrzanego nie czuję.

– Dym – oznajmia Artur. – Wyraźnie czuję. Jakby ognisko.

Odwracam się w stronę drzwi wejściowych i dostrzegam delikatny błysk za oknem obok nich. Subtelne rozjaśnianie się ciemności, nieregularne, ruchome.

– Ten skurwiel chce nas spalić – rzuca Piter.

Jakby na potwierdzenie tych słów słyszemy brzdęk rozbitej butelki i za jednym z okien błyska pomarańczowy blask, tym razem mocny i wyraźny, przebija się nawet przez zaciągnięte zasłony.

– Rzuca w nas koktajlami Mołotowa – stwierdzam, zdając sobie sprawę, że najbardziej to nie chcę jednak umrzeć spalony żywcem. Czy można zgłosić się na ochotnika do poderżnięcia gardła?

– Kurwa! – panikuje Artur, łapiąc się za głowę. – O kurwa, o kurwa!

– Gaśnice! – krzyczy Piter. – Muszą tu być!

– Co chcesz, kurwa, gasić?! – pyta Artur. – To schronisko jest drewniane. Calutki. Spali się jak jebana stodoła.

– Pewnie drewno jest zabezpieczone przez pożarem – odpiera Piter. – Nie rozhula się tak szybko.

– Co robimy? – pytam, czując, jak lepkie macki paniki pełzną mi po plecach, mrowienie pod czaszką przybrało na sile, zaraz mnie odetnie, padnę, zemdleję, spłonę.

Piter nie panikuje; znajduje gaśnicę tuż obok baru, zaledwie dwukrotnie większą od samochodowej. Podbiega do drzwi i staje w miejscu, bo nie ma właściwie czego gasić. Ogień jest na zewnątrz, widać go w błyskach przebijających się przez okna, w dymie powoli wpływającym do środka szparą pod drzwiami, w narastającym szumie przeradzającym się w huk, jakby ktoś powoli, ale systematycznie podkręcał głośność.

– Zaczadzimy się tutaj – jęczy Artur.

– Spokojnie! Uciekamy, ale naraz – mówi Piter, rzucając gaśnicę. – Wybiegniemy we trzech, nie rzuci się na nas. Potem też musimy trzymać się razem, nie rozdzielać. I bierzemy broń.

– Dobra – zgadza się Artur. – Michał, jak jest?

– W porządku – odpowiadam, dziwiąc się samemu sobie, że jestem w stanie wydusić z siebie słowa. – Dam radę.

– Świetnie! – krzyczy Piter. – Zabierzmy latarki, plecaki też, zdążymy. Ogień dopiero się rozkręca.

Ruszamy z Piterem na górę po swoje plecaki, Artur zostaje na dole. Zaczynam sobie przypominać wszystkie historie o ofiarach pożarów, które opowiadał mi kumpel z Państwowej Straży Pożarnej. W większości przypadków ludzie nie zamieniają się w żywe pochodnie, nie biegają oblepieni płomieniami, ale giną od czadu i dwutlenku węgla, duszą się. Od razu siła sugestii sprawia, że zaczyna mi się ciężiej oddychać.

Łapiemy plecaki i zbiegamy na dół, Artur już na nas czeka, ściskając w ręku pogrzebacz.

– Głównymi drzwiami? – pyta, pokazując kartę magnetyczną od zamka.

– Tak – potwierdza Piter. – Ty otwórz zamek, ja odsunę od razu rygiel i ruszamy prosto przed siebie, do granicy lasu, nie będziemy się trzymać za ręce, ale żeby nikt mi nie zniknął z oczu, nie dalej jak metr od siebie, zrozumiano?

– Tak jest! – meldujemy niemal jednocześnie.

Stajemy przed drzwiami, Artur przykłada kartę do czytnika, lampka kontrolna zmienia kolor z czerwonej na zieloną, czyli jeszcze działa. Piter podnosi rygiel i syczy z bólu.

– Nagrzał się – informuje.

Szarpie za drzwi, ale te uchylają się jedynie na jakieś dwadzieścia centymetrów. W twarze bucha nam żar, a ja momentalnie czuję się, jakby ktoś mi wysysał powietrze z płuc.

– Co jest, kurwa? – krzyczy.

W blasku płomieni, bardzo dużych płomieni, które już ostro harcują na zewnątrz, dostrzegamy w szparze łańcuch. Gość nas zamknął od zewnątrz. Przez powstałą lukę bije w nas żar, automatycznie odsuwamy się na kilka kroków.

– Skurwysyn – wołam. – Zablokował drzwi.

Mówiłem wam, że wcześniej poczułem lepkie macki paniki? No to teraz są to już wielkie, oślizłe łapska, które ściskają mój mózg i nie pozwalają logicznie myśleć. Na szczęście jest z nami Piter.

– Okno! – krzyczy i od razu podbiega do najbliższego.

Szarpie za zasłonki i widzimy coś, co przypomina powieszony na ścianie telewizor z wyświetlanym obrazem pożaru. Łapie za klamkę, okno otwarło się bez problemu, nie było przyblokowane. Jest spore, człowiek mógłby przez nie spokojnie przejść, może bez plecaka, ale to nie problem.

– Jeden za drugim, natychmiast, nie czekać! – zarządza. – Od razu biegiem do lasu, bez oglądania się na boki ani za siebie. Pamiętajcie, podstawowa zasada ucieczki to: nie odwracać się, tylko przebierać nogami.

Piter zdejmuje plecak i wyrzuca go na zewnątrz, po czym najpierw wygląda przez okno, a potem sprawnie przechodzi przez framugę. Zasłania głowę rękami; temperatura jest tak wysoka, że czuję, jak topią mi się brwi i rzęsy. Taras i dach nad nim płoną, zamieniając naszą drogę ewakuacji w wypełniony ogniem tor przeszkód.

Dostrzegam, że Piter nie czeka na nas, tylko od razu łapie plecak i biegnie prosto w ścianę ognia, która szaleje na zewnątrz. W stronę lasu, instynktownie, mocne kroki, długie, niemal skoki, pochylona głowa, nad nią dłonie.

Tymczasem w środku zaczyna robić się tak przyjemnie, jak w piecu krematoryjnym, zajęte płomieniem zasłony topią się w szaleńczym tempie, gryzący dym szczypie w oczy, w gardło i nos, skóra piecze. Czuję, jakby moje oczy miały się zaraz zagotować

– Najpierw ty – rzuca w moją stronę Artur.

Szarpie mnie za ramię i pcha w stronę okna. Nie zamierzam się kłócić, strach pozbawia mnie wszelkich ludzkich odruchów. Wyrzucam

plecak, przeskakuję przez okno i na moment tracę oddech. Czuję, jak skóra wręcz mi płonie, ale to tylko wrażenie, reakcja obronna organizmu, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Łapię plecak, zasłaniam oczy przedramieniem i wbiegam prosto w ogień. Już po paru krokach czuję chłód nocy, chociaż plecy nadal palą żywym ogniem, przebieram nogami mocno, panika powoduje tak silny wyrzut adrenaliny, że w ogóle nie czuję zmęczenia. Z każdym krokiem robi się chłodniej, spokojniej, słyszę za sobą tylko huk pożaru.

Biegnę, odsłaniam oczy i spoglądam w stronę lasu. Dostrzegam światło z latarki Piotrka. Nie oglądam się za siebie, nie patrzę na boki, po prostu biegnę.

Doganiam przyjaciela i padając na kolana, zaczynam oglądać swoje ręce, ale nie widzę poparzeń. Czuję swąd palonych włosów, wyczuwam pod palcami poskręcane resztki owłosienia na przedramionach, plecak tli się w jednym miejscu, ale chyba jestem cały. Skóra piecze, oczy łzawią, zaczynam kaszleć. Spoglądam na przyjaciela – on również nie odniósł poważniejszych obrażeń, ma nieco osmoloną twarz, to wszystko.

– Brawo, Michał! – rzuca, ciężko dysząc.

– Ja pierdolę!

– Gdzie Artur? – pyta gorączkowo.

Odwracam się w stronę płonącego schroniska, pożar narasta, dach pali się w najlepsze i pomimo tego, że jesteśmy oddaleni dobre kilkadziesiąt metrów od budynku, to żar staje się coraz większy. Płomienie, niczym drapieżne bestie, rozbiegają się po niezajętych dotychczas miejscach, wyskakują przez okna, szaleją na całego.

I wtedy zauważamy Artura.

Udało mu się wydostać, biegnie w naszą stronę, jednak ogniste drapieżniki dopadły i jego. Jest skąpany w płomieniach, jakby kawałek pożaru oderwał się od matecznika i poszedł na swoje, postanowił rozpocząć niezależne życie, pożerając na początek naszego przyjaciela.

Biegnie, chociaż to nie może mu już w niczym pomóc, a jednak płonący człowiek nie stoi w miejscu, walczy, biegnie, bo co innego może zrobić? Macha rękami, krzyczy, jestem pewien, że drze się wniebogłosy, ale nie mogę tego usłyszeć, bo huk pożaru zagłusza wszystko.

Zbliża się do nas i już widzimy nie tylko poruszającą się chaotycznie sylwetkę, ale płonące ręce, objęte ogniem nogi, otulony płomieniami korpus i głowę, ukoronowaną pomarańczowym welonem. Latarka przyczepiona do czoła wciąż świeci, wywołując absurdalne wrażenie pędzącej w naszym kierunku lokomotywy otulonej płomieniami.

Gdy jest już blisko, widzę czarne wargi odsłaniające wciąż białe zęby, płomienie wyskakujące z oczu i ust oraz dłonie rozdrapujące przypieczoną skórę, pod którą czeka białe mięso.

Strach ściska moje gardło.

Boję się, że podbiegnie i skoczy w nasze objęcia, taki pożegnalny uścisk, na jaki sobie pozwalaliśmy każdorazowo przy rozstaniu, a przecież on żegna się z życiem, ma więc niezaprzeczalne prawo godnie i czule się z nami pożegnać, czyż nie?

Ma.

Jednak pada jakieś cztery metry przed nami, jeszcze się rusza, powoli, niedbale, jakby chciał wykorzystać resztkę energii życiowej do przyjęcia dogodnej pozycji; kuli się, jakby się topił, zwija niczym wąż do pozycji embrionalnej. W końcu wszelki ruch ustaje, tylko płomienie na jego ubraniu wciąż sobie podskakują, pomarańczowo-niebieskie.

Uderza we mnie spokój i malowniczość sytuacji. Jeszcze kilka sekund temu ktoś tu walczył o życie, konał bez godności w niewyobrażalnym bólu, a teraz noc, ciemność, nasze przyspieszone oddechy.

– Benzyna – mówi spokojnie Piter.

Pociągam nosem i rozumiem, że mój przyjaciel miał rację; zapach benzyny jest wyraźny, mocny, niemożliwy do pomylenia z żadnym

innym. Miesza się z wonią pieczonego mięsa, przypalonego, porusza jakąś delikatną strunę w pamięci. Z czym mi się to kojarzy, no z czym?

Myszę, grzebię wśród wspomnień, nadpalonych, zniszczonych śmiercią przyjaciół, czując, jak coraz ciężiej mi się oddycha i gdy w końcu moja pamięć odnajduje właściwą teczkę, tę z zapisem wczorajszego grilla i podanej nam przez Artura karkówki, nie wytrzymuję. Żołądek zamienia mi się w kulę twardą niczym kamień i padam na kolana.

Nie, nie wymiotuję, ale przed oczami latają mi plamy czerwieni, jakby ktoś pod czaszką dokonał kolejnego podpalenia. Wszystko płonie – moje myśli, wspomnienia i plany na przyszłość. Charczę, próbuję złapać oddech, ale nie mogę.

– On go oblał benzyną – stwierdza Piotr. – Potem pozwolił uciekać.

Słyszę to jak przez ścianę. Zaraz się uduszę; mój mózg chyba właśnie zdał sobie sprawę z nierealności tych wydarzeń i postanowił zakończyć ten smutny żywot, udusić mnie, bo to za dużo jak na jednego szarego człowieka.

– Michał! – krzyczy Piotr i chlusta mi na twarz wodą z butelki. – Oddychaj, uspokój się, złap rytm, Wdech i wydech, wdech i wydech.

Nic. Coś mi siadło na piersi, coś wielkiego i bezlitosnego. Może to Artur? Może Damian? Może obydwaj?

Czuję mocne uderzenie w twarz; do tej pory piekąca od poparzenia, teraz daje znać o nowym zagrożeniu, a potem jeszcze raz.

Słyszę plaśnięcie dłoni Pitera o mój policzek i zaczynam wracać. Zadziwiające, z każdym wdechem i wydechem czuję większy spokój, jakby faktycznie sytuacja została opanowana, pomimo powietrza wypełnionego zapachem przypalanej karkówki. Nie, to nie jest wczorajszy grill.

– Ja pierdolę – mówię jeszcze, łapiąc oddech.

– Lepiej?

– Tak – potwierdzam i kiwam głową.

– Czekał na ostatniego z nas, a potem go podpalił – stwierdza Piter, zakręcając butelkę z wodą.

– To powinienem być ja.

– Nie – zaprzecza Piter. – To mógł być każdy, ślepy los zdecydował.

– Widziałeś to?

– Nie, jak dopadłem lasu to już widziałem, jak biegniesz w moim kierunku, a potem po prostu wybiegł Artur.

– Może oblał go w środku?

– Nie wiem, Michałku, naprawdę nie wiem.

Piotr ociera oczy przedramieniem, pozostawiając rozmazane przez łzy smugi, pociąga nosem.

– Dlaczego nie załatwił nas wszystkich? – pytam wciąż na głos. – Gdyby zaczął od ciebie, nie wyszlibyśmy z domu, spłonęlibyśmy w środku.

– To psychol. Znęca się. Poluje. Dobrze się bawi. Nawet bardzo dobrze, ma tutaj istny plac zabaw.

– To się nie dzieje – szepczę.

Całkiem bez sensu, negacja rzeczywistości nie może w niczym pomóc, ale mam przez chwilę nadzieję, że będzie jak podczas koszmaru. Gdy sen jest wyjątkowo nierealny, wystarczy powiedzieć, że to się nie dzieje, że przecież to musi być sen, a wtedy najpewniej się obudzimy. Nasz umysł ma pewną granicę ułudy i gdy coś mocno odstaje od rzeczywistości, może kliknąć bezpiecznik.

Cholera, dlaczego nie klika?

Nie budzimy się. To nie jest sen. Ogień nadal się pali, a Artur leży przed nami i nie żyje tak bardzo prawdziwie, jak potrafi tylko świeży trup. Nawet nie rzuciliśmy się go gasić, czując bez dyskusji, że to działanie całkowicie pozbawione sensu.

Skulony, zwęglony, dymiący, śmierdzący, w otulinie błękitnych płomieni. Dopiero teraz zauważam, że cały czas w czarnej dłoni ściska pogrzebacz.

Nie wytrzymuję, padam ponownie na kolana i wymiotuję. Rzygam wódką, strachem i wyrzutami sumienia, a wszystko jest gorzkie, niestrawione, zalega mi równie mocno na żołądku, jak i na sumieniu.

– Idziemy, szybko – zarządza Piter, łapiąc za swój plecak.

– Dokąd? – Ocieram usta grzbietem dłoni i krzywię się, kiedy do posmaku wymiocin dołączył swąd spalonych włosów.

– Wracamy naszą drogą, tak przynajmniej nie pobłądzimy. Nie możemy tu zostać. On już na nas czeka.

– Jeśli pójdziemy, to ruszy za nami.

– Ale jak zostaniemy, to co zrobimy? – Piter już zarzuca plecak na ramiona. – Będziemy siedzieli plecami do siebie, ściskając noże w ręce, i czekali, aż przyjdzie? A może rzuci w nas koktajlem Mołotowa?

– Ten pożar powinien ktoś zauważyć, co nie? Straż pożarna?

– Myślisz, że tam siedzi ktoś na wieży i czeka na pożar? Zejdź na ziemię, jeśli ktoś to w ogóle zauważy, to zanim ustalą miejsce, wezwą jednostki, dotrą tutaj, miną ze dwie godziny. Gdyby to był czynny ośrodek, może i miałby jakiś alarm, ale nie sądzę, aby tak było. Pamiętasz, coś Artur mówił, że schronisko zostało zamknięte, bo były problemy z odbiorami ze straży.

– Czyli idziemy? – pytam, spoglądając na wciąż delikatnie płonące zwłoki Artura. Wyglądał jak prosię wwożone na przyjęcie przez szefa kuchni, polewane spirytusem i podpalane ku uciesze gości. Zresztą, zamówiliśmy takie danie na nasze wesele.

– Tak. Przecież go nie pochowamy, musi go i tak zobaczyć prokurator, sekcja zwłok, takie tam. W końcu popełniono tu przestępstwo. My natomiast powinniśmy zadbać, żeby było to ostatnie, do jakiego dojdzie, no chyba że dorwiemy tego psychopatę.

– Masz rację. Idziemy.

Łapię swój plecak, latarka tkwi cały czas na mojej głowie. Oglądam się jeszcze w stronę płonącego z pełną mocą schroniska. Straszny i zarazem piękny widok. Obym w życiu więcej już nie widział takich rzeczy. Mogę zrezygnować z tych pięknych, byle nikt mi już nie pokazywał strasznych.

33. Szpital

Oho! Coś nowego! Nowy lekarz, czyżby tamten się poddał albo wystraszył? Nie pamiętam, abym coś mu zrobił. Jedno się zmieniło – w naszej sali nie ma okna i poczytuję to za plus, ktoś wreszcie poszedł po rozum do głowy i załatwił sprawy jak trzeba.

Lekarz natomiast już nie wygląda jak grzeczny chłopiec, raczej jest nieprzyjemny. Spojrzenie ma twarde, oczy przesuwają się jak celownik karabinu maszynowego, nieśpiesznie i dokładnie. Ma nieładny uśmiech, jakby przed chwilą kogoś zabił i zjadł. Dużo zakazanej radości. Pachnie mi policjantem przebrany w fartuch. No i ta blizna od linii włosów aż po prawe oko, ależ paskudna, czerwona, jakby żyła własnym życiem.

– Panie Michale – zaczyna, a głos ma zachrypnięty i niski, ale nieprzyjemny. Pan Nieprzyjemny Doktor. Specjalizacja: Oszust Policyjny. – Jak się pan dziś czuje?

– Srak – odpowiadam i czuję satysfakcję. Tyle właśnie się ode mnie dowiesz, farbowany psie.

– Czyli dzień jak co dzień?

– Nudy, nic się nie dzieje.

– Jak dobrze pan pamięta wydarzenia ostatnich dni? – pyta i już wiem, że to nie lekarz, za bardzo chce wiedzieć, nie idzie dookoła tematu. Policjant.

– Srak – odpowiadam i zaczynam się śmiać.

Wybaczcie, ale strasznie mnie to śmieszy. Zapomniałem, że przecież można odpowiadać tak, jak kiedyś człowiek lubił to robić, za gnoja. Jak? Srak. Co? Chujów sto! Gdzie? W dupie. Po co? Po jajco. Dlaczego tak nie odpowiadamy na co dzień? Kto jest temu winien? O ileż świat byłby prostszy.

– Zdaje sobie pan sprawę z tego, co się wydarzyło?

– Tak pi razy oko.

– Czyli?

– Wszyscy kaput. – Wznoszę rękę w geście hitlerowskiego pozdrowienia i znowu mnie to śmieszy.

Zaciekawiony, spoglądam na lekarza-oszusta. Czy jego to mierzi? Powinno, robię wszystko, żeby wyprowadzić go z równowagi.

– Co się stało...

– W Mielcu! – wpadam mu w słowo.

– Co?

– Chujów sto! Co się stało w Mielcu?

– Kiedy?

– Jak były Szwedy. Najgłupszego policjanta tu dali, niech skonam.

Co się stało w Mielcu?

– Nie wiem.

– Kot się przebił na widelcu! A co się stało w Beskidzie Niskim?

– Nie wiem.

– Śmierć zajęła się wszystkim!

Zaczynam się śmiać i to tak, że aż popuszczam w gacie. Sporo mam zabawy z tym dupkiem.

34. Góry

Środa, 24 sierpnia 2022 roku

Godzina między 0.00 a 1.00

Gdzieś w Beskidzie Niskim

Tak chyba blakną wspomnienia, tak mi się wydaje, w tej właśnie kolejności. Najpierw ulatuje zapach płonącego schroniska wymieszany z nutką woni benzyny, którą jakiś maniak oblał Artura i podpalił. Puścił go z dymem, dosłownie. Jeszcze przez kilkadziesiąt metrów czuję w nozdrzach ten nieznośny swąd, ale z każdym kolejnym krokiem czyste nocne powietrze wypycha go z płuc. Znika.

Następnie żegnamy dźwięk, tę plątaninę huków i trzasków, ognia pożerającego łączywie wszystko, co mu podsunął ten szaleniec. Metr po metrze oddalającym nas od pożogi cichnie, zmienia się w szum, aż po prostu robi się cholernie cicho.

Nic tak nie pachnie jak pożar. Nic tak nie brzmi jak pożar.

Jeszcze przez jakiś czas towarzyszy nam łuna, ale wcale nie tak długo, jak myślałem. Byłem pewien, że rozświetli niebo i setki ludzi wyglądających gdzieś tam przez okna; ktoś wracający z pracy czy jadący drogą powiatową numer dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem zauważy, że dzieje się tu coś niedobrego, ale szybko pozbyłem się złudzeń. Musiałby faktycznie celowo wypatrywać pożaru, żeby go zauważyć.

Najdłużej pozostaje strach, jak po traumie z dzieciństwa. Mnie na przykład, kiedy miałem pięć lat, ugryzł szerszeń i mimo braku szczegółów tego wydarzenia w mej pamięci, wszelkich owadów boję się cholernie do dzisiaj. Tak samo czuję się teraz, mój strach nie ma

przecież twarzy, ba, nawet sylwetki, a tylko skutek – coś nas mordowało jednego po drugim. Zostało nas dwóch.

– Myślisz, że za nami idzie? – pytam.

– Tak – mówi krótko Piter. – Jak tylko będziemy mogli, to nie używajmy latarek, noc jest widna. Skręciłbym gdzieś, ale boję się, że całkiem pobiłdzimy.

– Czyli po prostu idziemy przed siebie?

– Do cmentarza, tego, na którym ucichły ptaki.

– Trafisz?

– Tak.

– Dlaczego tam?

– Widziałem tam kawałek utwardzonej drogi, chyba dojeżdża się nią do schroniska. Pójdziemy tą drogą, powinna wyprowadzić nas z tego gówna.

– A morderca?

Piotr zatrzymuje się, wyjmując z plecaka butelkę i upija łyk wody.

– Suszy mnie po tym pożarze – oznajmia. – Co ci mam powiedzieć, jeśli za nami idzie, to musimy być cały czas w ruchu.

– Może się na niego zasadzimy?

– Misiek, umiesz się bić?

– Nie bardzo.

– Ja też średnio, a jak widzieliśmy, gość najpewniej potrafi. Ma broń, jestem tego pewien. Z czym się na niego rzucimy? Wyłamiemy po gałęzi? W dodatku nie zapominaj, że on nie będzie chciał się z nami tarzać po trawie i czekać, aż odklepiemy poddanie, on zabija bez mrugnięcia okiem, robi to z przyjemnością, wygląda mi na pasjonata tej nieciekawej sztuki. Więc wybacz, ale nie ma sensu zgrywać bohaterów, po prostu spierdalajmy stąd jak najprędzej, co?

– Przekonałeś mnie. – Biorę od niego butelkę i wypijam trochę wody.

– Zrobimy sobie jakiś postój za godzinkę. Obecnie jeszcze trzyma nas adrenalina po pożarze, ale zaraz emocje opadną i zaczną nas osłabiać zmęczenie. Swoje przeszliśmy, a nie jedliśmy w sumie nic porządnego od południa.

– Zgoda, ruszamy.

Pożar jest już tylko wspomnieniem i zaczynam się zastanawiać, jak go zapamiętam. Gdy kiedyś rodzice Artura zapytają mnie, jak to było, co powiem, jak to opiszę? Mam powiedzieć, że zginął jak bohater? Może, że wyciągnął nas z płonącego budynku, wrócił jeszcze coś sprawdzić i tam już został? Czy staną naprzeciw mnie, wskażą palcem i ze łzami w oczach, tą paskudną mieszanką smutku, złości i nienawiści powiedzą, że to moja wina?

Idę za Piterem, który stawia kroki równo, miarowo, nie zwalnia nawet na chwilę. Wspomaga się kosturem zrobionym na szybko z jakiejś znalezionej gałęzi, kawał drąga. Nie pytam, czy lepiej mu się tak idzie, ale chyba chce mieć coś pod ręką, na wszelki wypadek. Ścieżka jest szeroka, światło księżyca nie wystarcza jednak w momentach, w których wchodzimy w las. Wtedy Piter odpala latarkę, ale trzyma ją nisko i świecił sobie tylko pod nogi.

Zaczyna się dziać to, co przewidział. Najpierw ból pojawia się w plecach, potem w stopach, ramionach, kolanach i tak co kilka minut do tej drużyny uprzykrzającej mi życie dołącza kolejna część ciała. Dodatkowo chodzenie w ciemności po górach to naprawdę nic przyjemnego. Co chwila noga wpada mi w jakiś dołek, potem zahacza o gałąź i tak w kółko. Zaczynam mieć tego dość.

Opierdalam się sam w myślach, że jak to, jednemu z moich przyjaciół ktoś najpewniej poderżnął gardło w lesie, a drugiego spalił jak pochodnię, a ja tutaj marudzę, że mnie plecy bołą. Trochę wstyd, Michaś, co nie? Trochę wstyd.

Kłóczę się sam z sobą i przypomina mi się stary tekst Artura, że często gada do siebie, nawet czasem się ze sobą kłóci, a raz to tak się pożarł z samym sobą, że potem się sam do siebie tydzień nie odzywał. To był zawodnik.

Jednak organizm nie słucha moich argumentów, powoli, acz nieubłaganie rozładowują mi się baterie.

– Piter, muszę odsapnąć – mówię w końcu.

– Spoko – rzuca i skręca w bok. – Schowamy się obok ścieżki, nawet jeśli za nami idzie, to najwyżej nas ominie.

Po wyjściu z lasu ruszamy pod górkę w linię drzew. Po kilku metrach zrzucamy plecaki, siadamy na trawie. Przed nami rozpościera się rozgwieżdżone niebo, które gdzieś dalej rozświetla się od burzy, jednak jeszcze nie słychać grzmotów. Co mówił ten stary goprowiec? Żebyśmy nie nocowali pod namiotami, bo zapowiadają na dziś mocne burze. Skąd to wiedział, przecież nie miał ze sobą telefonu.

Piter podaje mi wyjęty z plecaka baton energetyczny i butelkę wody. Pewnie mam też swoje, w końcu nie ruszaliśmy żelaznych porcji, ale przyjmuję te i zabieram się do jedzenia.

– Jeśli faktycznie za nami idzie, to też musi poruszać się drogą – oznajmia mój przyjaciel. – W dzień jest ciężko iść tym lasem, a co dopiero w nocy.

– Pewnie zna te lasy, co nie?

– Raczej tak.

– Może poszedł jakimś skrótem i to on urządzi zasadzkę?

– Nie sądzę. – Piter potrząsa głową. – Z tego, co widziałem na GPS, to od cmentarza szliśmy raczej prostą drogą do schroniska, co innego wcześniej.

– Mógł pojechać quadem – stwierdzam. – Wybrać okreśną drogę i będzie przed nami.

– Nie ryzykowałby. To głośna maszyna, a w nocy słyszelibyśmy ją z daleka.

– No niestety, to był elektryczny quad.

– Więc masz rację, musimy być ostrożni. Pewnie zabrał ochroniarzowi kluczyki i teraz może nas spokojnie okrążyć. Bezszelestnie.

– Pocieszaj mnie dalej – wzdycham ciężko.

– Nie o pocieszenie nam chodzi, przyjacielu, ale o przeżycie.

– Masz rację.

– Kiedy zbliżymy się do cmentarza, to lekko go okrążymy lasem. Ja bym tam zastawił pułapkę. To dobre miejsce, z daleka widać, że ktoś na nie wchodzi.

Rozmawiamy szeptem, jak dzieci chowające się przed rodzicami, aby zrobić im psikusa. Głośniejszy chyba przełykamy kolejne kęsy batonów, niż mówimy, ale żaden z nas nawet nie śmie podnieść głosu. Na horyzoncie coraz mocniej szaleją błyskawice, burza zbliża się w naszym kierunku i to w ekspresowym tempie. Jeszcze tylko tego brakuje, żeby nam przemoczyło tyłki.

– Michał, damy radę – mówi w końcu Piotr po chwili ciszy. – Przejęliśmy inicjatywę, mamy mocne tempo, nie damy się.

– Nie wiem, chyba tracę wiarę w szczęśliwe zakończenie.

– Pieprzenie – kwituje krótko.

Wyjmuje butelkę wiśniówki i nalewa bordowy płyn do kieliszka. Wypija. Napełnia kieliszek ponownie i podaje mi go.

– No, na poprawę humoru – mówi.

– To muszą być ze dwa – oznajmiam i szybko wychylam kieliszek, żeby ponownie go uzupełnić. Wypijam drugi.

Zaczynają rozlewać się we mnie błogość i spokój. Myślę o tym, żeby złapać za butelkę i przechylić ją do końca, wypić z gwinta całość, a potem zasnąć pod krzakiem i obudzić się, albo i nie. Zobojętnieć.

Jakaż obojętność jest cudowna, krzywda innych nie boli, zagrożenie nie istnieje, brak smutku, a i cieszyć się też przecież nie trzeba. Da się przejść przez to cholerne życie bez uśmiechu? Pewnie, że się da. Obojętni ludzie mają w dupie to, co powiedzą rodzicom przyjaciela na temat pewnego zjaranego jak weselne prosię gościa, który akurat całkiem przypadkowo był ich synem.

Piter szarpie mnie za ramię i wybudza z tego krótkiego odrętwienia.

– Zrobimy postój po przejściu cmentarza – szepcze. – Idziemy.

Zarzucamy plecaki i zamieramy.

Na szlaku pojawia się błysk latarki. Najpierw omiata delikatnie miejsce poniżej nas, potem okoliczne krzaki, znowu ścieżkę.

Piter łapie mnie za ramię i mocno ściska.

– Padnij – poleca szeptem. – Plecaki mają odblaskowe elementy.

Nie rzucam się na ziemię, nie wiem czy dlatego, że myślę jasno i wiem, że w ten sposób narobię hałasu, czy po prostu po raz kolejny mnie zamurowało. W każdym razie powoli klękam i zdejmuję plecak, po czym kładę go, podobnie jak Piter, za sobą.

– Idzie z drugiej strony – mówię. – W stronę schroniska. To raczej nie on.

– Chyba że nas okrążył quadem.

– I tak by świecił na całego?

– Raczej nie ma noktowizora. Musi coś widzieć.

– Powinien się chyba raczej zasadzić gdzieś na szlaku i czekać, co nie?

Właściciel latarki zmierza w przeciwnym kierunku niż my. Snop światła drga w równym tempie, chyba to także jest czołówka. Zgrywa się nieco z błyskami burzy na horyzoncie. W końcu wychodzi zza zakrętu i możemy zobaczyć go w pełnej krasie.

Znam tego człowieka.

35. Szpital

Nie jest mi wygodnie, pieprzony kaftan bezpieczeństwa. Jak tym ignorantom przetłumaczyć, że musiałem sprawdzić, czy okno jest odpowiednio zabezpieczone, nie chciałem się zabijać ani robić sobie krzywdy. Od czynienia mi krzywdy akurat są ludzie, a właściwie ten jeden, który ma niedokończone sprawy z moją skromną osobą.

– Po zamordowaniu Damiana i Artura zostaliście we dwóch, tak? – pyta lekarz, nieco zmęczony moją obecnością.

Wskazuję głową na krępujący moje ruchy kaftan i potrząsam ciałem. Sprawa jest jasna: chcesz słuchać, rozwiąż mnie! Lekarz patrzy i daje znak pielęgniarzowi, ale ten nie rwie się do pracy, leniuch zasrany.

– Jest pan pewien, panie doktorze? – słyszę zza swoich pleców.

– Tak, poproszę – odpowiada mu lekarz.

Czuję ruch za swoimi plecami, ciężkie dłonie manewrują przy kaftanie i po chwili ciasno związany całun rozluźnia swój ucisk, mogę znowu nabrać powietrza, poruszać rękami, aby przywrócić w nich krążenie. Niewygodny strój zostaje zabrany i chyba rzucony na podłogę, wnioskuje po dźwiękach, jakie dobiegają zza moich pleców. Nie obejrzę się, nie lubię mojego pielęgniarza.

– Możemy rozmawiać? – pyta lekarz.

– Tak – odpowiadam i patrzę na okno. Ktoś zmył moją krew i zrobił kawał dobrej roboty, bo szyba lśni w słońcu.

Nie tak łatwo zmyć krew, oto co wam powiem, trzeba się nieźle napocić. W sumie to jest swoisty paradoks, że dużo mniej się trzeba napracować, żeby rozlać juchę, cóż to za robota: podcięcie gardła. Smyk nożykiem po szyjce i już. Ale domyc to potem! Olaboga!

– Zatem zostało was trzech?

Ja zdaję sobie sprawę, że nie jestem najlepszym rozmówcą, wzorem dla innych klientów tego szpitala, nie dostanę nalepki „dzielny pacjent”, ale to wynika z różnic w poziomach świadomości. Czy możemy rozmawiać jak równy z równym, jeśli ja wiem więcej od niego, a on uważa, że jest mądrzejszy ode mnie? Musiałby pojechać w Beskid Niski i dać się trochę poganiać po lesie przez Śmierć, żebyśmy doszli do jakiegoś konsensusu.

– Był pan na świniobiciu? – pytam, bo może tak do czegoś dojdziemy.

– Nie.

– Jak już zabiją świnie, to wieszają ją za nogi na poprzecznej belce – tłumaczę. – Rzeźnik podchodzi do zwierzęcia i przecina gardło, łapie do wiaderka krew na kaszankę. Potem rozpruwa brzuch i wszystkie flaki wylewają się do wanienki. Ciepłe, parujące i śmierdzące. Wątroba, nerki, żołądek, jelita, śliska i lepka masa z głośnym bulgotem przelewa się ze świńskiego ciała do metalowej wanny. Jeszcze przed chwilą ta machineria utrzymywała świnkę przy życiu, a teraz zostanie zeżarta.

– Jestem wegetarianinem – odpowiada lekarz i wcale mnie to nie dziwi, wygląda na trawojada.

– Nie je pan mięsa – stwierdzam na głos. – Zatem pewnie pan wie, że świnie są inteligentniejsze od szympanów, a już w szczególności od psów. Dają się łatwo tresować, potrafią zapamiętać więcej komend, przysposobione do mieszkania w domu szybko uczą się korzystania z kuwety, przywiązują się do właścicieli bardziej niż nasze Pimpki i Azory. Damian mi o tym opowiadał, on wiedział takie rzeczy.

– Nie wiedziałem – rzuca doktorek, gdy zawieszam na nim moje pytające spojrzenie.

No proszę, taki uczonec, a nie wiedział. Pewnie ma jakiegoś rasowego psa szkieletera za grube tysiące, który jak mocniej kichnie, to

mu ślepią wylecą z głowy.

– Otóż tak jest – mówię. – To bardzo mądre zwierzęta, najinteligentniejsze ssaki, poza ludźmi oczywiście, chociaż czy my jesteśmy znowu tacy mądrzy? Dlatego dobrze, że świnie zabija się szybko, nie wiesz żywej na tym drągu, nie rozpruwa jej bebeczków na żywca. To bardzo dobrze, że się tak nie robi, jak z ludźmi.

– Tak zginął jeden z was? – pyta lekarz, a ja przecież dobrze wiem, że on zna odpowiedź.

Ktoś przecież szedł później naszym tropem, znalazł zwłoki moich przyjaciół, zawiózł je do kostnicy, zrobił sekcje zwłok. Wylądowało tam sporo truposzy, jakiś lekarz patolog westchnął z rezygnacją, bo prywatne plany właśnie wzięły w łeb, trzeba odwołać fryzjera albo odpuścić siłownię, bo ktoś, kurwa jebana jego mać, postanowił dać się zamordować w górach na jego zmianie! A ten konował tutaj, lekarzyna od siedmiu boleści, doskonale zdaje sobie z tego sprawę, zatem nie uważam za stosowne odpowiedzieć.

– Nie umie pan liczyć, a wchodzi w szczegóły – mówię zamiast tego.

– Proszę wyjaśnić.

– Czterech – rzucam krótko i twardo.

– Czterech? – pyta jak jakiś idiota, mocno zaskoczony.

– No tak, czterech. Zostało nas czterech, nie trzech, jak pan powiedział.

Widzę ten wyraz niezrozumienia na tej pięknej buźce, rozumiem go, łapię w lot, przecież znamy się nie od dziś.

– Czterech – mówię z uśmiechem, jak do debila, którego trzeba zrozumieć i mieć na uwadze, że pewne trybiki pod kopułą nie chodzą, jak powinny.

Podnoszę prawą rękę i odliczam.

– Piter – pokazuję kciuk – goprowiec – wyciągam wskazujący palec
– ja – prostuję środkowy – Śmierć – dodaję serdeczny.

- Rozumiem – odpowiada doktorek i coś notuje.
 - Zostałem tylko ja.
- Zginam trzy palce i zostawiam tylko jeden, środkowy.

36. Góry

Środa, 24 sierpnia 2022 roku

Godzina 1.00

Gdzieś w Beskidzie Niskim

Iwan Sanguszko, człowiek, którego spotkaliśmy rano i nazwaliśmy roboczo goprowcem, idzie szlakiem, posapując cicho. Zatrzymuje się, sięga do plecaka, z którego wyjmuje butelkę i zaczyna pić. Nie patrzy w naszą stronę, przygląda się rozbłyskom na horyzoncie, do których dołączyły już ciche pomruki grzmotów.

– Mówiłem, że burze będą – mruczy sam do siebie.

Spoglądamy na siebie z Piterem, trzeba odbyć szybką naradę.

– Idziemy do niego? – pytam szeptem.

– A jeśli to on?

– No co ty?

– Skąd możesz to wiedzieć, może okrążył nas quadem i tak właśnie zaplanował pułapkę. Ot, idzie sobie spokojnie przez noc, bo zauważył pożar, spotyka nas na trasie, zagaduje i nagle rozprawia się z nami.

– Coś w tym może być.

Cholera, teraz każda ewentualność wydaje mi się realna. W ciągu dwóch dni katalog rzeczy niemożliwych kurewsko mi się skurczył.

– Plan jest taki: przepuszczamy go, a potem idziemy, tak jak zaplanowaliśmy.

– A jeśli to nie on?

– Tym lepiej.

– Piter, jeśli to jest niewinny człowiek, to może trafić wprost na naszego rzeźnika. Chcesz go mieć na sumieniu?

– Chcę żyć.

O proszę, rozsądny argument, trudno z nim dyskutować.

– Jeśli gość jest niewinny, to będzie nas trzech na jednego. Po drugie zna te góry, wyprowadzi nas stąd.

Piter milknie i rozważa wszystkie za i przeciw. Widzę to – zawsze gdy jest zdenerwowany, pociera mocno brew. Nie zazdroszczę mu, chyba czuje się za mnie odpowiedzialny.

– Możemy to zrobić po twojemu – oznajmia po chwili, nachylając się w moją stronę, abym mógł dobrze usłyszeć jego szept. – Wyjdiesz i zagadasz człowieka, zobaczymy co zrobi, co powie. Nie podchodź na wyciągnięcie ręki, ja podejść go od tyłu.

Zgadzam się kiwnięciem głowy. Nie ma czasu na długie narady i wymianę argumentów.

Czy to było najlepsze wyjście w tej sytuacji? Chyba nie. Zresztą, po tym, co nastąpiło w kolejnych godzinach, uważam, że nie było absolutnie żadnego dobrego wyjścia, jednej drogi ratunku. Było tylko wejście. Do piekła.

Piter łapie kij, którym pomagał sobie w nocnej wycieczce, kiwa mi głową i znika w ciemności. Wstaję, zakładam plecak i ruszam w stronę mężczyzny, który chyba urządził sobie krótki popas. Siedzi tyłem do mnie, wpatrując się w horyzont migoczący mozaiką wyładowań.

– Halo – wołam niezbyt głośno, żeby za bardzo go nie wystraszyć

Ten odwraca się gwałtownie, kierując w moją stronę światło czołówki. Ja w odpowiedzi zapalam swoją.

– To wy? – pyta zdziwiony, ale chyba też nieco uspokojony. – Nieczęsto spotyka się w środku nocy kogoś na górskim szlaku.

– Proszę się nie bać – mówię spokojnie.

– Nie mam zamiaru – zapewniam dziarsko. – Zgubiliście się?

– Można tak powiedzieć.

– Jesteś sam? – pyta z lekkim zdenerwowaniem w głosie zaraz po tym, jak światło jego czołówki omiotło teren po mojej lewej i prawej stronie. – Coś się stało?

– Tak – odpowiadam.

Stoi wyprostowany i świeci mi prosto w oczy. Ja nie pozostaję mu dłużny.

– Gdzie reszta towarzystwa?

Ruszam, lekko go okrążając, tak aby ustawił się tyłem do ścieżki, którą może go zająć Piter. Staram się robić to naturalnie: zdejmuję plecak z ramion, rzucam go na ścieżkę.

– Jestem sam. Nie wiem, gdzie reszta, chyba się zgubiłem.

Patrzy na mnie w milczeniu. Nie jestem w stanie dostrzec, czy Piter już jest za jego plecami, światło latarki razi mnie w oczy. Chyba w końcu to zauważyła, bo opuszcza nieco latarkę. Robię to samo, co działa jak sygnał, że obydwaj mamy pokojowe zamiary.

– Uciekasz ze schroniska? – pyta.

– Tak.

– Idę właśnie jego stronę – oznajmia. – Widziałem ze swojego biwaku, że coś tam się pali. Przestraszyłem się, że to las, ale uspokoiło się, przygasło. Więc pewnie schronisko.

– Tak, sfajczyło się do fundamentów, ledwo udało mi się uciec.

– Co tam się stało?

– Ktoś nas napadł – wyjaśniam. – Schowaliśmy się w budynku, ale go podpalił.

– Jak to napadł? Kto? Było was chyba czterech?

– Tak – potwierdzam.

– Nie tak łatwo napaść czterech mężczyzn.

– Gdy tam dotarliśmy, znaleźliśmy dwa trupy. Spanikowaliśmy, zamknęliśmy się w środku, a on podpalił budynek, aby nas wykurzyć.

– On?

– Morderca.

– Bierzesz narkotyki? – pyta nagle, zmieniając temat.

– Co? Nie.

– Bo twoja opowiadka brzmi, jakbyś nieźle sobie dogodził jakimś zakazanym specyfikiem. Wy, miastowi, non stop coś wączacie, czyż nie? Wódeczka to za mało, dopalacze, zielsko i inne takie.

– Nic z tych rzeczy, mówię prawdę – zaprzeczam, ale sam się dziwię wesołości, która zabrzmiała w moim głosie.

Wybaczcie, ale sytuacja była dwojako absurdalna. Po pierwsze gość nie wierzył w rzeczy, które naprawdę przed chwilą się wydarzyły i miał w zupełności rację, bo brzmiały jak jakieś bajki. Z drugiej strony, skoro on nie wierzył, to czy uwierzy nam ktokolwiek inny?

Wątpię.

– Nie podchodź – rzuca stanowczym głosem, widząc, że wyciągam rękę i ruszam w jego kierunku.

– Ale...

– Stój, kurwa! – Wyciąga w moim kierunku prawą rękę, ale w ciemności nie mogę dostrzec, co w niej trzyma.

Kieruję odruchowo promień latarki na jego dłoń i w tym momencie słyszę syk, a moje oczy zaczynają płonąć ogniem.

Krzyczę, padam na kolana, łapiąc się dłońmi za twarz. Dopiero po sekundzie czy dwóch mój mózg zanalizował, jaka jest skala obrażeń, to nie cała twarz mnie pali, ale oczy. Potwornie.

Po chwili słyszę dwa łupnięcia, cichsze i głośniejsze.

– Michał, co jest? – dobiega mnie głos Pitera.

– Pali! – tylko tyle udaje mi się z siebie wyrzucić.

Nie oddaje to pełni sytuacji, ale nic więcej nie mogę wydusić; oczy mi wręcz wypływają, a w gardle czuję cholerną gorycz.

– Potraktował cię gazem – informuje mnie Piter. – Musimy to przepłukać. Nie trzyj oczu, to najważniejsze, podnieś głowę do góry, pod

wiatr. Gdzie ta cholerna apteczka!

„Nie trzyj oczu”, łatwo powiedzieć. Łzy leją mi się strumieniami, ale wsadzam sobie dłonie pod pachy, żeby jakoś powstrzymać się od tego odruchu i podnoszę głowę. Na mokrej od łez twarzy czuję delikatny powiew wiatru, w oddali słychać cichy pomruk burzy. Leciutka ulga, taka malutka.

– Jest! – woła triumfalnie Piter.

Łapie mnie za głowę, odchyła ją do tyłu i czuję, jak czymś przemywa mi oczy, a po chwili przeciera je miękkim, mokrym materiałem.

– Nie mam, niestety, chusteczek dekontaminacyjnych, ale na szczęście wpakowałem do apteczki sól fizjologiczną. Zaraz ci się poprawi. Mrugaj jak najwięcej, regularnie i szybko.

Robię, jak przykazał, i z każdą sekundą czuję coraz większą ulgę. W końcu mogę otworzyć oczy na dłużej, a Piter wręcza mi buteleczkę z solą fizjologiczną i miękkie waciki.

– Przecieraj sobie delikatnie oczy i wypłukuj pieprz – poleca mi. – Ja muszę związać naszego gagatka.

– Bardzo dostał?

– Walnąłem go w łeb kijem, padł jak worek ziemniaków. Na filmach zawsze działało, więc to był mój jedyny pomysł.

– Żyje?

Piter klęka przy mężczyźnie i sprawdza mu puls.

– Tak.

– Mogłeś mu złamać podstawę czaszki albo coś.

– Pewnie tak, ale co zrobić. I tak za późno do niego dopadłem, skradałem się jak jakiś pieprzony ninja zamiast podbiec, ale bałem się, że się odwróci. Jak ślepiec?

– Dużo lepiej, nie pieką już tak. Czuję, że była akcja, ale mogę patrzeć.

Piter odczepia od swojego plecaka jakiś pasek, chyba ten do troczenia namiotów i innego ekwipunku, i zaciska goprowcowi na nadgarstkach. Następnie bierze pasek także z mojego plecaka i krępuje kostki mężczyzny.

– A jak się nie obudzi, zapadł w śpiączkę albo coś? – pytam, wstając niepewnie na nogi.

– Wygląda na twardziela.

Piotr po związaniu mężczyzny zaczyna przeszukiwać mu kieszenie. Pojemnik z gazem leży na trawie obok, podnoszę go, krzywiąc się, bo po schyleniu oczy zaczęły znowu mocniej piec.

– Nie ma innej broni – oznajmia. – Sprawdzę plecak. A ty przepatrz mu ubranie, czy nie ma śladów krwi.

– Dobra.

W sumie racja, jeśli to on odpowiada za zamordowanie dwójki w garażu, a potem Damiana, to musi mieć jakieś ślady na odzieży. Powinien też śmierdzieć dymem, przecież grasował przy płonącym schronisku, a może nawet był w środku, gdzie oblał Artura benzyną. Musiał się nią ochlapać. Z paliwem już tak jest, że zawsze skapnie ci na ręce, a jeśli oblewasz nim jakiegoś człowieka w płonącym budynku, to raczej nie ma szans, aby wyjść z tego bez szwanku.

Ubranie jest jednak czyste, na dłoniach także nie znajduję śladów krwi, ani nie śmierdzą paliwem.

– Nic nie ma – informuję Pitera. – Jak plecak?

– Klasyczne wyposażenie, najgroźniejszą bronią jest szwajcarski scyzoryk. To raczej nie nasz gość.

– To dobrze.

– Zależy, jak na to patrzeć. Gdyby to był on, bylibyśmy bezpieczni. A tak, po prostu daliśmy po łbie niewinnemu człowiekowi.

Niebo rozdziera jasny błysk, grzmi w oddali, ale tak już na poważnie, jakby burza chciała nam powiedzieć: „dobra panowie,

kończyć te zabawy, zaraz biorę się do roboty”.

– Może powinniśmy zejść ze ścieżki, co? – proponuję.

– Masz rację, wracamy na nasz punkt obserwacyjny. Przed burzą i tak nie mamy dokąd uciec. Gość ma namiot przy plecaku, rozbijemy go i przeczekamy.

– Mówił, żeby nie nocować pod namiotem w burzę.

– Nie mamy wyjścia, szybko przyjdzie, szybko pójdzie, jak to w górach. Nie mam zamiaru przemoknąć, pewnie po burzy mocno się ochłodzi. Dawaj, zanosimy plecaki, a potem naszego ziomka.

Tak też robimy – wchodzimy pod naszą małą skarpe, tam zostawiamy plecaki za linią drzew, potem łapiemy nieszczęsnego goprowca za nogi i pod ramiona i nie bez wysiłku wciągamy w to samo miejsce, nieustannie poganiani przez odgłosy burzy.

– Masakra, jaki ciężki – sapię. – A nie wygląda.

– Bezwładne ciało to straszny wrzód na dupie.

– Rozbijamy namiot?

– Tak.

– Między drzewami? – powątpiewam.

Przypomniała mi się jakaś historia o harcerzach, na których namioty podczas nocnej nawałnicy zawały się drzewa. Iluś tam zginęło, niewesoła sprawa.

– Kwestia wyboru – mówi Piter. – Albo przy ścieżce i widać nas z daleka, albo w lesie i spadnie na nas drzewo.

– Las – rzucam krótko.

– Też tak myślę.

Piter odczepia namiot od plecaka mężczyzny i zaczynamy się z nim mocować. Nie jest to najnowszy model, rurki stelaża są dość ciężkie, ale i tak idzie nieźle. Burza zbliża się w szalonym tempie, nasłuchiwałem się nieco o tym, jak to w górach pogoda zmienia się w mgnieniu oka, ale myślałem, że dotyczy to tylko jakichś Tatr albo Alp, a nie takich raczej

wzgórz. Tymczasem każdy piorun zdaje się jaśniejszy od poprzedniego, a grom mocniejszy, bardziej głęboki i dudniący.

Po kwadransie mamy już schronienie na czas burzy, niestety, niezbyt komfortowe. Namiot zalicza się do tych mniejszych.

– Słabo – komentuję.

– Damy radę – odpiera. – Siądziemy w środku i przeczekamy burzę, potem możemy się zwijać.

Piorun strzela gdzieś blisko, ziemia drży. Nagle uderza w nas wiatr i to tak, że aż przysiadam. Namiot szeleści nieprzyjemnie i zaczyna reagować na podmuchy pędzonych przez burzę mas powietrza.

– Balast do środka – komenderuje Piter.

Rozumiem go w lot; łapiemy goprowca i przenosimy go do namiotu. Potem wrzucamy trzy plecaki i sami wciskamy się do zbawczego wnętrza. Udaje nam się to w ostatniej chwili, bo jeszcze zdążam poczuć pierwsze smagnięcie zimnego deszczu na policzku.

– Uff... – Oddycham z ulgą.

– No, mieliśmy w sumie szczęście. Jak twoje oczy?

– Pięką, jak po całej nocce przed kompem, ale do przeżycia.

Namiotem szarpie i przez chwilę myślę, że to ktoś próbuje dostać się do środka, ale to tylko sprawka burzy.

– Przynamniej nas nie zwieje – żartuje Piter, lekko poprawiając ułożenie.

– Fakt.

Pioruny zaczynają walić raz za razem, jakby ktoś postanowił odegrać utwór symfoniczny tylko na samej perkusji. Bębny, werble, talerze, słaby rytm, kiepska melodia, w sumie chaos, ale piękny. No i z cudowną oprawą świetlną, bo w namiocie robi się widno niemal jak w dzień.

Wpatruję się w ścianę namiotu, spodziewając się zobaczyć w rozbłyskach sylwetkę mordercy, oczywiście z filmowo uniesionym do

góry nożem, ale widzę tylko gałęzie pobliskich krzaków, zmuszane przez wiatr do niezłej gimnastyki.

Trwa to może dziesięć minut i daje się wyczuć, że burza słabnie, idzie dalej. Gromy uderzają coraz rzadziej, błyski stają się mniej intensywne, wiatr się uspokaja, a po chwili także o materiałowe ścianki przestaje uderzać deszcz.

– Sprawdzę sytuację na zewnątrz – oznajmia Piter.

Rozsuwa wejście i wystawia ze środka dłoń.

Cholera, przyznam się szczerze, że w tamtej chwili spodziewałem się spadającej siekiery albo maczety. Piotr wystawia rękę, po czym słyhać tępe uderzenie, a ten odwraca się w moim kierunku, trzyma się za kikut prawej ręki i spogląda na mnie ze zdziwieniem. Zaczyna krzyczeć, a z amputowanego przedramienia tryska krew.

Wyobraźnia zdecydowanie mnie ponosiła, a może to po prostu mój mózg rozważał różne scenariusze, wysyłał sygnały ostrzegawcze, antycypował zagrożenia?

Gdy postanawia wystawić na zewnątrz całą głowę, o mało go nie wciągam do środka, przekonany, że zaraz zacznie tarzać się z obciętym łbem po naszym namiocie. Odcięte głowy mają jednak plus, myślę, nikt nie krzyczy.

Na szczęście do niczego takiego nie dochodzi, przyjaciel cofa się do namiotu, odwraca do mnie i z uśmiechem oświadcza, że już po burzy.

Wychodzimy na zewnątrz, faktycznie nieco się ochłodziło, jeszcze całkiem mocno wieje, a pomruki burzy przypominają wkurzonego sąsiada, który wraca na swoją posesję, ciągle rzucając jakieś przekleństwa pod nosem.

– Zwijamy się? – pytam.

– Z tym nieprzytomnym gościem? Nie ma szans. Chyba że go zostawimy.

– Bez sensu.

– Nie chcę siedzieć na dupie, mam dziwne przeczucie, że ten rzeźnik nas odnajdzie. Może podrzucił nam jakiś nadajnik GPS.

– Ale musimy poczekać, aż nasz goprowiec się ocknie. Może rozwiążmy go i zostawmy w namiocie, co? – proponuję. – Gdy już dotrzemy do jakiejś cywilizacji, to wezwiemy pomoc i dla niego. Jeśli do tej pory sam się obudzi, to po kłopocie.

– Dobra, tak zrobimy – zgadza się Piotr. – Pakujemy się.

Wyjmujemy z plecaków kurtki, bo zrobiło się dużo chłodniej. Jest jeszcze ciemno, więc także czołówki nadal są niezbędne.

– Co... – rozlega się z namiotu w chwili, gdy już mamy go zasunąć, zostawiając nieszczęśnika w lesie.

– Oho, budzi się – rzucam z radością w głosie.

– Ciekawe, w jakim nastroju.

Zaglądamy do środka, świecąc mu prosto w twarz latarkami. Faktycznie, budzi się, próbuje unieść się na łokciu.

– Ale mnie łeb boli – stęka i opada na plecy.

– Wyciągniemy cię na zewnątrz – oznajmia mu Piter. – Tylko spokojnie, bo mamy twój gaz i chyba nie chcesz dodać do pękającego baniaka wypływających oczu.

– Co się stało? – pyta zmęczonym, bełkotliwym głosem.

Nie protestuje, gdy łapiemy go najpierw za nogi i ciągniemy jak worek po podłodze namiotu, a potem chwytamy pod ramiona i wnosimy na zewnątrz. Piotr przynosi jego plecak i sadza na nim mężczyznę.

– Dostałeś w głowę, ale chyba nie za mocno – informuje go.

– To wiele tłumaczy.

– Przepraszam, ale myśleliśmy, że jesteś tym maniakiem ze schroniska – wyznaję.

– A ja myślałem, że jesteś naćpany, dlatego potraktowałem cię gazem – odpiera.

– Czyli motywacje mamy wyjaśnione – kwituje Piter.

– A to? – Iwan Sanguszko podnosi skrępowane dłonie do góry.

– A tak, to... – Piter drapie się po czole. – Jak obiecasz, że będziesz grzeczny, to cię uwolnimy.

– Jak znam życie, to mnie przeszukaliście, więc chyba już wiecie, że nie mam niczego, co czyniłoby mnie groźnym.

– Racja – zgadzam się. – A pomożesz nam?

– W czym? – pyta Iwan, gdy Piotr zdejmuje mu paski z nadgarstków.

– Musimy się stąd wydostać, wezwać pomoc – wyjaśniam. – Możliwe, że jeden z naszych przyjaciół wciąż żyje.

– Czyli ta cała wasza opowieść ze schroniskiem to prawda? – upewnia się, rozmasowując dłonie.

– Niestety – przytakuję. – Artur nie żyje, spalił się podczas pożaru. Nie wiemy co z Damianem, ale raczej też po nim. No i schronisko spaliło się do gołej ziemi.

– Najgorsze, że ten maniak może nadal nas szukać – dodaje Piter.

– Czym mu podpadliście?

– Niczym – odpowiadam, rozkładając ręce. – Może myśli, że go widzieliśmy, w schronisku, i chce się nas pozbyć.

– Jesteśmy normalnymi, szarymi ludźmi – mówi Piter. – Michał pracuje w banku, ja w służbie cywilnej wojska. Artur robił przy imprezach, Damian przy grach komputerowych. Żaden z nas nie był notowany, nie mamy kochanek, mrocznej przeszłości. Żadnego punktu zaczepienia.

– Rozumiem. – Iwan wstaje, trzymając się cały czas drzewa. – Kręci mi się w głowie.

– Przejdzie.

Piter zrzuca swój plecak, wyjmuje apteczkę, a z niej ibuprofen. Podaje mężczyźnie dwie tabletki i małą butelkę wody. Ten przyjmuje

pomoc z wdzięcznością.

– Czyli do schroniska nie ma po co iść, tak? – pyta.

– Stanowczo odradzam – rzuca Piter.

– Najszybciej będzie wrócić do cmentarza i stamtąd na zachód, do Przełęczy Małastowskiej. Łatwa, równa droga.

– Zaprowadzisz nas? – pytam tonem prośby.

– Chyba nie mam wyjścia. Idziemy.

– Dziękuję.

Składamy namiot, przeczesujemy latarkami teren, sprawdzając, czy nie zostały jakieś elementy ekwipunku, a ja ostatni raz przepłukuję oczy, zamykam pojemnik z solą fizjologiczną i chowam do plecaka. Oczy prawie już nie pieką, ale gdy zamknąłem je na dłużej, nadal łzawiły.

Schodzimy ponownie na ścieżkę i ruszamy w kierunku cmentarza. Noc jest jeszcze ciemna, do świtu zostały jakieś dwie godziny.

Nasz przewodnik nie zadaje pytań, prowadzi nas równym tempem, trochę wolniejszym niż narzucane poprzednio przez Piotra, dodatkowo co jakiś czas zatrzymuje się i łapie oddech.

– Wybaczcie, ale wciąż kręci mi się w głowie i trochę mnie mdli.

– To może być wstrząs mózgu – mówi ze skruchą Piter. – Powinno niedługo przejść. Napij się wody, możemy też urządzić krótki postój, ale może obok szlaku.

– Myślicie, że was goni?

– Ma elektrycznego quada – informuję. – Może przemieszczać się cicho, szybko i na duże odległości.

– Aha. To nieciekawie. Rozumiem, że idąc z wami, też jestem celem?

– Najpewniej – potwierdza Piter.

– Chwila. – Iwan podnosi rękę do góry, po czym skręca ze ścieżki w prawo, odchodzi kilka metrów i pada na kolana. Dobiaża nas odgłos

jasno świadczący o tym, że mdłości przybrały na sile.

Po chwili wstaje, podchodzi do nas, wyjmując butelkę z wodą i przemywa twarz.

– To chyba faktycznie wstrząs mózgu – stwierdza. – Kręci mi się w głowie i strasznie jestem zmęczony.

– Objawy ustępują zazwyczaj dość szybko – mówi Piter. – Nawet po piętnastu minutach.

– Oby. Dajcie złapać oddech. – Siada na swoim plecaku.

Stoimy przez kilka minut, praktycznie nie zamieniając ani słowa. W końcu Iwan dźwiga się z głośnym stęknieniem i ruszamy dalej.

Po jakichś trzydziestu minutach wędrówki, niezbyt szybkiej i przerywanej krótkimi postojami, docieramy do cmentarza. Prawdę mówiąc, w nocy można go było po prostu minąć, nie zauważywszy, że przechodzi się przez jakieś szczególne miejsce.

– Wybaczcie, muszę chwilę odetchnąć – oznajmia słabym głosem goprowiec. – Odpocznijmy tam, pod tą górką, nie będzie nas widać z głównej drogi, nawet jakby ktoś szedł z latarką.

Siadamy we wskazanym miejscu, znajdującym się dokładnie pod malutkim wzniesieniem. Piter wyjaśnia, że na cmentarzu wybierano najczęściej takie miejsca, aby były nieco osłonięte, by ich nie zalewało i, nie zasypywało śniegiem.

– Daleko stąd mamy? – pytam.

– Nie, jakieś półtorej godziny równego marszu – odpowiada Iwan. – Czyli w naszym przypadku będzie ze dwie, bo ja mogę nie dać rady przejść tego na raz.

– Nabierz sił – uspokaja go Piter. – Nam też ta przygoda dała w dupę. Może coś zjesz?

– Nie – odpowiada krótko i dźwiga się. – Ale za to będę rzygał.

Odchodzi za górkę i już po chwili docierają do nas znajome i dość nieprzyjemne odgłosy.

Wpatruję się w jaśniejącą noc. Jeszcze tylko kilka godzin i koniec koszmaru. Obraz przed oczami jest naprawdę przyjemny. Burzy już niemal nie słysząc, gdzieś w oddali ciche pomruki, całkowicie niegroźne. Cienki księżyc i gwiazdy na niebie, coraz bledsze niebo, z ziemi podnosi się mgła, sięgająca nam teraz do kolan. Robi się coraz gęstsza i w sumie dobrze, że nie widzę stąd nagrobków, bo klimat byłby jak z horroru. Zresztą, czy ja będę się kiedykolwiek bał jakichś cmentarzy czy innych duchów? Po tym, co przeszedłem?

Cisza. Błoga cisza.

Właśnie, nie słyszę rzygania Iwana. Może znowu stracił przytomność?

Spoglądam na Pitera, ale ten chyba drzemie. Nie zdjął plecaka, tylko wykorzystał go jako naturalne opacie. No tak, to nie jest komandos, tylko zwyczajny pracownik biurowy, zmęczenie też go dopadło.

Wstaję, włączam latarkę i zaczynam wspinać się na górkę.

– Iwan? – wołam szeptem.

Bez sensu, jak mógłby mnie usłyszeć? Wchodzę na górę, wyglądam znad jej szczytu i w tym momencie moje oczy znowu płoną żywym ogniem.

Dostałem gazem prosto w zaciekawioną gębę.

Krzyczę odruchowo, łapię się za twarz, po czym czuję uderzenie w brzuch i lecę do tyłu.

– Pierdolone ćpuny – słyszę jeszcze, zanim zaczynam staczać się po trawie w stronę naszego tymczasowego obozowiska.

Staczam się coraz szybciej po niedużym stoku i wpadam prosto na mojego przyjaciela.

– Co jest?! – krzyczy Piter.

– Goprowiec! – wrzeszczę. – Znowu dał mi gazem.

– Zajebię skurwysyna!! – ryczy Piter i słyszę, jak biegnie, a po chwili jego ciężkie kroki cichną.

– Zostań!

Nie posłuchał.

Nie trzeć oczu. Najważniejsze. Obecnie pali jak cholera, ale ze świeżo nabytego doświadczenia wiem, co robić. Po omacku odnajduję plecak, mając nadzieję, że swój. Sięgam do kieszeni i trafiam na butelkę z solą fizjologiczną. Na szczęście udało się od razu, gdyby to nie był mój plecak, nie wiem, czy bym miał siłę namierzyć kolejny.

Powtarzam proces przemywania oczu, bluzgając pod nosem co niemiara, przeklinając własną głupotę i parszywy los. Czuję się bezbronny jak szczeniak, w dodatku ślepy i zostawiony na pastwę mordercy.

Mrugam intensywnie, starając się między zamknięciem a otwarciem powiek rozglądać dookoła; lustruję okolicę, jakbym widział kolejne klatki filmu, na szczęście statyczne, nie ma na nich żadnego mordercy, goprowca, ale też i Pitera.

Nie wiem, ile to trwa, może pięć, a może i dziesięć minut, ale odzyskuję wzrok. Czuję się, jakby poprzedni pieprz wrócił i zaatakował ze zdwojoną mocą. Cholerny wynalazek.

Gdy mogę już otworzyć oczy na dłużej niż kilka sekund, omiatam wzrokiem przestrzeń dookoła. Albo to moje podrażnione oczy mocniej reagują na światło, albo też świt nadchodzi wielkimi krokami. Mgła się podniosła i teraz, gdy siedzę, sięga mi niemal do szyi.

Gdzie jest Piter? Pobiegł za tym dupkiem? Po co? Jakże to ma teraz znaczenie?

A może ten goprowiec był w zмовie z mordercą? Przecież mogli działać wspólnie, dlaczego by nie? Mniejsza o motywy, nie czas na to, ale mogliśmy sami wpaść w ich sidła. Poszliśmy jak owce na rzeź.

Wstaję, przesuwam promieniem latarki dookoła, ale nie ma żadnego śladu po Iwanie albo Piterze.

Jestem zupełnie sam.

Zaczynam sprawdzać teren stopą w poszukiwaniu plecaka Piotra. Nie znajduję go, za to moja noga natrafiła na coś innego. Schylam się i łapię za kij, którym cały czas pomagał sobie Piter. Przyda się, to jasna sprawa.

Spoglądam w stronę cmentarza, widać go już doskonale, chociaż płyty nagrobne toną w snującej się nad ziemią mgle.

Chyba wiem, w którym mam iść kierunku. A może jednak poczekać na Piotra?

Jebać to!

– Piter! – krzyczę.

Walić konspirację, narobiliśmy już tyle hałasu, że nie ma sensu się chować.

Niestety, odpowiada mi jedynie cisza i to dokładnie tak, jak ma w swoim zwyczaju. Czyli olewczó.

Nagle słyszę coś na szczycie tej górki, gdzie wcześniej dostałem po oczach. Jakby tupanie, ale za słabe na dorosłego człowieka.

Odwracam się w tamtym kierunku, jednak nikogo nie widać. Tylko mgła porusza się delikatnie, jakby w moim kierunku zbiegał po stoku jakiś zwierzak, za mały, abym go zobaczył w tej mgle, ale na tyle duży, aby ją zmać.

Patrzę uważnie w jego kierunku, snop światła z latarki śledzi jego poczynania niczym szperacz polujący na samolot na nocnym niebie. Co jakiś czas widzę malutki błysk, jakby światło odbijało się od jego ślepi. W końcu to coś zatrzymuje się pod moimi stopami.

Spoglądam w dół, światło latarki przedziera się przez mgłę. Widzę, ale nie wierzę.

Jak zahipnotyzowany schylam się, łapię za miękką sierść i unoszę moją zdobycz do góry.

Oczy Pitera wpatrują się we mnie z niemym wyrzutem, że przerwałem mu drzemkę. Z szyi skapuje krew, powoli, nieśpiesznie i cicho, kolejne krople wpadają w mlecznobiałą mgłę.

Mój mózg może i jakoś jeszcze wytrzymuje tę sytuację, ale nie żołądek. Upuszczam głowę i padam na kolana, jednak szarpią mną jedynie suche torsje.

Wstaję, cofam się o kilka kroków i ze zdziwieniem zauważam, że nie wypuściłem z rąk kija należącego do Pitera.

Nagle nad cmentarzem rozbrzmiewa śpiew ptaków, głośny i już dobrze mi znany. Cholerne głośniki, które organizator tego feralnego wypadu pomontował na drzewach wyrzucają w sierpniowy poranek ptasi koncert. Ten drań bawi się ze mną, igra.

– Teraz to ja ciebie zajebię! – krzyczę.

Jest mi wszystko jedno, serio, coś pękło, skończyło się, granice zostały przekroczone. Tak właśnie z ludzi robi się bezlitosne bestie – zwyczajni mężczyźni na wojnie po pierwszych okropieństwach tracili człowieczeństwo i sami stawali się oprawcami lub po prostu wyzbywali się wszelkich ludzkich odruchów. Profesorowie mordowali jeńców, muzycy zaganiali do komór gazowych, urzędnicy rozstrzeliwali cywili. Ja natomiast byłbym teraz w stanie zatłuc kijem na śmierć każdego, kogo zobaczę.

Wbiegam na górkę i ruszam w stronę lasu odległego o jakieś dwadzieścia metrów. Oddycham ciężko, zaciskam usta, a po chwili szczerzę zęby jak agresywny pies. Chcę mordować. Zdziwiająca, bo z każdym krokiem ta chęć nie ulatuje, tylko jeszcze się wzmacza. Kopię ze złością nisko wiszącą mgłę, zaciskam dłonie na kiju i wypatruję przeciwnika.

Nagle widzę błysk w lesie, tuż naprzeciw mnie. Nie, nie był to zwyczajny błysk, który można pomylić z czymkolwiek i zastanawiać się, czy nie przywidzenie. Oczy wciąż mnie zresztą pieką, co chwilę muszę ocierać łzy i mrugać, aby poprawić ostrość.

Te błyski pojawiają się dokładnie wtedy, gdy kieruję na nie światło latarki. To nie błyski, to odblaski! Odblaski przy plecaku.

– Zabiję – syczę przez zaciśnięte zęby.

Jestem pewien, że to zrobię.

Podchodzę bliżej, spodziewając się znaleźć porzucony w krzakach plecak Piotra, nieco zachlapany krwią, to fakt, bo przecież przy ucinaniu głowy trochę się jej rozchlapuje. Umówmy się, mordowanie to nie jest czysta robota, człowiek musi się ubrudzić.

Docieram do miejsca, skąd odbija się światło latarki. Od razu spodziewam się znaleźć plecak Pitera. I znajduję. Razem z właścicielem.

Przeżywam jednak wstrząs. Dlaczego? Sam nie wiem, przecież przed chwilą przy moich stopach wylądowała jego głowa, więc musiał być trupem, jasna sprawa, ale dlaczego nie mógł nim być gdzieś daleko stąd, tylko właśnie tutaj, w tym lesie, w tych krzakach? Wiedziałem, że reszta mojego przyjaciela raczej nie hasa sobie gdzieś radośnie po lesie.

I nie hasała.

Ciało mojego przyjaciela, jeszcze kwadrans temu drzemiącego spokojnie przy mnie, zwisa z gałęzi niedużego drzewa. Za wieszak i stelaż jednocześnie robi jego plecak zaczepiony o poprzeczny konar.

Chciałbym powiedzieć, że zwisa głową w dół, ale przecież głowy już nie ma. Ta leży sobie niedaleko i próbuje przebić wzorkiem gęstą mgłę. Pozostał tylko smętny kikut, z którego nadal kapie krew. Ręce niemal dotykają ziemi, przez co skojarzyły mi się ze świeżo wywieszonym praniem.

Podchodzę bliżej, podskórnie czując, że co mogłem, to już w życiu na widok zwłok wyrzygałem. Napatrzyłeś się Michałku, oj napatrzyłeś, naoglądałeś okropieństw, nie ma co. Nic ci już niestraszne.

Jednak mogłem nie podchodzić, bo jak się okazało, nie wszystko jeszcze widziałem, sporo było przede mną.

Choćby rozpruty brzuch przyjaciela, z którego wypłynęły flaki i teraz w śliskim nieładzie spoczywają pod jego trupem. Akurat tutaj mgły nie było, ten obrazek nie został mi litościwie oszczędzony. Kałuża lśniących, parujących wnętrzności, jak przerośnięta ośmiornica, która na chwilę przycupnęła pod drzewem, może bojąc się mgły, a może postanowiła odpocząć.

Jak na taki widok można zareagować?

Ogarnia mnie ciemność, a nogi tracą stabilność. Ziemia ucieka.

37. Szpital

Czy doktorka poruszyły opisywane przeze mnie sceny? Kiedyś słyszałem, że lekarz od czubków też musi brać udział w sekcji zwłok, zatem pewnie się napatrzył. Co to dla niego – opis zwisającego z gałęzi ciała z wyprutymi flakami układającymi się na trawie w zgrabną ośmiornicę? Nie znał właściciela tych jelit – gdyby znał, to co innego.

– Panie doktorze, myśli pan, że go bolało? – pytam.

– Tego nie da się stwierdzić bez autopsji – odpowiada.

Aha, czyli nie zna wyników sekcji zwłok, nie jest wtajemniczony. Dali mu proste zadanie: zbadaj tego gościa, który wynurzył się z lasu w pokrwawionym ubraniu, zobacz, co mu tam siedzi pod kopułą, pewnie same nieciekawe rzeczy. Napatrzył się w tym lesie, normalnemu człowiekowi odkleiłoby się to i owo, a facet wygląda raczej na przeciętniaka.

– Czy ja jestem normalny? – pytam i patrzę doktorkowi prosto w oczy.

– Panie Michale, nie jesteśmy tutaj, aby oceniać pana stan psychiczny, ale żeby zrozumieć co się tam wydarzyło. Jest to niezbędne, aby mógł pan dalej funkcjonować w społeczeństwie.

– Czyli żyć? – pytam, bo zbyt długie słowa ostatnio bardzo mnie męczą.

– Tak, dokładnie.

– Wziąć ślub.

– Jeśli tylko ma pan taki w planach.

– Mam – mówię z uśmiechem. – Ale właśnie, moja Madzia, nie odwiedza mnie.

– Na razie to niemożliwe – odpowiada lekarz. – Musi się pan ustabilizować.

– Są na to szanse?

– Robimy postępy. – Uśmiecha się znad notesu. – Pana historia chyba powoli dobiega końca, czyż nie?

– Został jeszcze goprowiec.

– Właśnie. Po śmierci Piotra zostaliście już tylko we dwóch. Pan i ten obcy człowiek. Co się wydarzyło?

– Wie pan co? To jak operacja specjalna.

– Nie rozumiem.

– Na akcje odbicia zakładników, walki z terrorystami nie wysyła się ludzi z ulicy, tylko wyselekcjonowanych, specjalnie wyszkolonych policjantów.

Przy słowie „wyselekcjonowanych” myślę się chyba trzy razy, ale udaje mi się je wreszcie poprawnie sklecić.

– Gdyby zakładników poszli odbijać Kowalski z Nowakiem – ciągnę – to kłapa murowana, katastrofa. Co nie?

– Zgadza się.

– Widzi pan, a ja przeżyłem właśnie coś takiego, jakby mnie z ulicy zabrali na akcję. Więc co się mogło stać, kiedy zostaliśmy we dwóch? Tylko jedno.

Katastrofa.

38. Góry

Środa, 24 sierpnia 2022 roku

Godzina... Nie pamiętam...

Gdzieś w Beskidzie Niskim

Kiedy odzyskuję przytomność, dochodzę do wniosku, że nie leżałem długo, bo nadal jest dość ciemno, świt walczy o swoje prawa, ale wciąż ma sporo do zrobienia. Szkoda, że wraz z tym omdleniem nie spadła na mnie fala zapomnienia, jakaś amnezja. Nic z tych rzeczy, wszystko pamiętam i to aż nazbyt dobrze.

Podnoszę się, pomagając sobie kijem, ale robię wszystko, aby nie spojrzeć w stronę zdekapitowanego i rozprutego przyjaciela. Ktoś tu sobie urządził świniobicie, proszę państwa. Raczej Piotrobicie.

Wciążam powietrze, spodziewając się jakiegoś smrodu rozkładu, ale nic. Rozpruty człowiek nie ma zapachu? Mam niepowtarzalną okazję, żeby podejść i się przekonać, ale skoro nie czuję niczego z takiej odległości, to postanawiam tak to jednak zostawić i do końca życia głosić teorię popartą praktyką, że nie śmierdzi jakoś specjalnie.

Przypuśćmy, że ktoś na przyjęciu zacznie temat rozpruwania ludzi i zapyta, patrząc w moją stronę: „Jak myślisz, Michale, śmierdzi taki rozpruty człowiek, czy też nie?”. Wydmę wargi, pokiwam głową, lekko się zastanawiając, aż w końcu powiem: „Nie śmierdzi, byłem tam, widziałem, wahałem, nic specjalnego, nie śmierdzi”. Oczywiście wypowiem całość z niewymuszoną pewnością człowieka, który zna się na rzeczy. Praktyka.

Dobrze, Michałku, ale żeby brylować w towarzystwie, to musisz pierwszej przeżyć, taka sytuacja. Dasz radę?

Dam.

Wyjmuję z kieszeni spodni butelkę z solą fizjologiczną i przemywam ponownie oczy. Jaka ulga. Opierając się na kosturze, ruszam z powrotem w kierunku miejsca naszego odpoczynku; rozganim światłem latarki słabnącą noc i języki mgły. Nadal czuję się, jakbym brodził po łące pełnej dmuchawców. Zatrzymuję się na górcie i spoglądam w dół.

Zamieram.

Poniżej stoi ten pierdolony goprowiec, Iwan Sanguszko, psia jego mać, i zakłada plecak. Wrócił po swoje rzeczy, bezczelny skurwysyn.

Oho, wychodzi na to, że na przyjęciach, rautach i innych baletach będę mógł towarzysko błyszczeć w kolejnym temacie: jak to jest zatłuc kogoś kijem.

On także mnie zauważył i zastyga w bezruchu, zdradziło mnie oczywiście światło latarki czołówki. Świeciłem przed siebie jak pieprzony pociąg mknący po zamglonym torowisku, ciężko było nie zobaczyć.

– Poczekaj – woła, wyciągając w moim kierunku rękę. – Ja chciałem tylko uciec.

Nie odpowiadam, ten gnój nie zasługuje nawet na jedno moje słowo; ściskam za to mocniej kij. Już mam sięgnąć do głowy i zgasić latarkę, ale nie, chcę wyraźnie widzieć, jak ten bydlak umiera, bo to, że go zajebię, jest pewne. Kurwa, muszę kogoś dzisiaj zabić. Tyle osób zginęło a ja nic, nikogo nawet nie zadrasnąłem. Wszystkim po równo, co nie, demokracja jest!

– Mogę cię jeszcze stąd wyprowadzić – mówi.

Dobrze, że nie wyłączyłem latarki, bo dzięki temu widzę, co ta kupa zdradzieckiego gówna kombinuje. Jego lewa dłoń jest wyciągnięta w moim kierunku, jakby chciał mnie zatrzymać siłą woli, ale prawa... Ta niegrzeczna prawa rączka, ta, którą wypadałoby upierdolić, wędruje

bardzo, ale to bardzo powoli w kierunku kieszeni. Ja dobrze wiem, co tam trzyma, ten jebany gaz pieprzowy.

Nie, trzeci raz nim nie oberwę, nie ma mowy.

Ruszam w jego kierunku pełnym pędem, unosząc kij w górę. Robię to w ciszy, chociaż mam ochotę krzyknąć, ale jak sobie coś obiecuję, a przed chwilą ustaliliśmy, że nigdy się do niego nie odezwę, to dotrzymuję obietnicy.

Rzuca się do ucieczki, chociaż byłem pewny, że jednak sięgnie po gaz i spróbuje mnie ponownie oślepić. Spanikował.

Plecak zdążył założyć tylko na jedno ramię, więc musi mu cholernie przeszkadzać, bo ani zrzucić na ziemię – to zajmie czas – ani zarzucić na plecy. Kolejną rzeczą działającą na jego niekorzyść jest fakt, że ja startowałem z górki, więc byłem rozpędzony. Co prawda, on walczy o życie, ale w sumie ja też, tyle że o jego życie. Uczciwy biznes, musicie przyznać.

Nie jestem długodystansowcem, uważam, że bieganie człowiekowi uwłacza, zawsze śmiałem się, że nawet w grach komputerowych wybieram postacie siedzące lub leżące, bo sam widok biegacza mnie męczy. Goprowiec pewnie by mi uciekł, ale popełnił jeden kardynalny błąd.

Jak już wcześniej objaśniał mi Piter: jeśli uciekasz, to nigdy, ale to przenigdy nie odwracaj się, aby zobaczyć, jak daleko jest ścigający. Po prostu biegnij i skup się na jak najszybszym przebieraniu nogami, oto nauczka wyniesiona z dzisiejszej nocy. Tymczasem frajer nagle się odwraca. Owszem, widzi bardzo wkurwionego gościa z konarem w dłoni i żądzą mordy w oczach, ale czy mu to w czymś pomoże? Nie, za to nie dostrzega na czas pierwszego nagrobka na cmentarzu, na który wpada z impetem, traci równowagę i pada.

Natychmiast próbuje się podnieść, to zrozumiałe, doceniam, instynkt zadziałał, ale celny cios kijem w plecy studzi jego zapał. Pada

ponownie. Pierwszy cios został wymierzony tak, żeby częściowo oparł się na plecaku, wiecie, nigdy nikogo nie katowałem, więc jakoś musiałem się przemóc. Ale w sumie poszło z górki.

Uderzam jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Tym razem szukam odkrytego ciała, a to głowa, a to kark są i żebra, coś łupnęło, coś trachnęło.

Zaczyna stękać z bólu i krzyczeć, coś jakby mieszanka bólu, przekleństw i błagań litości.

Czy to podziałało? Nie wiem, ale złość ze mnie ustępuje. Nie jestem przecież mordercą, co to to nie. Jednak wszystko zmierza w dobrym kierunku, abym ostatecznie nim został. Oto noc pełna pierwszych razów! Pierwszy trup zobaczony na własne oczy, premierowa ucieczka z pożaru i dziewicze spotkanie z szaleńcem mordującym moich przyjaciół.

Ale nie, nie mordowanie.

Przestaję. Zdyszany opieram się na kij i patrzę na wijącą się u moich stóp postać. Zostałem panem życia i śmierci, mógłbym dziada zatłuc tutaj i teraz i nikt by nawet nie wiedział. Ba, miałem nawet do tego moralne prawo, przecież to przez tego dupka rozdzieliliśmy się, a potem ludzie zaczęli tracić życie.

Podnosi się na czworaki, a potem ostrożnie wstaje, cały czas na mnie patrząc. Z twarzy cieknie mu krew, złamałem mu chyba nos i wyrządziłem kilka większych i mniejszych szkód. Trudno, niech się cieszy, że żyje.

Szłocha.

I wtedy zauważam w jego dłoni pojemnik z gazem pieprzowym.

– Ty skurwysynu – rzucam i dociera do mnie, że odezwałem się do niego, a tym samym złamałem swoje przyrzeczenie.

Zły na siebie i cały świat zamierzam się kijem, a on cofa się o krok. Traci równowagę i leci na plecy, a upadając, wali głową o kamienna

płyte nad bezimienną mogiłą.

Do puszczonego z nagrania śpiewu ptaków wdziera się puste łupnięcie.

Goprowiec nieruchomieje.

Nie rusza mnie to. Widocznie tak miało być. Wychodzi na to, że ta sierpniowa noc, to czas żniw, noc umierania, skoku w statystykach śmiertelności podczas wycieczek górskich i wieczorów kawalerskich jednocześnie.

Szturcham zwłoki kijem, ale bez efektu.

Wyjmuję z kieszeni butelkę z solą fizjologiczną, przemywam oczy, widzę już niemal idealnie. Jakby zrobiło się jaśniej.

Odwracam się i ruszam w stronę... Właśnie, w którą stronę powinienem iść?

Jeśli pójdę za szlakiem, tak jak mieliśmy iść, to on będzie tam czekał.

Jeśli pójdę do schroniska, to jest naturalny kierunek, który obrałbym, chcąc zmylić pogoń. Przecież prędzej czy później dotrą tam służby ratownicze i on będzie mnie tam szukał.

Został trzeci wybór: opuszczony dom. Była tam przecież skrytka z wodą i jedzeniem, mogę posiedzieć w tej chałupie choćby i trzy dni. Tam mnie nie będzie szukał.

Dam radę, mam na tyle sił. Strasznie chce mi się spać, emocje uciekają, zmęczenie dopada, ale muszę dać radę. Przecież za kilka dni mam ślub, muszę wrócić, pójść do fryzjera, mam kupę rzeczy do zrobienia.

Mieliśmy zamówione kwiaty na wystrój sali weselnej. Ciekawe, czy da się zmodyfikować zamówienie i zamiast „Magdalena i Michał” na taśmach napisać „Damian, Artur i Piotr – wieczny odpoczynek racz im dać Panie”. Jedzenia nie będziemy odmawiać, stypa będzie na bogato. Gorzej z kapelą.

Tyle rzeczy do przemyślenia, ale w sumie w sam raz na ucieczkę przed psychopatycznym mordercą.

Dlaczego mnie jeszcze nie dopadł? Jestem przecież sam.

Uzupełniam nawodnienie i ruszam w stronę opuszczonego domu.

39. Szpital

Siedzę spokojnie, żeby nie denerwować pielęgniarza. Jest też drugi powód tego zachowania: nie za bardzo jestem w stanie poukładać w głowie zdarzenia, tak aby udzielić dobrej odpowiedzi. Pewnie przez te leki, którymi mnie faszerują.

– Jakie było pytanie? – rzucam, starając się, aby w tonie nie dało się wyczuć tego myślowego bałaganu.

– Ten przewodnik górski, czy według pana to on był mordercą?

No i tu dochodzimy do pewnego punktu, w którym czekają na mnie rozmaite pułapki, tereny grząskie, bagniska, pachnące nie błotem, lecz więzieniem.

– Tak myślałem wtedy.

– A teraz?

– Teraz też tak myślę – odpowiadam spokojnie.

– Panie Michale, wtedy uważał go pan za mordercę, dlatego go zabił, w samoobronie, jak pan powiedział. Ale teraz nadal się pan boi, ma paranoiczne wręcz podejście do kwestii wyjścia na zewnątrz, nawet okno pana niepokoi. Czego pan się boi?

Właśnie, dobre pytanie, nie to, które postawił mi lekarz, ale to, które zadaję sobie w myślach: jak nie pójść siedzieć za tego goprowca?

– Chciał mnie zabić – odpowiadam. – Bronilem się, dlatego musiałem go...

– Tak?

– Usunąć.

– To czego pan boi się teraz?

– To w górach, to się po prostu nie skończyło – mówię spokojnie. – Zostałem jeszcze ja do zabicia.

– Kto niby miałby to zrobić? Wszyscy uczestnicy nie żyją. Organizatorka wyjazdu? A może był ktoś jeszcze?

– Był.

– Kto?

– Ktoś, kto był schowany za drzewami, od samego początku, od pierwszej minuty.

– Był zatem w zмовie z tym goprowcem?

– On zarażał Śmiercią.

– „Zarażał śmiercią”... – Lekarz notuje coś w swoim zasranym notesie.

Skąd się dostaje takie oprawione w brązową skórę cudenka? Trzeba zdać test na grzeczność?

– A może ten człowiek, którego pan zabił, to on działał w samoobronie? Bał się pana?

– Mnie? – rzucam zdziwiony, co ten doktorek, ocipiał? – Dlaczego miał się mnie bać? Przecież to nie ja jestem mordercą.

Doktorek skrobie coś w notesie.

– Wy myślicie, że to ja wszystkich zamordowałem – mówię w końcu i dociera do mnie, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

Umysł mi się rozjaśnia, kojarzę fakty, zestawiam w głowie kolejne nasze sesje i zadawane pytania, sugestie. Wszystkie zjeżdżają teraz do mojej głowy, jak samochody na parking przed marketem, ustawiają się blisko wejścia, równiutko, tworzą całość.

– Ten przewodnik górski nie był mordercą – mówi lekarz. – Od lat chodził po górach, oprowadzał grupy, pracował w GOPR-ze. Trafił tam przypadkiem, szukał na zlecenie jednego z turystów zagubionego telefonu komórkowego z niesamowicie ważnymi informacjami, słono mu za to zapłacono.

– Aha – odpowiadam, wciąż nie mogąc uwierzyć w ich podejrzenia.

– Panie Michale, co się stało z ciałami przyjaciół, mężczyzny i tej dziewczyny? – pyta lekarz. – Zostawiliście je wszystkie na miejscu?

– No tak – odpowiadam nieco oszołomiony. – Jeszcze myśleliśmy, że poczekamy przy ciele dziewczyny na przyjazd służb, przykryliśmy ją folią, ale wtedy... Zginął Damian.

– Pozostali przyjaciele? Ich ciała zostały w lesie?

– Tak. Co ja miałem zrobić? Pochować ich? Damiana zaciągnął w las, było mnóstwo krwi. Piotr został rozpruty jak świnia i zwisał z gałęzi. Artur spalił się jak skwarek. Goprowca... To pan wie, zabiłem. Ciało zostało tam na miejscu.

– Czyli gdzie?

– Nie pamiętam, nie znam tych gór, potem szedłem po prostu za ścieżką, aż natknąłem się na ratowników.

– Panie Michale, jest pan pewien, że zamordował tego mężczyznę?

– Tak, nie żyje, zabiłem go. Przecież się przyznałem.

– Jest taki problem, że nie znaleziono jego ciała.

– Nie? Może jakieś zwierzęta go zjadły, Piter słyszał wilka pierwszego dnia.

– Nie, panie Michale. Ten goprowiec zaginął, podobnie jak wszyscy pana przyjaciele. Nie ma śladu po nich, po żadnym z trzech towarzyszy pana wyprawy. Podobnie jak po dziewczynie i jej ochroniarzu.

Patrzę się na tego pacana i nie wierzę. To niemożliwe. Co on pieprzy? A raczej: co on pierdoli?

– Nie znaleziono ani jednego ciała. Żadnych narzędzi zbrodni czy śladów krwi. Zupełnie nic. Jak pan to wytłumaczy?

– A schronisko?

– Faktycznie, spłonęło. Jednak nie było wspomnianych przez pana ciał.

– Garaż też spłonął?

– Tak.

– To...

– Niemożliwe, tak?

– Tak. Przecież ten goprowiec, on zginął, ja sam... Po co miałbym się przyznawać, zabiłem go, nawet dwa razy.

– Dwa razy? – pyta, zdziwiony, unosząc brew.

Z chęcią wziąłbym gwóźdź, nawet ten zardzewiały z grobu i przybił mu tę brew na stałe i by taki chodził po ulicach, pan ładny i zdziwiony.

– Tak, dwa. To niemożliwe.

– Ma pan rację, to niemożliwe – stwierdza lekarz, po czym wstaje i daje znak pielęgniarzowi, aby mnie wyprowadził z sali.

Niemożliwe.

40. Góry

Środa, 24 sierpnia 2022 roku

Ranek

Gdzieś w Beskidzie Niskim

Dlaczego mnie nie zabił? Przecież musiał obserwować moje zmagania z goprowcem, mógł spokojnie wyjść z tej romantycznej mieszanki mgły i ciemności, trzymając w dłoni zakrwawiony nóż, a potem powolnym krokiem ruszyć w moją stronę. Dla podkreślenia efektu w lewej dłoni mógł trzymać głowę Piotra.

Stałbym pewnie jak sparaliżowany i dał się spokojnie zaszlachtować. Padłbym na kolana i czekał na wyrok.

Czy spjrzałbym mu w twarz? Nie, nic by to nie dało, nie poznałbym personaliów naszego oprawcy, bo najpewniej nosi maskę. Tak, we wszystkich horrorach ci maniacy zasłaniają twarz straszliwą maską, ewentualnie mają gęby zdeformowane wskutek promieniowania albo chowu wsobnego.

Ale to było jakiś kwadrans temu, miał swoją szansę, teraz emocje mnie opuszczają i wraca zdrowy rozsądek.

Plan jest taki: dotrzeć do domu, znaleźć skrytkę znajdującą się obok niego, a potem jakoś dostać się do środka. Kod na szczęście pamiętam, dzięki ci, Arturo, za takie głupie skojarzenie, dziękuję papieżowi, że zmarł dokładnie o tej godzinie. W domu trzeba by się przespać, a potem wyglądać jakichś służb, od których zaroi się w lesie. No nie czarujmy się, przecież jak trafią do spalonego schroniska, to zobaczą upieczonego Artura i dwa trupy w garażu. Po drodze powinni natknąć się na trupa goprowca, to wstrząśnie lokalnymi służbami.

Ile szło się z domu na cmentarz? Z godzinę? Dam radę. Czas szybko zleci, bo mam sporo w głowie do ustalenia względem wesela.

Kwestia pierwsza, to czy można połączyć taką radosną uroczystość ze stypą? Chłopaki pewnie nie mieliby nic przeciwko, opowiadalibyśmy sobie o tym do końca życia. A pamiętacie to wesele Michała, gdzie był nawet pogrzeb? Tak by mówili. Cztery pogrzeby i wesele! Ale jaja.

Ktoś z was, kto właśnie postanowił policzyć trupy, mógł zwrócić uwagę na małą rozbieżność, że ofiar mamy dopiero trzy, a ja tu pieprzę o czwartym pogrzebie. No jeszcze ja, co nie?

Poznaję drogę, wyłania się ze świtu i pamiętam poszczególne zakręty, stare pochylone drzewo i tak dalej. Dodaje mi to otuchy. Wreszcie coś znajomego i niegroźnego, bo stare drzewo nie upitoli ci głowy.

Kwestia druga, jeśli chodzi o wesele, to o ile nakryć na stole zmniejsza nam się liczba gości. Zapowiadali się z osobami towarzyszącymi? Nie pamiętam, Magda się tym zajmowała. Powinna mieć to w notatkach, a to ważna rzecz, bo knajpa liczy za każdego gościa jak za zboże.

Dostrzegam budynek, do którego zmierzam z taką determinacją, i przeraża mnie, że po raz pierwszy jestem sam. Mogłem sobie zabrać tego goprowca i poganiać go kijem, zawsze to raźniej.

Swoją drogą, to już minęła godzina? Ale ten czas leci. O, stolik, przy którym jedliśmy posiłek i piwniczne okienko ze skrytką.

Kwestia trzecia to co z przemową świadka? Artur miał gadane i byłem pewny, że przygotuje zacy pierwszy toast. Właśnie, chyba muszę poszukać kogoś nowego do tej roli.

Kłękam przed skrytką, z plecaka wydaję swój pakiet, w którym miałem kod. Wbijam go w ukryty wyświetlacz, okienko się otwiera i wyciągam z niego plastikową skrzynkę.

– Pięknie – komentuję na głos. – Wszystko zgodnie z planem.

W skrytce znajduję batony białkowe, napój energetyczny, suszoną wołowinę, koc termiczny i... dwie spięte gumką pięćdziesiątki Jacka Danielsa! Do czarnych buteleczek jest doczepiona żółta karteczka z odręcznym pismem: „Na szczęśliwe życie składają się małe szczęścia – Artur”.

Wzruszam się do łez, serio. Kochany Arturek, jak go tu nie kochać, kim go zastąpić, no nie da się, niemożliwe.

– Twoje zdrowie, brachu – wznoszę toast, po czym odkręcam jedną z flaszek i wypijam duszkiem.

Gorzki trunek rozbudza mnie, wygania gdzieś zmęczenie, rozlewa się klonowym posmakiem po całym ciele. Robi mi się nawet trochę błogo, spoglądam przy okazji na swoje dłonie, z zaskoczeniem notując fakt, że są zakrwawione. Od czego? Od kija czy głowy Pitera?

Pocieram je, ale nic to nie daje, może w chacie znajdę jakąś umywalkę czy miednicę.

Otwieram drugą buteleczkę, wącham i wznoszę nad głowę.

– Wasze zdrowie, panowie. Umierać z wami to był zaszczyt.

Wypijam znowu duszkiem z rozkoszą człowieka, któremu się taki drink po prostu od życia należy.

Sięgam znowu do skrytki i wyjmuję pięciolitrową bańkę z wodą. Napełniam dwa bidony, butelkę z filtrem węglowym, a potem postanawiam umyć ręce.

A może jednak nie tutaj? Lepiej wejść do środka, zatrzaskać drzwi i dopiero oddać się toalecie? I przespać się? Poprzednia noc była krótka, nasączona alkoholem, przzerwana incydentami. Całkowicie nieprzespana.

Zamykam skrytkę, zarzucam plecak i łapię bańkę z wodą za uchwyt, ruszając w stronę drzwi. Wyglądam najpierw ostrożnie zza węgła, ale teren jest czysty.

Podchodzę do drzwi i po raz kolejny tego dnia witam małą niespodziankę od losu. Panel, w który wklepywało się kod wejścia, jest rozwalony. I żeby była jasność, to nie tak po prostu wskutek działania wandalii, o nie. W jego środek ktoś – i zapewne doskonale wiecie kto – wbił zakrwawiony tasak, ten sam, który Damian zabrał z kuchni jako broń zaczepno-obronną. Cyferblat też jest umazany krwią. Tasak tkwi dumnie i ponuro zarazem w mojej przepustce do schronienia i zmienia wiele, ale to bardzo wiele rzeczy.

Nie jestem tu sam. Nie jestem bezpieczny. Nie wiem, co robić. No i najważniejsze: on jeszcze nie skończył swojego dzieła.

Nie, nie rzucam się z krzykiem do uciezki, nie zaczynam panicznie szlochać, po prostu wzdycham z rezygnacją. Naciskam kłamkę, ale drzwi są zamknięte.

On tu jest. Wiedział, dokąd idę, wyprzedził mnie i zrobił psikus. Polował na mnie, pewnie uśmiechał się gdzieś zza krzaka i planował ostatecznie uderzenie. Nie zostało mu zbyt dużo czasu.

Mnie natomiast zaczyna brakować sił, tak zupełnie po ludzku. Czuję ciepło w żołądku, to chyba drobna porcja whiskey zaczyna działać, jednak to sztuczne wspomaganie nie wystarczy na długo.

– Zaczynasz mnie coraz bardziej wkurwiać – mówię na głos.

Odstawiam bańkę z wodą i unoszę kostur, ten również był nieco zakrwawiony na końcu, zupełnie jak moje dłonie, z tym że te ślady pochodziły akurat z gęby goprowca.

– Okej, jak chcesz – rzucam.

Wracam na ścieżkę i ruszam w stronę naszego noclegu pod namiotami. Za pierwszym zakrętem, gdy tylko dom zniknął mi z oczu, wchodzę pomiędzy drzewa i podbiegam kawałek, na tyle daleko, aby jeszcze widzieć drogę. Przykucam.

Jest już widno, więc widzę doskonale całą ścieżkę, po której za chwilę przejeżdża moim tropem quad, cichy, bezszelestny. Kierowca ma

na sobie ciemny strój, może nawet moro, nie wiem, trudno stąd dostrzec. Nie czekam, nie miał prawa mnie zobaczyć ani usłyszeć, nie z tej odległości.

Ruszam lasem w przeciwnym kierunku, do cmentarza, a stamtąd pójdę w stronę ratunku. Ten pomysł z domem był głupi, powiedzmy to sobie szczerze. Oddalałem się tylko od możliwego wybawienia.

Po kilkuset metrach wychodzę na szlak, który tak niedawno przemierzyłem w przeciwnym kierunku. Ruszam, odwracając się co dziesięć kroków, aby sprawdzić, czy on za mną nie jedzie. Gdy tylko teren po lewej lub prawej to umożliwia, schodzę ze ścieżki i idę wzdłuż głównej drogi.

To nawet niezła zabawa, taki trochę „chowany” z tym dupkiem mordercą. Przechytrzę go? Muszę. W innym przypadku kto opowie naszą historię? Nie, kochani, ktoś wam to wszystko musiał przekazać, taka piękna i tragiczna historia nie mogła po prostu zniknąć. Iluż zamordowanych mogłoby opisać piękne historie, gdyby przeżyli.

– Już niedaleko – mówię na głos, widząc znajomy teren. Za wzniesieniem znajduje się cmentarz.

Postanawiam obejść go od drugiej strony, innej niż ta z bezgłowym trupem mojego przyjaciela, jego głową i martwym goprowcem. Te atrakcje już wycieczka widziała, po cholere prowadzić ją tam po raz drugi.

Ostrożnie przekraczam szlak wiodący do opuszczonego domu, potem ten zmierny do schroniska i malutkim wzniesieniem, z którego miałem piękny widok na cmentarzyk, flankuję miejsce zbrodni. Podwójnej, nie zapomnijmy dodać.

Mgła ustąpiła, słońce prześwieca przez korony drzew, malując magiczne pocztówki. Staram się zapamiętać to miejsce, bo nie wrócę tu nigdy w życiu, daję głowę! Klnę się na mych przyjaciół!

Goprowiec. Dostrzegam go; nie leży grzecznie tam, gdzie zginął, o nie. Czołga się, jebaniutki, w jakimś tylko sobie znanym kierunku, tam gdzie właśnie zmierzają żywe trupy. Co za swołocz.

To był impuls. A może jednak dobrze przemyślana decyzja, wychodząca wprost z trzewi? Ten gnój też był winien tego wszystkiego. *Oskarżam cię w imieniu Rzeczypospolitej o to, że przez ciebie zginął Piter, mój przyjaciel, stracił głowę, skurwysynu!* Tak właśnie go oskarżam w ciasnej sali sądowej znajdującej się w mojej głowie, a ten najzwyczajniej w świecie spieprza z miejsca zbrodni!

Nie!

Tak być nie może i tak nie będzie!

Zbiegam z górki i ruszam w jego kierunku; łatwo go dogonić, tempo ma ślimacze.

Przedstawia sobą opłakany widok, cały zakrwawiony, umazany juchą i ziemią, zasmarkany, jęczący. Jak wspomniałem: żywy trup.

– A pan szanowny dokąd się wybiera, co?

Nie słyszy mnie, nie reaguje. Pełźnie w tym swoim ślimaczym tempie, mając zapewne jakiś cel, jakieś tam marzenia, plany na przyszłość.

– To bardzo nieładnie tak umierać, a potem ożywać – mówię tonem, który, mam nadzieję, raczej mu się nie podoba.

Jednak gad nic sobie z tego nie robi, czołga się dalej swoją trasą, jakby świata nie było.

– Bardzo nieładnie jest umrzeć, a potem ożyć, szczególnie na tych ziemiach. Niebezpiecznie nawet.

Nadeptuję mu na dłoń. Upada. No, nareszcie coś do niego dotarło. Przewracam go na plecy. Zakrwawiona twarz, mocno podrapana, załzawione, patrzące niewidzącym wzrokiem oczy.

Możecie nie wierzyć w przypadki, ale jego ucieczka zakończyła się dokładnie w miejscu, w którym Artur rozgrzebywał mogiłę.

– Wiesz, co w Beskidzie robi się z takimi, co to umierają i ożywają?
– pytam grzecznie.

Pokazuję mu palec i uderzam się nim w czoło, dokładnie tak, jak zrobiła to martwa Oczka na naszym biwaku.

Nagle czuję uderzenie w nogi i upadam, a ten dupek zaczyna się gramolić, próbując wstać. Miał jednak siłę? Może jednak zobaczył, że zbliża się jego definitywny koniec i wykrzesał z siebie ostatnią porcję mocy? Kto wie.

W każdym razie moje położenie jest nieciekawe, tym bardziej iż cały czas ściska w dłoni ten pieprzony gaz pieprzowy.

No to mnie wkurwił teraz!

Nie wstaję, robię dokładnie to samo, co on: podcinam go i pada jak długi, tyle że na mnie! I nie jest to bezwładne zwalenie się z nóg, tylko w miarę celowany atak. Łapie mnie za szyję, ale kurczowo trzymając gaz, na szczęście nie może zacisnąć porządnego chwytu. Chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, że cały czas ma puszkę w dłoni.

Opatrzność tym razem czuwa nade mną, mam na sobie plecak, więc łatwiej mi przetoczyć się na którąś ze stron, co też robię i już po chwili to ja jestem na górze.

– Ha! – krzyczę triumfalnie.

Walę go pięścią w twarz, ale chyba mnie boli bardziej niż jego. Nigdy nie ćwiczyłem boksu czy jakiegokolwiek sztuki walki, więc nie umiem nawet dać komuś po pysku.

Siedzę na nim okrakiem, a on wierzga i rzuca się, całkiem mocno jak na mój gust, za mocno.

Obok jego głowy dostrzegam coś, co wczoraj napędziło nam takiego stracha.

Zardzewiały gwóźdź do załatwiania wampirów. Żywych trupów.

Wyciągam go z mogiły i ujmuję jak nóż.

Jak gruba jest czaszka? Czy przebicie czoła jest wykonalne? Może lepiej w serce?

Nie, to będzie oko.

Zamierzam się i uderzam, ale blokuje mnie przedramieniem. Zaczyna rzucać głową na lewo i prawo, wszystko w dziwnej ciszy, słycać tylko jego ciężki, krótki oddech, chrapliwy i śmierzący.

Opieram się na swojej dłoni całym ciężarem ciała, który nie może mnie utrzymać. I nie utrzymuje.

Gwóźdź opada, ale na policzek, przebijając go i zgrzytając o zęby.

– Nie tak! – wołam sam do siebie, widząc tę fuszerkę.

Wyjmuję gwóźdź i uderzam ponownie. Już się nie broni, nie rzuca głową. Trafiłem idealnie w oko.

Facet wiotczeje pode mną.

Gwóźdź wystaje z lewego oczodołu, naciskam na niego nasadą dłoni i dopycham, dopóki nie zatrzymuje się chyba na drugiej stronie czaszki. Wciąż wystaje.

Czy to zadziała? Nie trzeba tego zrobić w jakiś bardziej profesjonalny sposób?

Zamykam oczy i wsłuchuję się las. Ptaki puszczone z głośników wciąż wyśpiewują tę samą melodię, nieustannie i niezmiennie, mogą je uciszyć tylko rozkazy z jakiegoś pilota dzierżonego przez mordercę.

Wstaję i spoglądam pod nogi.

– No, gościu, jak teraz ożyjesz, to ja już nie wiem – oznajmiam.

Spoglądam na swoje ręce i uśmiecham się z ulgą. Dobrze, że ich nie myłem tam pod domem, bo znowu się zakrwawiły, cała robota psu w dupę by była.

Rozglądam się, wstaje przepiękny dzień. Dla niektórych był ostatnim, może dla mnie takim nie będzie. Oby.

Podnoszę kostur, który wypadł mi po tym, jak świętej pamięci goprowiec obalił mnie na ziemię.

Zerkam na zwłoki, schylam się i wyjmuję z zaciśniętej dłoni pojemnik z gazem pieprzowym.

– Na pamiątkę – informuję właściciela, lecz ten nie reaguje.

Czarna puszką jest oblepiona krwią. Jednak to dobrze, że nie myłem rąk.

– No, Michaś, komu w drogę... – motywuję sam siebie.

Ruszam ścieżką wskazaną przez goprowca, jeszcze wtedy, gdy żył zarówno on, jak i Piter. Piękne czasy, miło powspominać. Odwracam się tradycyjnie po dziesięciu krokach i widzę, że na cmentarzyk wjeżdża quad.

Robi mi się gorąco, przerażenie dopada mnie jak jakiś drapieżnik, zatapia we mnie swoje zęby, ale nie jestem już tym wystraszonym gościem sprzed dwóch dni, o nie. Swoje przeżyłem, małą wojnę, trupy, pożary, a krew i flaki zrobiły ze mnie twardziela.

Morderca na quadzie rusza w moją stronę, więc szybko wbiegam między gęsto rosnące drzewa. Spróbuj tu wjechać, dupku!

Nie znalazłszy miejsca, w którym udałoby mu się pokonać gęstwinię, w końcu, zrezygnowany, rusza w stronę, w którą niestety podążam i ja. Prędzej czy później się na niego natknę.

Pułapka!

Tak, będzie chciał na mnie zastawić jakąś pułapkę, ale mocno się zdziwi, bo nic z tego. Pewnie zna te tereny, gdzieś się przyczai i będzie czekał. Czekał tatka latka. To w moje sidła wpadniesz, dupku.

Podchodzę do ścieżki i zaczynam szukać gęstego krzaka, za którym mógłbym się skryć. No cóż, w lesie to dość łatwe. Szybko zauważam idealne miejsce – lekki zakręt szlaku, zielona gęstwina. Pięknie. Szczęście sprzyja lepszym!

Ściskam mocniej swój wierny kostur i staję schowany przez mojego sprzymierzeńca w postaci gęstego krzaku. Nawet mam stąd malutki

podgląd na ścieżkę i mogę wypatrzeć swojego przeciwnika. Odpowiesz za wszystko!

Jest!

Jedzie na tym swoim elektrycznym quadzie, skryty w maskujących barwach i pod oliwkowym kaskiem. Dawaj, maleńki, chodź do tatusia. Wielki Pan Morderca, a dał się przechytrzyć zwykłemu bankowcowi.

Nie pędzi, jedzie z prędkością, można by rzec, rowerową. Coraz wyraźniej słyszę szum silnika, koła miażdżące trawę, szelest narasta.

Czekam.

Kątem oka wyławiam ruch, czyli to jest ten moment.

Łup!

Zamach wzięłem w dobrym momencie, miałem tylko jedną szansę, ale trudno było nie trafić w tak duży cel. Starłem się uderzyć wprost w szyję, tuż pod kaskiem.

Uderzenie wyrywa mi kij z dłoni, a pieprzony rzeźnik musiał mocno się zdziwić. Nie wyfruwa jednak z siodła, jak to sobie wyobrażałem, ale pochyła się do tyłu, po czym wraca do swojej pozycji jak sprężyna, quad skręca gwałtownie w las i wjeżdża w drzewo. Gość, dosłownie ułamek sekundy później, uderza o ten sam pień z dość nieprzyjemnym łoskotem. No nie, nie oszukujmy się, dla mnie przyjemnym.

– Ha! – krzyczę i wybiegam na ścieżkę.

Quad zgasł wbity w drzewo. Mężczyzna leży obok niego na plecach z rozłożonymi rękami, las szumi, ptaki śpiewają.

Postanawiam postać chwilkę, człowiek najszybciej uczy się na błędach, a nie dalej jak kilka minut temu jeden trup skosił mnie celnym kopniakiem i zmusił do walki. Nie spuszczając z niego wzroku, wracam po swój wierny kostur, bo jeśli gość choćby drgnie, to mu przywalę. Dobra, przywalę mu i tak, miałem na to chęć. Potem utnę mu łeb, rozpruję bebech i podpale.

Nie rusza się, czyli pułapka zadziała znakomicie. Jestem z siebie dumny jak cholera.

– Zaraz zobaczymy, kim jesteś, bydlaku!

Podchodzę powoli do mojej ofiary, najpierw delikatnie tykam go końcem kija, ale nie reaguje. Dobra, dobra, nie ze mną te numery.

Na ciemnym stroju moro widoczne są różne naszywki, ale główne dwie na piersiach oznajmniają, że mam do czynienia z funkcjonariuszem Straży Granicznej. Podobnie informuje nalepka na quadzie. Gość ma wszystko, co powinien mieć na sobie strażnik, tak mi się wydaje, nie ma natomiast ani śladu krwi.

Odkładam kij i pochylam się nad nim, otwieram szybkę kasku. Cholera, nie znam tego gościa, chyba był z ekipy poszukiwawczej. Najpewniej zmobilizowano wszystkie możliwe służby.

Słyszę za sobą szelest i odwracam się, nadjeżdża kolejny quad, identyczny jak ten rozwalony na drzewie. Jego kierowca nosi takie samo umundurowanie.

Wstaję i podnoszę ręce, macham nimi, chociaż to całkowicie bez sensu, bo widzi mnie doskonale. Podjeżdża, zatrzymuje się, wyłącza maszynę i zsiada z niej. Podnosi szybkę kasku.

– Wszystko w porządku? – pyta i dopiero teraz zauważa swojego kolegę leżącego na trawie.

– Walnął w drzewo – informuję go.

Cofa się do quada, wyjmuje apteczkę i podchodzi do nieprzytomnego kumpla. W sumie mógłbym zdzielić go teraz kijem po głowie i uciec. Wsiadłbym na quada i pojechał w siną dal. Mało tego, mógłbym przebrać się nawet w mundur, nikt by mnie nie zatrzymał. Kuszące, nie powiem.

Odwraca się w moją stronę, spostrzega chyba zakrwawione ręce, bo wyraźnie się spina.– Coś panu jest?

– To nie moja krew – odpowiadam.

– A czyja?

– W sumie to trudno stwierdzić. Nazbierało się trochę tego.

Słyszę dźwięk silnika, ktoś jedzie na normalnym quadzie, głośnym i śmierdzącym, jak powinno być. Zza zakrętu wyłania się czerwona maszyna z kierowcą ubranym niemal identycznie jak zabity dwukrotnie przeze mnie goprowiec.

Kładę się na ziemi i splatam ręce za plecami.

Koniec. Nareszcie.

41. Szpital

Spoglądam na doktorka, zastanawiając się, czy to nasze ostatnie spotkanie, czy też jeszcze będziemy rozmawiać. Opowiedziałem mu wszystko tak dobrze, jak tylko zapamiętałem.

– Będzie pan tęsknił? – pytam.

– Co proszę?

– Czy będzie pan za mną tęsknił, doktorku? Opowiedziałem, jak umiałem, i chyba to koniec naszych schadzek.

– Wprost przeciwnie. Będziemy rozmawiali jeszcze wiele razy.

– Serio? – dziwię się nie bez przyczyny.

– Oczywiście. – Doktorak kiwa głową. – Raczej zostanie pan z nami.

– Ja mam życie.

Podnosi głowę, przestaje notować. Zamyka notes, wzdycha, patrzy się na mnie.

– Tak. Jednak musi pan wrócić do pełni sił.

– Czuję się dobrze, nic mnie nie boli.

– Panie Michale, wie pan, o czym mówię. Problem jest w pana głowie. Traumatyczne przeżycia spowodowały, że nieco pan uciekł od rzeczywistości, stworzył sobie pewną wizję wydarzeń ostatnich tygodni.

– Jaką wizję?! Co pan pierdoli?! Mówiłem prawdę.

– Proszę się nie unosić.

– Możecie mnie podłączyć pod wykrywacz kłamstw, jeśli mi nie wierzycie!

– Zaręczam, że to zbyt techniczne.

– Bo by wyszło, że mówię prawdę.

Unoszę się, to fakt, ale co ten doktorzyna pierdoli, na Boga! Jaka wizja? Opowiedziałem wszystko z detalami, minuta po minucie!

– Wariograf oczywiście pokazałby, że mówi pan prawdę, bo pan święcie wierzy w swoją opowieść.

– To nie jest opowieść – Już się nie unoszę, w moim głosie brzmi raczej totalna rezygnacja.

– Panie Michale, proszę mi uwierzyć, prędzej czy później dojdziemy do wszystkiego, potrzebujemy tylko czasu. Tak jak złamana noga musi się zrosnąć, potem trzeba przywrócić jej sprawność rehabilitacją, tak będzie również z pana głową. Spokojnie, wszystko naprawimy, przywrócimy do stanu pierwotnego.

– Nic nie trzeba naprawiać.

– Jeśli to prawda, to także nam wyjdzie w trakcie. Proszę potraktować pobyt u nas jak wyjazd do uzdrowiska. Nabierze pan sił, wzmocni się.

– Nic nie trzeba naprawiać...

42. Szpital

Ostatecznie Śmierć przyszła do mnie w połowie października, w ostatni ciepły dzień tamtego roku. Przyznam z dumą, że przestałem bać się okien, mało tego, to był już trzeci dzień z rzędu, gdy wyszedłem do ogrodu. Pamiętam dobrze, bo pielęgniarz zostawił mnie samego, chyba czując, że już można mi pozwolić na tyle swobody.

Przyszpitalny park zaścielał się wciąż spadającymi liśćmi, które z uporem godnym lepszej sprawy zgrabiał każdego wieczoru Pan Waldek. Był to jednocześnie jego pseudonim artystyczny i piastowana funkcja. „Pan Waldek to robi”, mawiano, albo że „to zadanie dla Pana Waldka”. Zawsze z szacunkiem przynależnym człowiekowi, który wszystko może i wiele potrafi.

Ze Śmiercią to jest tak, że człowiek niby do końca nie wie, że to ona, i ja też nie od razu poznałem, że to właśnie ten moment.

Na samym początku byłem pewny, że to lekarz, kolejny, bo badało mnie już wielu, każdy z coraz mądrzejszą miną. Zmylił mnie fartuch i notes trzymany w ręce, dokładnie jak u doktora Grzecznego i Uczesanego. Jednak czar szybko prysł.

– Cześć, Michałku, jak się czujesz? – pyta mężczyzna, dokładnie tak samo, jak pytali wszyscy pozostali lekarze.

Jednak nie, nie tak samo; oni mówili panie Michale, a ten jakby mnie znał.

Bo znał.

– Niemożliwe – odpowiadam, przyglądając się, jak siada naprzeciw mnie, lekko zasłaniając słońce, którym ogrzewałem sobie twarz.

– Daj spokój. – Damian macha ręką. – Nie mów, że się nie domyśliłeś.

– Przecież ty... – dukam. – W tym lesie. Przy schronisku.

– No co?

– Zginąłeś – mówię.

Cholera, mam chęć rzucić mu się na szyję i wyściskać jak dawno niewidzianego krewniaka, ale coś mnie powstrzymuje – spojrzenie, wyraz twarzy. To nie jest mój Damian, o nie. Zniknęła ta miękkość uśmiechu, łagodna twarz gdzieś przepadła, wymienił ją na cyniczną mordę, z takim paskudnym wilczym uśmiechem.

– Jak widać, nie – stwierdza z przekąsem.

– Ale jak to? Przecież widziałem, słyszałem, jak krzyczysz, jak wciąga cię do lasu.

– Dobrze, nie? – Uśmiecha się tak, że widzę wszystkie jego zęby, jak u wilka. – Taki motyw wykorzystałem kiedyś w grze i wszyscy się nabierali.

– Widziałem krew.

– O tak – przytakuje. – Oczywiście, że widziałeś, prawdziwą krew, tyle że nie moją, ale Oczki.

– Więc... – Chcę coś powiedzieć, ale wypowiedzenie tego na głos mnie przerastało.

– To takie moje pamiątki z miejsca zbrodni, zawsze upuszczam trochę krwi do pojemniczka i zabieram ze sobą, a pojemniczek zawsze mam w kieszeni. Śmierć przychodzi nieraz niespodziewanie.

– Damian?

– Tak?

– To ty? Ty jesteś mordercą?

– Nie, to nie ja – odpowiada.

– Uff, kamień spadł mi z serca. – Serio, poczułem ulgę.

– To ty, Michałku – oznajmia.

– Ja? Co ty, z lekarzami się zgadałeś, kazali ci to mówić?

– Nie, nic mi nie kazali.

– To o co chodzi? – Mój otumaniony umysł nie chce wystartować, nie działał, jakbym sobie tego życzył. – Co ty pierdolisz, Damian?

– Widzisz, policja dojdzie do wniosku, że to ty zamordowałeś Oczkę i jej ochroniarza. Mało tego, dowody wyraźnie wskazują, że to ty zaszlachtowałeś Pitera, Artura i tego nieszczęsnego ratownika GOPR.

– Nie znaleziono ciał.

– Znajdą. Sam im powiesz, gdzie są.

– Ale ja nikogo nie zabiłem – szepczę, pochylając się do niego.

– Goprowiec?

– Tylko jego. Musisz mi uwierzyć.

– Wiesz, wiara to jest wtedy, gdy nie mamy pewności, wtedy właśnie opieramy się na wierze. Ja za to mam pewność w dwóch kwestiach. Pierwszej, że oni wszyscy nie żyją, bo sam ich zabiłem. I w drugiej, że tak przygotowałem dowody, żeby wskazywały na ciebie. Twoje odciski palców są na każdym narzędziu zbrodni, także na każdej ofierze. Oczka nawet pod paznokciami ma kilka twoich włosów, nieźle co?

– Ty ich zamordowałeś? – mówię, rozglądając się na boki. – Dlaczego?

– Nie tylko ich – mówi z triumfującym uśmiechem.

– Kogo jeszcze.

– Mnóstwo plugawych dziwek i ich parszywych klientów w Lublinie. Całe mnóstwo! I wiesz co? Przy nich też zostawiałem twoje włosy, od samego początku, tylko nigdy nie porównali DNA z twoim, no bo nie ma cię w bazie, ale teraz już będziesz.

– Rozpruwacz z Lublina? – pytam, trochę nie dowierzając temu, co słyszę.

– Dokładnie – cieszy się Damian. – To ja. Musiałem zrobić porządek z tymi kurwami, nie było innego wyjścia. Mordowanie kurewek to jest to, przyjacielu. To plugastwo powinno zniknąć z powierzchni ziemi.

Udało mi się na tyle, że nie uświadczysz obecnie ani jednej kurewki w Lublinie, ani jednej! Wszystkie pospierały. Można? Można!

– Ale... Dlaczego moje włosy?

– Ha! To ciekawa sprawa, nie powiem. Słuchaj uważnie.

– Dlaczego? – powtarzam, jakby mój umysł nie potrafił wymyślić innego pytania.

– Masz osobowość psychopatyczną, głęboko ukrytą, ale masz. Pamiętasz, chciałeś pracować w policji w wydziale gospodarczym, myślałeś, że po ekonomii przyjmą cię z otwartymi rękami, ale oblałeś testy psychologiczne.

– Oblałem – zgadzam się. – Przecież wiesz, prosiłem cię o dotarcie do wyników, udało ci się.

– Oczywiście, ale pokazałem ci tylko ich część, nie widziałeś najważniejszego.

– Czego?

– Uznali cię za popaprańca, nawet psycholog zalecił skierować cię na badania, ale olali to, komu miałyby na tym zależeć? Stwierdziłem, że będziesz idealnym kozłem ofiarnym, takim kołem ratunkowym. Gdyby mnie podejrzewano, to bardzo przekonująco opowiedziałbym o moim zachwianym przyjacielu, który od zawsze mnie niepokoił, mordował małe zwierzątka i takie tam. Potem porównaliby włosy, i zrobione. A tych miałem sporo, swego czasu skrzętnie zbierałem je z twojej poduszki każdego ranka. Plusy wspólnego mieszkania na studiach.

– Ty...

– A daj spokój. – Macha ręką. – Cokolwiek powiesz, mam to w dupie. Jak mnie nazwiesz? Mordercą? Potworem? Mam to gdzieś – mówi z obojętnością i wzrusza ramionami.

– Morderca.

– Tak. No cóż, na początku też jakoś mi z tym było źle, ale w sumie potem przyjąłem to z dobrodziejstwem inwentarza. Zacząłem jeszcze na studiach, raz prawie mnie złapali i wtedy wpadłem na pomysł, że muszę mieć plan awaryjny. Po pierwsze to zorganizowałem sobie zapasową tożsamość. Po drugie zbierałem różne ślady biologiczne, ale jak oblałeś te testy, to wtedy urodził mi się prawdziwy plan z krwi i kości. No a potem zacząłem zabijać kurewki.

– Dlaczego ich zabiłeś, chłopaków?

– Oczka była dziwką, nie muszę chyba tłumaczyć, że mam do takich słabość. Wszedłem pstryknąć kilka zdjęć, usłyszałem jakieś sapanie i stękanie w garażu, zajrzałem, a tam, kolego szanowny, akcja na całego. Ziomek zapinał ją od tyłu, aż furczało. Wrażliwy jestem na takie klimaty. Jak poznałem dziewczynę, to od razu zrozumiałem, co tu się dzieje. Artur wynajął kurewkę, żeby poswawoliła na naszej imprezie. Nie mogłem do tego dopuścić. O nie!

– Zabiłeś ich.

– Tak, zarznąłem obydwójce. Zazwyczaj lubię się pobawić, wiesz, ale tutaj nie było na to czasu, spaliście na górze, miałem dosłownie chwilę. Musiałem jeszcze pochować wszystko, co mogło się przydać do wezwania pomocy. Gdyby przyjechali, to zaczęłyby się problemy, przesłuchania, mogliby pobrać od ciebie DNA, a może i ode mnie. Przecież gdzieś tam mogłem zostawić jakiś ślad.

– Dlaczego zabiłeś Artura? Pitera?

– Jeśli chodzi o was... – Spogląda mi w oczy. – No cóż, klient kurewki jest tak samo brudny jak ona. Taką mam zasadę: zabijam kurewkę i kurwiarza, który chciał się z nią zabawić. A zasad trzeba się trzymać, bo inaczej ten świat upadnie. Normalnie umawiałem się zawsze z kurewką, przychodziłem pod wskazany adres i pytałem, czy ma kolejnego klienta tego dnia. Jak nie miała, to udawałem, że muszę wyjść, coś mi wypadło. No a jak miała, to sobie siedzieliśmy

i czekaliśmy, aż przyjdzie kurwiarz, i potem bawiliśmy się w słodki trójkącik. Trochę mi będzie tego brakować.

Nie odpowiadam, tylko patrzę i nie wierzę, te fakty nie składają mi się w głowie, może gdyby nie szprycowali mnie tym gównem byłoby inaczej.

– Teraz muszę zmienić działanie – ciągnie Damian. – Wypracować inny system, ale poradzę sobie, to jak zmiana pracy, nawet ekscytujące. Za dotychczasowe morderstwa wina spadnie na ciebie, a ja mam czyste konto, czeka na mnie sporo kobiet, kurewki, szykujcie się! Tatuś nadciąga! Może zacznę je gwałcić czy coś.

– Przecież ty... Jesteś gejem.

– Ja? – pyta mocno zdziwiony. – To wy tak stwierdziliście. Nie biegam za babami, to od razu lewy. Ale ja nie biegam ani za babami, ani za chłopami. Seks... Ohydztwo. Nie, nie będę ich jednak gwałcił. Te jęki szczytowania to są raczej śmieszne, ten brud kontaktu fizycznego, te wszystkie płyny, nasienia, śluzy, śliny... – Wzdryga się z obrzydzeniem. – Jedyne, co mnie podnieca, to jak jęczy mordowana kurewka. O człowieku, to jest coś!

– Jesteś popierdolony.

– Może i jestem – zgadza się. – Ale też bardzo, ale to bardzo inteligentny. I sprytny. Dlatego mordowałem i nic mi za to nie grozi. I będę robił to dalej, bo oficjalnie ty za to bekniesz, Miśku.

– Dlatego mnie nie zabiłeś, tylko ścigałeś na quadzie.

– Dokładnie, musiałem zadbać o twoje bezpieczeństwo. Miałem nawet zarąbać tego goprowca, gdy się na ciebie rzucił, ale świetnie sobie poradziłeś. Brawo!

Patrzę na niego, uśmiechniętego, zdrowego, całego, bez ani jednego zadraśnięcia.

– Powiem szczerze, Michałku – mówi, pochylając się delikatnie w moją stronę – że to był spontan, czysty. Wiesz, geniusze czasem

wpadają na jakiś pomysł ot tak. – Pstryka palcami. – Kiedy przeszukiwaliście zwłoki w garażu, to nagle mnie olśniło, jak mam to wszystko przeprowadzić. Olśnienie, tak, to dobre słowo.

– O nie, nic z tego – podnoszę głos. – Wszystko opowiem policji.

– Na to liczę. Z chęcią posłuchają, szczególnie gdy powiesz im, gdzie są ukryte ciała.

– Powiem?

– O tak. Nasi koledzy zasługują na wieczny odpoczynek w poświęconej ziemi. Co prawda, jedno ciało nie zostanie znalezione, czyli moje, ale dopóki będziesz utrzymywał, że żyję i to moja sprawa, to nikt mnie nie będzie poszukiwał. Przez ostatnie dni, gdy ty tu sobie spokojnie leczyłeś skołatane nerwy, ja drobiazgowo wszystko przygotowałem, dopilnowałem, aby na ciałach nie znalazł się żaden mój ślad, a twoich w sam raz. Klocki zostały złożone do kupy i ktoś za rozwiązanie sprawy Rozpruwacza z Lublina okryje się sławą.

– Znajdą nieściskości – mówię i aż mnie zabolął język od tego trudnego słowa.

– Pewnie jakieś tam są, ale to drobinki na wietrze, pokusa rozwiązania takiej sprawy będzie zbyt wielka. Uwierz mi. No chyba że znajdzie się jakiś policjant z misją, taki z krwi i kości, który będzie chciał w tej sprawie ryc. Ale takich nie ma, uwierz mi.

– Nieściskości – powtarzam.

– A teraz wybacz, ale czas mnie goni.

Wstaję i rozglądam się za moim aniołem stróżem, pielęgniarzem, ale nigdzie go nie ma. Czuję uścisk, to Damian mnie przytula, poklepuje po policzku, po czym rusza w stronę bramy. Nikt nie zwraca na niego uwagi, wygląda jak lekarz, jest niewidzialny, jakby fartuch był pelerynką niewidką.

– Stój! – krzyczę za nim i ruszam w jego stronę, ale on nawet się nie odwraca.

Robię kilka kroków, ale lekko kręci mi się w głowie.

Nagle pojawia się wybawienie, zza krzaków wychodzi mój pielęgniarz.

– Zatrzymaj tego lekarza! – krzyczę do niego i ruszam za Damianem, który jest coraz dalej.

Pielęgniarz spogląda na mnie podejrzliwie, podchodzi i łapie mnie w ramiona.

– Nie mnie, debil, jego! – Szarpię się i próbuję wyrwać, ale nie mam szans. Znam jego niedźwiedzi uścisk.

Zza tego samego krzaka wychodzi Doktor Grzeczny i Uczesany, a za nim jakiś ponury gość w skórzanej kurtce z paskudną blizną na czole. Znam go, kojarzę, to ten drugi lekarz, fałszywy, oszust. Oszukaniec!

– Widzę, że jednak spaceru panu nie służą, panie Michale – mówi lekarz.

– Tam ucieka morderca, to Damian, to on wszystkich zamordował – krzyczę, aż gubię dech.

– Spokojnie, proszę oddychać – mówi doktor. – Komisarz Kosma Ejcherst chciałby się z panem zobaczyć, porozmawiać, zadać kilka pytań.

– Wszystko mu powiem, wszystko! – krzyczę.

Nagle pielęgniarz sięga do mojej kieszeni i wyciąga z niej kartkę i długopis, rzuca na to okiem i podaje lekarzowi.

– A co pan tu ma? – pyta doktor, a komisarz ciekawie spogląda zza jego ramienia. Nie wolno nam mieć długopisów, moglibyśmy nimi zrobić wiele złych rzeczy.

Kartka jest pomięta, ale widzę wyrysowaną mapę, zdobi ją wielka strzałka z napisem drukowanymi literami „CIAŁA”.

– To Damian – mówię cicho, bo już do mnie dociera, że nikt mi nie uwierzy. Wcisnął mi to do kieszeni kurtki, gdy mnie przytulał na pożegnanie.

Nikt mi nie uwierzy.
Absolutnie nikt.

Sandomierz, 12 czerwca 2022 r.